

BARBARA SHERROD

ZAŁOŻYSZ SIĘ?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

DUDEK, KTÓRY NIE CHCE DAĆ SIĘ OSKUBAĆ

Pierwsza reguła Hastingsa: Pokaż mi człowieka, który nigdy nie postawił wszystkiego na jedną kartę, a pokażę ci niewiarygodnego nudziarza.

Choć pan Charles Hastings miał świetną kartę, na jego czole pojawiła się zmarszczka. Coś mu tu nie pasowało, w powietrzu węszył jakiś śwąd. Wszystkie zmysły ostrzegały go przed niebezpieczeństwem. Rozejrzał się po salonie, jakby czerwone ściany i scenka rodzajowa wymalowana na suficie mogły wyjaśnić, skąd biorą się te przedziwne uczucia. W końcu zatrzymał wzrok na przeciwniku, tonącym w koronkach lordzie Everardzie. I wtedy go olśniło: ten dżentelmen - o ile zasługiwał na to miano - oszukiwał. Arystokratyczne pochodzenie, tytuł i bogactwo nie powstrzymały jego lordowskiej mości przed uciekaniem się do sztuczek godnych zwykłego szulera.

W dużych, szarych oczach pana Hastingsa pojawił się błysk. Surową minę, która nie pasowała do szczupłej, niemal chłopięcej twarzy, zastąpił lekki, złośliwy uśmiezek. I pomyśleć, wyrzucał sobie, że jeszcze przed chwilą z trudem powstrzymywał ziewanie, przekonany, że nim ta nudna partia pikiety wreszcie dobiegnie końca, zmieni się w zgrzybiałego starca. Nic dziwnego - mówił sobie wtedy w duchu - że miejsca takie jak klub pani Stout przy ulicy świętego Jakuba określano mianem piekła na ziemi. Dla Charlesa Hastingsa nie istniało bowiem nic bardziej piekielnego niżli nuda. Teraz jednak, dzięki naiwnemu przekonaniu lorda Everarda, że uda mu się oskubać młodego przeciwnika, pan Hastings wreszcie się z niej otrząsnął. Nawet widok Everarda, który dopisywał sobie punkty za repik, nie popsuł mu nastroju.

Partia się skończyła, sto gwinei wylądowało w sakiewce milorda. Pan Hastings wstał i pogodnie, acz zgoła niepotrzebnie, oznajmił:

- Miałeś dziś diabelne szczęście, Everard!

Everard skinieniem głowy potwierdził stwierdzenie i dodał:

- Mam nadzieję, że przegrana nie okazała się na tyle poważna, byś chciał przerwać grę.

- Nic nie zmusi mnie do przerwania gry, póki stawiam to, co wygrałem, a jako że zostało mi jeszcze co nieco z wygranej w oczko, jestem do twoich usług.

- Bałem się, że zamierzasz odejść.

- To wyłącznie kwestia hierarchii przyjemności. Pikię stawiam na pierwszym miejscu, a talerz na drugim, mimo to zawsze powiadam, że grać na pusty żołądek to prosić się o przegraną. Tak więc nim wrócę do gry, pójdę się uraczyć pysznościami ze stołu pani Stout.

Zmarszczka na czole lorda Everarda kazała się domyślać, że ów dżentelmen niechętnie wypuszcza swego dudka na kolację złożoną z wędzonego łososia i schłodzonego szampana. Dla zabicia czasu zaczął tasować karty.

Krótką obserwacją dłoni milorda wystarczyła panu Hastingsowi, by upewnić się, że jego przeciwnik nie oszukuje, dorzucając karty od dołu. Gdyby tak było, mimowolnie trzymałby karty luźno między kciukiem a palcem wskazującym, co pozwalało łatwiej dokładać karty od spodu. Tymczasem jego lordowska mość mocno ścisnął talię; czyli stosował jakąś inną metodę. Panu Hastingsowi pozostawało już tylko liczyć na to, że nie odgadnie jej bez wysiłku. To by popsuło mu całą zabawę.

Aby jeszcze dodać jej rumieńców, założył się ze sobą: w chwili gdy zegar wybije drugą, musi zdemaskować szulera, by już nigdy więcej żaden przyzwoity gracz nie padł jego ofiarą. Jeśli mu się uda, kupi sobie tego zgrabnego wierzchowca, którego ostatnio wypatrzył u Tattersalla. Jeśli nie, do końca sezonu porzuci grę w karty, ograniczając się wyłącznie do partyjek wista z matką. To ostatnie tak go przerażyło, że z jeszcze większą determinacją postanowił sobie, że musi wygrać.

- Poczekam, aż zjesz kolację - oświadczył milord.

Pan Hastings skłonił się uprzejmie.

- Byłem pewien, że mogę na ciebie liczyć.

To powiedziawszy, wyszedł, minął stół do faro i ruszył po wyłożonych czerwonym dywanem stopniach.

Choć pan Hastings był zdania, że dania oferowane przez panią Stout nadają się wyłącznie dla osób na diecie lub wieśniaków z prowincji, wszedłszy do jadalni uśmiechnął się radośnie, przy stole zobaczył bowiem starego, zaufanego druha, Feliksa DeWitta, który właśnie popijał klaret i oblizywał wargi. Feliks miał pełne policzki - czego nie można było powiedzieć o jego kieszeniach; ostatnio był winny panu Hastingsowi paręset gwinei.

Serdeczne klepięcie w ramię sprawiło, że Feliks omal nie wylał wina.

- A, to ty, Hastings! - powiedział. - Pewnie znudziło ci się wygrywanie i przyszedłeś tu, żeby mi pomóc w płamieniu surduta.

- Przegrywam.

Feliks bacznie mu się przyjrzał.

- Oszukujesz.

- Nie. Jestem oszukiwany.

- Nie ma na świecie nikogo, kto zdołałby cię oszukać.

- Pójdź ze mną, a zobaczysz jegomościa, któremu się wydaje, że owszem, zdołałby.

- A któż to, u licha?

- Everard.

- Nie do wiary!

- Mnie też się nie chciało wierzyć. Nigdy nie sądziłem, że może się zniżyć do czegoś takiego. Jak sądzisz, co go sprowokowało?

Feliks poczęstował się kawałkiem tarty cytrynowej. Smakując ją, przymknął oczy i westchnął z rozkoszą.

- Przypuszczam, że podobnie jak ty nie znosi przegrywać.

Pan Hastings parsknął śmiechem.

- Do tego stopnia, że nie lęka się złapania na gorącym uczynku, zdemaskowania i towarzyskiego ostracyzmu?

- Podejrzewam, że to przez jego najnowszą flamię, panią Buxleigh - odparł Feliks. Wokół ust błyszczała mu otoczka kremu cytrynowego.

- Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

- Wyjątkowo przystojna istotka i przerażająco droga.

- Ten opis pasuje do właściwie każdej mojej znajomej.

- Diabelnie lubi grać w faro. Nie spotkałeś jej przy stoliku?

- Nie gram w faro. Połowę wygranej trzeba oddawać bankowi, a to wbrew mojej naturze.

- Jeśli miałbyś ochotę jej się przyjrzeć, to właśnie gra.

- To znaczy, że Everard ją tu przyprowadził?

- Pewnie nie zdołał jej powstrzymać. Choć ta dama dopiero niedawno przybyła z prowincji, tak szybko nabrała londyńskich obyczajów, że można by ją uznać za rodowitą mieszkankę naszej stolicy.

Przetrawiając te informacje, pan Hastings nakładał sobie na talerz wiktuały. Ledwo jednak skosztował podeszwy, która udawała pieczeń wołową, odstawił talerz.

- Przyznaj się, Feliksie, jakim cudem udaje ci się to przełknąć?

- Masz po prostu zbyt wyrafinowany smak - oświadczył Feliks między kęsami. Sądząc po jego błogim stękaniu, należało przypuszczać, że posiłki pani Stout uważa za wyjątkowo pyszne.

- Pospiesz się z tą tartą - powiedział pan Hastings. - Czekają na nas w pokoju

karcianym.

Połknawszy tarte i wychyliwszy wino Feliks odrzekł:

- Wiesz przecież, że nie przepadam za kartami. Jako osoba, która nie lubi gier, w których wygrana zależy od umiejętności, ograniczam się do gier losowych, takich jak E.O.

Zlizał z palców okruszki.

- Nikt ci nie każe lubić kart. Wystarczy, że ja lubię. Chcę złapać Everarda na oszukiwaniu i publicznie zdemaskować. A do tego potrzebny mi świadek. I tobie oto przypadł w udziale ten zaszczyt.

- Wielkie nieba! - krzyknął przerażony Feliks. - Ogromne dzięki, gdybym zamierzał położyć kres swemu życiu, zajadłbym się na śmierć. Nie chcę zejść z tego świata przesyty kulą Everarda.

- Rozczarowałeś mnie. Nie spodziewałem się, że z ciebie taka galareta. I tylko dlatego, że Everard cieszy się opinią doskonałego strzelca.

- Jest mistrzem w strzelaniu, tak jak ty mistrzem w grze w karty, a jeśli chcesz zarzucić mu oszustwo, rychło sam się o tym przekonasz, bo bez wątpienia cię wyzwie.

Pan Hastings uśmiechnął się i trącił Feliksa kształtnym palcem.

- Chyba że będę miał świadka.

- Nawet gdybyś postawił stu świadków, on wszystkiego się wyprze. Ma jeden, niezawodny sposób udowodnienia swej niewinności: dobrze wymierzoną kulę.

Pan Hastings zacisnął dłoń na ramieniu druha i namawiał szeptem:

- Przemyśl to sobie, Feliksie.

Teatralnym gestem wskazał pokój do gry.

- Pomyśl, jaka wspaniała przygoda nas czeka. W naszych rękach będzie odkryć oszustwo i obnażyć oszusta. Cóż za wyzwanie dla naszych umysłów! Czy to nie zachwycająca perspektywa? Nie przeszywa cię dreszcz szczęścia na samą myśl o tak chwalebnym czynie?

- Zaiste, wielce to obiecujące, lecz lękam się, że prędzej przesyje mnie kula rozwścieczonego Everarda.

- Masz moje słowo, że cię nie zabije. Jeśli już kogoś, to mnie.

- Ale ciebie też nie chciałbym oglądać na marach, Hastings. Może sądzisz inaczej, jako że jestem ci winny sporą sumkę i wraz z twoim zejściem z tego padolu mógłbym zapomnieć o długu. Ale nie jestem aż tak podły, by tego pragnąć.

- Twoja lojalność mnie wzrusza, Feliksie. Uderzaj dalej w tę nutę, a, daję słowo, rozplnę się we łzach.

- Kpij sobie, kpij, lecz, moim zdaniem, kiedy nie ogarnia cię nuda albo nie rozsada energia, całkiem z ciebie miły druh, ot co. No i zawsze chętnie pożyczysz grosza człowiekowi w potrzebie. Twoje odejście z tego świata na wiele dni odebrałoby mi apetyt.

- Jeśli twoja sympatia jest prawdziwa, zrobisz wszystko, byleby włos mi nie spadł z głowy. Pójdiesz ze mną i ochronisz przed moją własną popędliwością.

W czasie tej konwersacji Feliks przestał rozkoszować się tartą, a zajął się suszonymi owocami i orzechami w cukrze. Na półmiskach niewiele już zostało, a resztek nie zabrano. A skoro nie było już co jeść, Feliks wzruszył ramionami.

- No, niech ci będzie, ale przysięgnij mi, że nie będziesz się pojedynkował z Everardem.

- Jeśli to ma cię uspokoić, mój nieoceniony przyjacielu, dam ci uroczyste słowo. Nic - ani groźba łamania kołem, ani śmierć we wrzącym oleju, ani wizja grania po kres moich dni z mamą - nie sprowokuje mnie do pojedynku z tym jegomościem.

Wyciągnął rękę i dobili targu.

- To prawdziwa ulga - odezwał się Feliks z westchnieniem. - Bałem się, czy nie ubzdurałeś sobie, że zostanę twoim sekundantem, bo na to, zapewniam cię, nie masz co liczyć. Sekundowanie to jedna z rzeczy, które przyprawiają mnie o niestrawność, tak że mogę przełknąć najwyżej talerz owsianki.

Stwierdzeniu towarzyszyło dyskretne beknięcie, przytłumione dłonią.

W drodze do pokoju karcianego przyjaciele zatrzymali się przy stoliku do faro, gdzie Feliks wzrokiem pokazał panu Hastingsowi panią Buxleigh. Wspomniana dama pochylała się z uwagą nad stolikiem, bacznie przyglądając się grze. Ukazywała przy tym sporo różowego biustu, otoczonego ładną, czarną koronką i sznurami koralu. Pan Hastings co prawda nie przypominał sobie ani biustu, ani twarzy z rozkosznymi dołeczkami, ale i jedno, i drugie zyskało jego aprobatę. A jeszcze bardziej zachwyciła go odważna gra ich właścicielki. Postawiła wszystko na szóstkę pik. Rozdano karty, przegrała. Mimo to bez chwili wahania ponownie obstawiła równie wysoko. Patrząc na to pan Hastings rozumiał, że człowiek słabego charakteru, taki jak Everard, ulegnie pokusie i będzie oszukiwał w grze, by zrekompensować straty tak ślicznej, pociągającej i interesującej damy.

Choć jednak mógł zrozumieć Everarda, nie mógł tego zignorować. Trzeba go zdemaskować, także przez wzgląd na braci - karciarzy. Obaj mężczyźni należeli do tych samych klubów - Brooksa i Boodle'a - a honor nakazuje strzec reputacji swego klubu. Co więcej, zachciankom winno się ulegać, a nic tak nie dodaje życiu rumieńca jak mała potyczka umysłów, zwłaszcza taka, której dodatkowo towarzyszy element niebezpieczeństwa.

Kiedy pan Hastings wszedł do pokoju, Everard wstał z wymuszoną grzecznością.

- Więc wróciłeś.

- Czyżbyś sądził, że się wycofam? - odparł pan Hastings.

Everard roześmiał się nerwowo.

- Ależ skąd. Byłem pewny, że na twoim słowie można polegać. Wszak jesteś prawdziwym dżentelmenem.

Odrzucając poły surduta, pan Hastings siadł i stwierdził:

- Zaiste, jestem. A teraz przekonajmy się, jakim dżentelmenem ty jesteś.

Na te słowa Everard poderwał głowę, ale ponieważ na twarzy pana Hastingsa nie dostrzegł niczego niepokojącego, uspokoił się nieco.

Do pokoju wszedł Feliks i stanął przy ścianie, zajmując miejsce, z którego doskonale mógł obserwować obu graczy. Ku zadowoleniu pana Hastingsa skrzyżował ramiona i utkwiał wzrok w zielonym stoliku.

Everard nie spieszył się do gry, z roztargnieniem tasował karty. Raz czy dwa łypnął na Feliksa, w końcu spytał:

- DeWitt zostaje?

- Tuszę, że jego obecność ci nie przeszkadza?

- Ponieważ reszta graczy już poszła i mieliśmy pokój dla siebie, sądziłem, że możemy uciąć sobie partyjkę między nami dwoma.

- Tak też i będzie, obecność Feliksa niczego nie zmienia. Nie przyszedł tu jako gracz, lecz jako mój bank.

Na te słowa oblicze Feliksa zajaśniało.

Everard nadal miał wątpliwości.

- Jeśli pozbawisz mnie reszty wygranej w oczko - wyjaśnił pogodnie pan Hastings - będę potrzebował pożyczki. Pan DeWitt był tak łaskaw i zgodził się poratować mnie dowolną sumą. Czyż nie tak, Feliksie?

Zęby Feliksa błysnęły w promiennym uśmiechu.

- Ile sobie życzysz, Hastings? Tysiąc? Dwa tysiące? Wystarczy jedno słowo.

- Sam widzisz - zwrócił się do przeciwnika pan Hastings. - Uważa za honor i wyróżnienie, jeśli przegram jego gotówkę, choć sam potrafiłby to zrobić równie dobrze.

Tak jak pan Hastings przewidział, lord Everard nawet nie zauważył kpiny. Oczy mu zabłysły na wieść, że ten dudek zamierzał ciągnąć grę do końca i, co więcej, już się pogodził z przegraną.

- Ależ ta moja talia zniszczona! - zauważył pan Hastings. - Pozwolisz, Everard, że posłę chłopaka po nową. Może by przyniósł też drugą i dla ciebie?

Everard zgodził się bez chwili wahania, bez drgnienia powieki i podał mu swoją talię.

Kiedy pan Hastings podszedł do drzwi przywołać kelnera, wymienili z Feliksem porozumiewawcze spojrzenia. Czyli Everard nie zniżył się do znaczenia kart. Bo gdyby je znaczył, nie zgodziłby się tak ochoczo na zmianę talii. Feliks wzruszył ramionami, co miało oznaczać: Niech mnie kule biją, jeśli wiem, co on knuje.

Pan Hastings wrócił na miejsce i zaczęli grać. W czasie gry nie przestawał go zdumiewać spryt przeciwnika. Lord Everard zdawał się dokładnie wiedzieć, co on zgłosi i co ma w karcie. Tak mistrzowsko doił pana Hastingsa, że spora wygrana w oczko szybko zmieniła właściciela.

Pan Hastings nieustannie bacznie obserwował każdy ruch Everarda. Każde podrapanie się w ucho, każde zmarszczenie nosa było uważnie analizowane. Mimo to już po półgodzinie pan Hastings upewnił się, że jego lordowska mość nie stosuje żadnej znanej mu sztuczki. Nie znaczył kart, nie zaginał rogów dam, nie wyciągał króli z rękawa; za mocny był na którąkolwiek z tych gier. Co więcej, Hastings jeszcze nie zdążył obejrzeć kart, a on już zdawał się wiedzieć, co przeciwnik ma w ręku. Pan Hastings szukał jakiegoś wyjaśnienia, ale choć uczył się gry u największych londyńskich szulerów, stracił już pięćset funtów i ani o krok nie przybliżył się do zdemaskowania oszusta.

Jednego był pewien: w pikiecie zwykle wistujący ma przewagę nad rozdającym. Tymczasem tu rzecz się miała przeciwnie. Ilekroć milord rozdawał, tylekroć zdobywał pik, repik lub jedno i drugie. Co więcej, pan Hastings tylko raz wygrał, kiedy rozdawał. Jakimś cudem Everardowi udawało się maksymalnie wykorzystywać kartę. A to można osiągnąć wyłącznie wtedy, gdy rozdający z góry wie, jakie karty rozdaje.

Pan Hastings wyciągnął zegarek i otworzył. Wskazówki pokazywały kwadrans do godziny drugiej. Zostało mu piętnaście minut. Najbliższe osiem miesięcy zależało od tego, czy się pospieszy. Jeśli mu się nie uda, zostanie skazany na grę w wista z kobietą, którą co prawda kochał z całego serca, ale która nie potrafiła odróżnić kapoty od mizery ani kompletu od sekwensu. Cóż, zdolności matki predysponowały ją najwyżej do tak niewymagającej gry jak kozi róg. Ponieważ jednak wist był teraz w modzie, ta najmilsza istota czuła się zobowiązania do grania weń, ku rozpaczy tego, któremu przypadła za partnerkę. A już na domiar nieszczęść nie grała na pieniądze. Woląла płacić rodzynkami, orzechami lub - słyszał ktoś coś podobnego! - guzikami.

Pan Hastings wzdrygnął się i zerknął na Feliksa. I co za to dostał? Lekkie wzruszenie

ramion. Biednemu Feliksowi powieki już opadały ze znużenia. Pan Hastings westchnął. Wyciągnął tu przyjaciela na próżno, tylko się biedak namęczył. A on wstanie od stołu nie dość że biedniejszy, ale i równie głupi jak na początku partii. Nigdy jeszcze nie spotkała Charlesa Hastingsa taka katastrofa. W ciągu trzydziestu jeden lat żywota ani razu nie poznał smaku porażki.

Aż do tej chwili pan Hastings niczym nie okazał niepokoju. Skutecznie udało mu się ukryć swoje uczucia. Postronny obserwator widział jedynie chłopięcą, słodką twarzyczkę. Ten wygląd, którego zazdrościli mu wszyscy gracze w stolicy, zawdzięczał gładkiej cerze, kasztanowym lokom i dużym, szarym oczom. Ta pozornie niewinna i bezbronna buzia sprawiała, że lgnęły do niego kobiety - młode i stare - w których budziła ona instynkt macierzyński. Co więcej, dzięki niej udało mu się przechytrzyć niezliczonych oszustów i szulerów. Tym razem jednak wyglądało na to, że uroda na nic się nie zda.

Przyłożył rękę do skroni. Bolały go oczy. Kark mu zeszywniał, nogi ścierpły od długiego siedzenia w jednej pozycji. Mimo to nie zamierzał się poddawać. Zostało mu jeszcze kilka minut. Zdemaskuje oszusta - postanowił sobie - choćby go to miało kosztować kulkę w łeb. Niewiele brakowało, a chwyciłby Everarda za gardło i prosto w twarz rzucił mu oskarżenie, ale w tej samej chwili oślepił go blask. Nie była to nagła iluminacja, ale błysk sygnetu Everarda.

Słyszał o tej sztuczce, choć nigdy jeszcze się z nią nie zetknął. Nikt nie ważył się na takie zuchwalstwo ani szaleństwo, by ją wykorzystać. Rozparł się w krzesło, wyciągnął nogi, rozłożył karty w zgrabny wachlarz i uśmiechnął się do siebie. Ponowne spojrzenie na przeciwnika potwierdziło jego przypuszczenia. Everard nosił lusterko. Był to duży, szeroki sygnet wsunięty na środkowy palec prawej ręki. Bok sygnetu koło wprawionego szafiru został tak wypolerowany, że przypominał lustro. Rozdając karty, trzymając talię między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki, Everard widział jej wartość. Nic dziwnego, że oszust wiedział, co Hastings trzyma.

Pan Hastings nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie zaśmiać się triumfalnie. Po raz kolejny wyciągnął zegarek. Okazało się, że została mu zaledwie jedna minuta. Więc jednak będzie mógł sobie kupić tę zgrabną bestyjkę.

Ale jego zadowolenie trwało krótko. Pozostawał jeszcze problem, co zrobić z Everardem. Dał Feliksowi słowo, że nie da się sprowokować do pojedynku, poza tym, szczerze mówiąc, jego również niezbyt zachwycała wizja strzelania do przeciwnika, który też posyła w jego stronę kulę. Widok trawy przed śniadaniem budził w nim może zapal, kiedy miał osiemnaście lat i był jeszcze żółtodziobem. Teraz uważał to za okropne nudziarstwo.

Nie bał się. Na uchu, barach, torsie, stopach i ramionach nosił dowody swej nieustraszoneści. Owe honorowe blizny nabył przed dwudziestym piątym rokiem życia, tak że nikt - ani mężczyzna, ani kobieta - nie odważyłby się go nazwać tchórzem. Ostatnio jednak przestał spoglądać na te szramy z dumą; wywoływały tylko ironiczny uśmiech. Traktował je jako pamiątkę po młodzieńczej skłonności do szaleństw. Gdyby rzeczywiście był wtedy mężczyzną - mówił sobie teraz - nie uważałby, że musi to udowadniać, narażając przy tym życie swoje lub drugiego człowieka. Teraz chlubił się już tylko tym, że w czasie owych młodzieńczych eskapad nigdy nikogo nie zabił.

Przeciwnikiem pojedynków stał się też i dlatego, że uznał je za wyjątkowy idiotyzm. Jakież głupiec będzie zrywał się o jakiejś barbarzyńskiej godzinie, skoro może spać do trzeciej? A sam pojedynek: odliczanie ze śmiertelną powagą dwudziestu kroków, człapanie po wilgotnej trawie, igranie ze śmiercią i zastanawianie się, czy ta ręka, tak dobra w grze w kości, nie zostanie zaraz odstrzelona... Nie dość że absurdalne, to jeszcze tak zupełnie odarte z polotu. Zabójcze nudy, jeśli tak można się wyrazić. Tymczasem pan Hastings szukał rozrywki, a zdążył się już przekonać, że w pojedynkowaniu się jej nie znajdzie.

Musi znaleźć inny - ciekawszy - sposób dania Everardowi nauczki. Pan Hastings założył się ze sobą: do końca listopada zemści się na Everardzie, nie uciekając się przy tym do pistoletu. Jeśli wygra, kupi sobie nowy zegarek. Na ten, który miał, w ciągu ostatniej godziny tyle się napatrzył, że już mu się znudził. Jeśli zaś przegra, wyjedzie z matką na miesiąc do Bath i będzie tam z nią grał w wista, a także nadludzkim wysiłkiem woli powstrzyma się od choćby jednej złośliwej uwagi, gdy będzie jadła orzechy i rodzynki, które właśnie od niej wygrał.

ROZDZIAŁ DRUGI

PRZERÓBKI

Właśnie przyjechaliśmy z Blaise, gdzie wszyscy z wyjątkiem mnie wyśpiewywali hymny pochwalne ku czci tamtejszego zamku. Choć nie zdołałam wykrzesać w sobie zachwytu nad tym okropieństwem, to prawdziwie oczarował mnie krajobraz. Wszak nie pierwszy raz widziałam potężne głązy, gęste lasy, strome parowy i kręte strumienie, ale po raz pierwszy raczyłam zwrócić na nie uwagę! *Guide* uważa, że majątek swą wyjątkową urodę zawdzięcza panu Reptonowi, ogrodnikowi - artyście. Nie masz człowieka, który postawiłby stopę na angielskiej ziemi i w ciągu dwóch minut nie usłyszał tego nazwiska w otoczeniu najwspanialszych pochwał, jednak aż do dziś nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo zasłużonych. Jego oko, smak, wyczucie zrobiły na mnie ogromne wrażenie. A ponieważ nie mogłam podzielić się swoimi uczuciami z towarzyszami, którzy mówili wyłącznie o tym okropieństwie, przelewam je na te stroniczki. Chciałabym bliżej poznać pana Reptona oraz jego dzieło. Cóż to za wspaniałe powołanie: pracować w harmonii z naturą, nie próbować jej zatrzymać ani poprawiać, lecz w prawdziwie mistrzowski sposób podkreślić jej piękno.

Porywisty wiatr sprawił, że deszcz siekł jak biczem. Był ranek, ale chmury i przenikliwy chłód zacięły niebo. Ponieważ deszcz przesłaniał stojącą w oddali grecką świątynię, Miranda Troy przyłożyła rękę do czoła, by osłonić oczy przed jego strugami. Płaszcz z kapturem całkiem już przemókł, podobnie jak rękawiczki. Krople wody spływały po policzkach, różanych i delikatnych przy pięknej pogodzie, teraz zaś zaczerwienionych od nieustannych smagnień wiatru. Mimo szalejących żywiołów, Miranda nie odrywała wzroku od świątyni.

Tak - stwierdziła wreszcie - kłula w oczy. Co komu po niej, skoro zaledwie dwadzieścia stóp dalej rozciągały się ruiny? I to nie stworzone na potrzeby parku, ale prawdziwe, z czasów gdy mnichowie zamieszkiwali opactwo. Dziadek zabawiał się w artystę - amatora i oto skutki. Gdyby świątynia przynajmniej ozdabiała brzegi stawu, by jej odbicie w wodzie zachwycało oko, Miranda uznałaby ją za czarującą. Tymczasem nie zrobiono nic, by świątynię wkomponować w krajobraz. Dziadek chciał mieć tylko malowniczy widok z tarasu i miał, tyle że świątynię postawiono w kotłince zamiast na wzgórku, tak że właściwie nie było jej widać z dworu. Co więcej, postawiona na pustym trawniku, bez winorośli ani krzewów, które by ją otaczały lub pięły się po jej kolumnach, wyglądała jak jakiś wykwit na gładkiej,

jedwabistej pościeli.

Jeszcze sześć tygodni temu świątynia nie by Mirandzie nie szkodziła. Co więcej, jeszcze sześć tygodni temu Miranda wykazałaby się na tyle złym smakiem, by ją lubić. Lecz po ostatniej wizycie w majątku Blaise i obejrzeniu zmian, jakie wprowadził pan Repton, do Opactwa Arundel wróciła całkiem inna dziedziczka.

Palce ją świerzbiły, by coś zmienić. Ponieważ jednak zbliżała się zima, nie było mowy o zmianach krajobrazu. Lecz tyle można zrobić w samym domu! Postawiony na początku siedemnastego wieku niedaleko min opactwa dwór, z wyjątkiem łazienek i pieców chlebowych nie miał nic, co zaspokajałoby potrzeby nowoczesnej rodziny. Poglądy pana Reptona - prostota, elegancja, wygoda - dotyczyły nie tylko krajobrazu, ale i wnętrza. Pierwsze, do czego się zabierze - postanowiła Miranda - to przerobienie staromodnej cedrowej bawialni na porządny salon.

Czyjeś wołanie, które przyniósł mokry wiatr, wyrwało ją z zadumy. Obejrzała się i zobaczyła Ragstone'a, stareńskiego lokaja, którzy szedł do niej z parasolem i wzywał:

- Panienko Mirando, jaśnie pani chce z panienką pomówić.

Miranda była przerażona stanem sługi.

- Ragstone, nie powinniście wychodzić na taką pogodę - wyrzucała mu łagodnie. - Zaziębicie się na śmierć. Spójrzcie na swój płaszcz, cały przemoczony. I gdzie się podział wasz kapelusz?

- To panienka się zaziębi na śmierć - wysapał. - A panienki płaszcz jest dokładnie tak samo przemoczony jak mój, jeśli nawet nie bardziej.

Ragstone od tak dawna był członkiem rodziny, że nie bawił się w ceremonie z państwem, a jeśli chodziło o przygany, to potrafił się odwdzięczać pięknym za nadobne.

Miranda spojrzała na płaszcz i ze zdumieniem stwierdziła, że Ragstone miał rację. Była przemoczona do nitki.

- W takim razie - oświadczyła zdecydowanie - musimy wracać do domu.

Rozpostarł parasol nad nimi obojgiem, Miranda po raz ostatni z niezadowoleniem zerknęła na świątynię i wrócili do domu w strugach siekącego deszczu.

Ochędziwszy się nieco, Miranda poszła do cedrowej bawialni, gdzie czekała na nią matka. Na widok córki lady Troy wyciągnęła ramiona.

- Drogie dziecko, właśnie rozmawialiśmy z papą o tobie.

Poddając się uściskowi, Miranda w myślach wyburzała ściany, powiększała okna i sztywny krąg krzesel zastępowała przytulnymi grupkami foteli.

- Otrzymałam list od pani Hastings, która zaprasza nas do siebie, do Londynu -

oznajmiła jaśnie pani.

Siadając na eleganckim, zgrabnym krześle, Miranda wpadła na pomysł, że gdyby w odpowiednich miejscach pozawieszać lustra, pokój stałby się optycznie większy i przestronniejszy.

- Ojciec nie zgadza się jechać, choć uważam, że postępuje okrutnie, wypuszczając nas do Londynu same, bez jego opieki.

- Fanny, nie znam kobiety, która mniej by potrzebowała opieki niż ty - wyrzekł lord Bascomb. - A przynajmniej nie takiej, jaką mógłby jej zapewnić taki nękany podagrą starzec jak ja.

- Wcale nie jesteś stary, tylko złośliwy.

Miranda dokładniej przemyślała pomysł z lustrami. Sześć, siedem, jak w pierwszym momencie sobie wyobraziła, to chyba odrobinę za dużo. Pan Repton niczego tak się nie lękał jak ostentacji. Za wszelką cenę musi jej unikać. Zastanawiała się, czy dwa zwierciadła nie wystarczą.

- Fanny, skoro musisz, zabieraj Mirandę do Londynu, ale ja nie przyłożę ręki do tego spisku przeciwko niej.

Jaśnie pani głośno wciągnęła powietrze.

- Spisek przeciwko niej! Wszak mam na myśli tylko jej dobro! Chcesz, żeby została starą panną?

- Tak!

Lady Troy przymknęła oczy. Przeszył ją dreszcz.

- Nigdy nie sądziłam, że usłyszę tak samolubne słowa z ust jej własnego ojca.

Przydałyby się tu też półki z książkami - myślała Miranda - zaokrąglone na górze i zwieńczone popiersiami cesarów.

- Możesz mnie nazywać samolubnym, jeśli wola - zawołał sir Bascomb. - Nic mnie to nie obchodzi. Wydałem za mąż trzy córki. I każdą jakiś nieopierzony dudek zabrał do swego domu. Zostało mi już tylko jedno dziecko, a i to chcesz wysłać w świat!

- Myślisz tylko o sobie!

- Jeśli ja nie będę o sobie myślał, to kto się o mnie zatroszczy?

Mirandzie zamajaczyło niewyraźnie, że jej szlachetnie urodzeni rodzice na siebie krzyczą. Próbowwała schwycić wątek rozmowy.

- Zgodziłem się na wasz wyjazd do Londynu - warknął sir Bascomb. - Czego jeszcze chcesz?

- Chcę, żebyś przez wzgląd na Mirandę pojechał razem z nami.

Mirandę ogarnęło zdumienie, gdy odkryła, że kłóca się o nią.

- Nie dość ci, że chcesz mi zabrać moje dziecię? Mam jeszcze uczestniczyć w tej zbrodni i usankcjonować ją swoją obecnością?

- A kto ma mnie zabrać, papo?

- Twoja matka. Chce, żebyś wyszła z Charlesa Hastingsa.

- Za kogo?

- Charlesa Hastingsa. Z pewnością obilo ci się o uszy nazwisko pani Hastings z Londynu.

Miranda się uśmiechnęła.

- Zaledwie jakieś tysiąc razy.

Lady Troy zapłonęła oburzeniem.

- Może wspomniałam o Tabicie raz czy dwa, ale to dlatego, że jest moją najstarszą, najdroższą przyjaciółką na świecie.

- I dlatego, że razem chodziliście do szkoły w Devon - dokończyła Miranda, jakby recytowała rodzinną litanie. - I dlatego, że uchroniłaś ją przed niestosownym małżeństwem, a ona przyjechała cię pielęgnować, gdy leżałaś konając na tyfus. A także ponieważ byłaś przy narodzinach jej syna, a ona przy moich narodzinach, więc obie uznałyście, że byłoby cudownie, gdyby pewnego dnia wasze dzieci się pobrały. Czy coś opuściłam, mam?

- Nie musisz za niego wychodzić, jeśli nie chcesz - odparła dotknięta milady. - Po prostu pomyślałyśmy sobie z Tabithą, że byłoby dobrze, gdybyście się poznali.

- Nie mam zamiaru go poznawać.

Sir Bascomb się rozpromienił.

- Dobrze z ciebie dziecko, Mirando.

Jego uśmiech zniknął, kiedy baronet zobaczył mordercze spojrzenie żony. Zaczerpnął tchu i poprawił się:

- To znaczy, drogie dziecię, nie zaszkodzi, jeśli zerkniesz na tego młodzieńca. W ten sposób, spełniwszy swój obowiązek, będziesz mogła wrócić do oj... to znaczy do domu.

- Oboje jesteście tacy dobrzy i zawsze pragniecie tego, co dla mnie najlepsze - zwróciła się Miranda do rodziców - ale dziś muszę wam odmówić. Nie mam czasu. Widzicie, muszę tu zostać, by doglądać przeróbek.

Sir Bascomb i jego małżonka zdumieni popatrzyli na swoją córkę, jakby właśnie oświadczyła, że Bonaparte wpadł do nich na herbatkę.

- Nie wiedziałem, że mamy w planach jakieś przeróbki.

- To dlatego, że dopiero dziś podjęłam decyzję. Jeśli pozwolisz, papo, zaczniemy od

pomieszczeń - co więcej, od tego właśnie pokoju.

Małżeństwo rozejrzało się po bawialni, próbując dopatrzeć się w niej jakichś wad.

- A kiedy już stopnieje śnieg i ziemia obeschnie - dodała Miranda - zabierzemy się do ogrodów.

- Ogrodów?

Baronet niespokojnie poskubał się po brodzie. Plany córki bardzo wyraźnie pachniały niewygodą, hałasem, kosztami i wszelkiego rodzaju dopustami.

- Tak, papo. Może powinniśmy dodać klomb, no i koniecznie trzeba coś zrobić ze sposobem strzyżenia żywopłotów. Ale co począć ze świątynią, jeszcze nie zdecydowałam. Obawiam się, że trzeba będzie ją zburzyć.

Lady Troy wzniosła ręce ku niebu.

- To wszystko wina tego okropnego Humphreya Reptona! To on cię tak urobił! Od kiedy usłyszałaś to obrzydliwe nazwisko, gadasz od rzeczy!

- Jego pomysły podobają mi się, mamó.

- Nieznośny jegomość. Jestem o nim najgorszego zdania.

Sir Bascomb, który ciągle jeszcze nie przyszedł do siebie po oświadczeniu córki, wyglądał, jakby rozboleła go wątroba. Miranda z pobłażliwym uśmiechem ujęła jego dłonie.

- Nie martw się, papo, nie pojedę do Londynu, nie zostawię cię samego. Z pewnością usechłbyś z tęsknoty. No i muszę zrobić z Opactwa Arundel miejsce, w którym da się jakoś żyć.

Poklepawszy go po policzku, wypuściła jego dłonie i podeszła do matki, wzięła ją za rękę i też pogłaskała.

- Ty też przestań się martwić, droga mamó. Nie pojedę szukać męża. Jeśli uda mi się przerobić Opactwo, tak w środku, jak i na zewnątrz, nie będę już pragnąć niczego więcej.

Sir Bascomb skubał brodę. Małżonkowie wymienili nad ramieniem córki pełne rozpaczy spojrzenia.

Zaledwie w kilka minut po wyjściu Mirandy z cedrowej bawialni sir Bascomb i lady Troy osiągnęli kompromis. Baronet przyznał, że teraz wyraźnie widzi, jak błędnie poprzednio rozumował. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby przedkładając jego dobro nad swoje, córka zaprzepaściła szansę na szczęśliwe pożycie małżeńskie. Dlatego też zgadza się, by Miranda tak szybko, jak to możliwe, wyruszyła z matką do Londynu. A choć nie posunie się aż tak daleko, by im towarzyszyć, mają jego błogosławieństwo. Co więcej, daje żonie pełną swobodę w kupowaniu sukien, czepeczków i wstążek niezbędnych do podbicia serc

londyńskich dandysów, jako że - jak przypuszcza - sumy te z pewnością nie zdołałyby przekroczyć kosztów ewentualnych przeróbek.

Lady Troy ze swej strony zobowiązała się zrobić wszystko co w jej mocy, by wybić Mirandzie z głowy wszelkie pomysły zmian w Opactwie.

- Wystarczy, że znajdzie się jej męża, który zajmie jej myśli - zapewniła jasnie pani małżonka - a nie będzie miała czasu na jakieś wydumane plany.

Pozostająca w błogiej nieświadomości co do planów rodziców Miranda odczekała, aż się przetrze, i ruszyła do wioski. Choć drogi były grząskie, postanowiła sobie, że musi przez nie przebrnąć, by dostać się do lokalnej biblioteki. Biblioteka to może zbyt duże słowo. Składało się na nią trochę powieści i tomy kazań. Mimo to Miranda uważała, że warto tam zajrzeć. A nuż od jej ostatniej wizyty zakupiono jakąś książkę o planowaniu krajobrazu. Gdyby nie błoto, pojechałaby faetonem, a tak, ze względu na złe warunki, musiała pójść pieszo. Z zapalem skierowała swe kroki do Togbury, ani na chwilę nie przestając rozmyślać, jak można by zmienić bieg pobliskiego strumienia, by przepływał bliżej jej sypialni i kołysał ją do snu rozkosznym szmerem.

W wypożyczalni w Togbury nie znalazła nic godnego zainteresowania. Za to spotkała pana Farrisa Lloyda, mieszkańca zamożnego majątku przylegającego do Opactwa Arundel. Ten wielce godny kawaler zajmował czwartą pozycję na liście ewentualnych dziedziców tytułu rozpustnego earla Sommerset. O tak, gdyby lady Troy nie uważała, że pierwszeństwo należy się jej starej przyjaciółce Tabicie Hastings oraz jej synowi Charlesowi, chętnie widziałaby w panu Lloydzie kandydata na męża córki.

Choć Miranda nie przeżywała takich rozterek, czuła się dość niezręcznie w towarzystwie pana Lloyda, ponieważ już dawno zauważyła, że jego serdeczność wykracza poza ramy zwykłej przyjaźni. Dwukrotnie już czuła, że był o krok od oświadczenia się o jej rękę; tylko dzięki wytrwałej paplaninie i udawaniu całkowitej nieświadomości zdołała zażegnać niebezpieczeństwo. Obie te sytuacje tak ją wyczerpały, że obawiała się, iż następnym razem pan Lloyd spotka się ze zdecydowaną odmową, a nie chciała tego robić, bowiem nie lubiła nikomu zadawać bólu.

Pan Lloyd stwierdził, że nie znalazł w bibliotece niczego, co by mu odpowiadało.

- Rozumiem pańskie uczucia - zgodziła się z nim Miranda. - Ja również niczego nie znalazłam. Oboje wychodzimy z pustymi rękami.

- Zapewne chciałaś, pani, przeczytać kolejne dzieło panny Burney. Zdaje się, że masz ją pani w estymie.

- A ty, panie, za to masz ją w pogardzie.

- Przyznaję, że nie mogę czytać książki, która ma za tytuł kobiece imię.

- Nie powinieneś pan sądzić książek tylko na takiej podstawie. Pozbawiasz się w ten sposób prawdziwej przyjemności, zapewniam.

- Nie przepadam za powieściami, lecz przyznaję, że delikatnej płci niewieściej to zajęcie może i przystoi.

Mirandzie cisnęły się na usta ostre słowa, które podałyby w wątpliwość ową, przypisaną jej przez pana Lloyda, kobiecą delikatność, wiedziała jednak, że nie ma sensu się z nim kłócić. Od nazbyt dawna się przyjaźnili. Za dokładnie znała jego poglądy i zbyt dobrze wiedziała, jak są niewzruszone, by się sprzeczać. Miranda już dawno poprzysięgła sobie nigdy nie dyskutować z tym panem, chyba że milczenie uznałby za zgodę z jego stwierdzeniami - a to już by się kłóciło z jej zasadami. Dziś jednak zasady liczyły się dla niej mniej niż wiedza. Chciała się dowiedzieć, co mogłaby zrobić w kwestii planowania krajobrazu, dzięki czemu odpowiednio szybko przystąpiłaby do wprowadzania zmian w majątku ojca.

- Choć ogromnie lubię pannę Burney - odparła - przyszedłam tu dzisiaj w innym celu.

I powiedziała, czego szukała.

- Czytałaś pani Gilpina? - spytał.

- Nie.

- Zdaje się, że mam w Keycroft egzemplarz *Podróży po krainie jezior*. Przespacerujesz się, pani?

Miranda splonęła rumieńcem. Ogromnie chciałaby móc przejrzeć książkę. Co prawda Gilpin miał nieco staromodne poglądy, ale pozostawał arbitrem w kwestiach krajobrazu. Miranda zdawała sobie sprawę, że posiada zbyt małą wiedzę, by móc się krzywić na Gilpina czy kogokolwiek, od kogo mogłaby się czegoś nauczyć. Mimo to kilkumilowy spacer w towarzystwie pana Lloyda i godzina spędzona z nim w jego bibliotece z pewnością skończyłyby się oświadczeniami, dlatego poprosiła:

- Czy zechciałby pan być tak uprzejmy i przesłać mi tę książkę?

- Z ochotą przywiozę ci ją, pani, osobiście.

Miranda zmusiła się do uśmiechu i rozstali się na końcu głównej ulicy - on, by przeszukiwać swoją bibliotekę, ona, by zebrać siły przed atakiem wielbiciela.

Miranda stała w oknie swojego pokoju dziennego, ponuro spoglądając na monotony pas żywopłotu za trawnikiem, gdy do drzwi delikatnie zastukała matka. Weszła i Miranda po

jej minie natychmiast poznała, że szykuje się zasadnicza rozmowa. Dlatego usiadła na delikatnym, mahoniowym krześle, podczas gdy lady Troy zajęła miejsce na drugim, takim samym. Chwilę czekała cierpliwie. Wreszcie, widząc, że matka najwyraźniej nie wie, jak zacząć, przerwała milczenie:

- Mamo, coś cię gnębi. Mam nadzieję, że nie martwisz się o mnie.

Jaśnie pani jakoś udało się uśmiechnąć.

- Jeśli się martwię, drogie dziecię, to dlatego, że widzę, jak całą uwagę skupiasz na przeróbkach w majątku, a nie na przyszłości.

- Przez przyszłość rozumiesz małżeństwo - żartobliwie odparła Miranda. - Czyż nie tak, mamo?

Lady Troy nie musiała odpowiadać. Jej rumieniec powiedział wszystko.

- Dlaczego to tak cię nęka, mamo? Mnie niczego nie brak do szczęścia.

- Dziecino, sama wiesz, że już nie pierwszy raz wbiłaś sobie do głowy jakiś szaleńczy pomysł i co z tego wynikło? Raz na przykład ogarnęła cię żądza rysowania. Nie dałaś papie i mnie spokoju, póki nie znaleźliśmy ci nauczyciela rysunku. Potem przerzuciłaś się na malowanie i choć nie chciałabym, byś poczuła się urażona, że ci to wypominam, ośmielę się przypomnieć, że w pracowni ciągle jeszcze stoją nie dokończone parawany. Następnie uznałaś, że napiszesz powieść, i wszyscy musieli chodzić na paluszkach, bo panna Miranda pisała. Tymczasem ty spłodziłaś trzy rozdziały i na tym koniec. Daruj, dziecino, ale to wszystko każe mi wątpić, by przeróbki majątku przyniosły ci więcej zadowolenia niż pozostałe twe przedsięwzięcia.

Tym razem to Miranda spłonęła rumieńcem.

Każde słowo matki było prawdziwe i choć nie wyrzucała tego córce, a próbowała tylko przemówić jej do rozsądku, Mirandę ogarnęły wyrzuty sumienia. Rzeczywiście, zdarzało się, że z entuzjazmem zabierała się do jakiegoś dzieła, a potem je porzucała. Płonęła zapalem przez dzień, dwa, po czym całkowicie traciła zainteresowanie dla sprawy. W końcu właśnie dlatego ciągle jeszcze była panną, choć już dwa razy niewiele brakowało, a wyszłaby za mąż. W obu sytuacjach zakochała się, zdobyła wzajemność i zerwała znajomość. Najwyraźniej - mówiła sobie w duchu - brak jej stałości.

- Nie powiedziałam tego, by ci sprawić przykrość - podjęła matka. - Gdybym rzeczywiście sądziła, że przeróbki zapewnią ci szczęście, nie sprzeciwiłabym się ani słowem.

Miranda poklepała matkę po ręku.

- Rozumiem, mamo. Dotychczasowe zachowanie rzeczywiście mogło podawać w wątpliwość moją wytrwałość w dążeniu do celu. Myślę, że papa nie pozwoli mi niczego

zrobić w majątku i bardzo dobrze, bo zapewne to też rzuciłabym w połowie. Muszę jednak wyznać, że bardzo pragnęłabym sprawić, by Opactwo zajaśniało całą swoją krasą.

Lady Troy wstała. Dramatycznie obróciła się twarzą do córki.

- Drogie dziecię - oświadczyła, głęboko zaczerpnąwszy tchu dla nabrania odwagi - jeśli zgodzisz się pojechać ze mną do Londynu i poznać pana Hastingsa, namówię ojca, żeby pozwolił ci zrównać z ziemią świątynię, posadzić klomby i zrobić z ogrodami, co tylko zechcesz.

Mirandzie zabłyśły oczy. Roześmiała się.

- Mamo, ty mnie przekupujesz!

- Tak, przekupuję.

- I wszystko po to, żebym wyszła za pana Hastingsa! Obawiam się jednak, że twe wysiłki spełzną na niczym. Z pewnością on nie ma ochoty mnie poznać równie szczerze jak ja jego. Cóż może być nudniejszego niżli dziecię serdecznej przyjaciółki matki?

- Zaryzykuję. Przyjmujesz łapówkę?

- Nie ma mowy. Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż być przedstawianą jako przysza oblubienica dżentelmenowi, którego nigdy przedtem się nie widziało na oczy.

- Och, ale wy przecież już się spotkaliście. Tabitha przywiozła go, kiedy przyjechała mnie pielęgnować w chorobie. Miał wtedy sześć lat; ty miałaś roczek. Od razu się pokochaliście. Pomogłaś mu wygrać w kardynały. Często trzymał cię na kolanach, a pewnego dnia niania złapała go nawet na przyglądaniu ci się w kąpielu!

Miranda potrząsnęła głową z uśmiechem, ale zapewnienie matki wcale nie zachęciło jej do spotkania z panem Hastingsem.

- No i, dziecino, przyjmujesz łapówkę czy nie?

Dziewczyna zastanowiła się chwilę. W końcu pocałowała matkę, roześmiała się i odparła:

- Niech ci będzie! Pojadę z tobą do Londynu, ale nie dlatego że mnie przekupiłaś, ale by sprawić przyjemność tobie i sobie.

Jaśnie pani klasnęła w dłonie.

- Och, moja droga, najdroższa dziecino, jakże się cieszę!

- Spotkam twojego pana Charlesa Hastingsa, mamo. Znielubimy się od pierwszego wejrzenia i to cię wreszcie przekona, byś dała pokój temu swataniu. A wtedy będę mogła zająć się czymś rozsądnym, na przykład kształceniem się w dziedzinie planowania krajobrazu.

- O, a ja liczyłam, że dasz spokój tym nedorzecznosciom!

- Nie dam. Co prawda postanowiłam nie ruszać ogrodów papy, póki nie będę pewna, że rozpocznę i dokonam dzieła za jego życia, ale też obiecałam sobie osiąść dogłębną wiedzę na ten temat.

Zrezygnowania lady Troy spuściła głowę.

- Zamierzam obejrzeć w Londynie wszystkie otwarte dla publiczności parki, ogrody, domy. W Londynie znajdę też wszelkie książki, których nie sposób dostać w Togbury. Będę mogła podziwiać najwspanialsze wnętrza. Och, mam, mam, dziękuję, że zabierasz mnie do Londynu! Byłam ślepa, że wcześniej nie dostrzegłam, ile z tego może wynikać dobra!

Lady Troy z ogromnym niepokojem przyglądała się córce. Jak to możliwe - zastanawiała się w duchu - by roztropnej niewieście więcej przyjemności sprawiały kamienie i drzewa niż przystojny dżentelmen z dwunastoma tysiącami funtów rocznie?

Minęło kilka dni, nim słońce wychynęło nieśmiało zza chmur i pan Farris Lloyd spełnił swą obietnicę. Przyniósł Mirandzie *Podróż po krainie jezior Gilpina*. Najchętniej natychmiast rzuciłaby się do lektury. Niestety, gość stał w bawialni, najwyraźniej nie zamierzając odchodzić.

- Panno Troy - zaczął - zechciałaby pani spocząć?

Czując, na co się zanosi, Miranda grzecznie odmówiła.

Pan Lloyd dodał sobie godności - choć i bez tego posiadał jej znaczne pokłady - łącząc dłonie.

- Musisz pani wiedzieć, że pragnąłbym z nią porozmawiać o sprawie wielkiej wagi.

- Wolałabym, byś pan tego nie robił.

- Proszę, byś zechciała mnie wysłuchać.

Miranda widziała, że chwila nadeszła. Zaciśnęła wargi i modliła się o odwagę.

- Panno Troy, pragnę panią prosić o rękę.

Po tym stwierdzeniu nastąpiła dłuższa cisza, by Miranda mogła uciszyć kołatanie serca.

- Nasz związek uważam za ze wszech miar pożądany - podjął. - Po pierwsze i najważniejsze, byłbym nim uszczęśliwiony. Jesteś pani piękną kobietą, a ja ogromnie lubię włosy wijące się nad czołem, właśnie takie jak pani. Do tego jesteś pani osobą wykształconą, obdarzoną wdziękiem, która ozdobi stół każdego mężczyzny, jeśli będzie miał dość szczęścia, by osiąść twą rękę.

Miranda zerknęła na niego w nadziei, że już skończył, i właśnie chciała odpowiedzieć, gdy zorientowała się, że to był dopiero wstęp.

- Wszystkie twe siostry, tak starsza jak i dwie młodsze, już wyszły za mąż, tak więc

teraz na ciebie, pani, przyszła pora szukać towarzysza życia. Moja osoba pierwsza nasuwa się na myśl, kiedy tylko weźmie się pod uwagę, że majątek twego ojca graniczy z moim. A jako że sir Bascomb nie ma synów, zapewne pragnąłby widzieć swoje ziemie w rękach kogoś zaufanego. A któż byłby bardziej zaufany niżli własny zięć?

Przerwał, dając Mirandzie szansę potaknięcia.

- Zaiste, któż? - bąknęła posłusznie.

- Teraz jednak muszę przejść do bardzo delikatnej materii, o której z pewnością nie powinienem rzec więcej niżli to, co mówi mi mój rozum. On zaś jasno nam objawi, że skończyłaś już, pani, lat dwadzieścia sześć, w którym to wieku kobieta może zostać uznana za zakamieniałą starą pannę. Jeśli nie skorzystasz, pani, z okazji i nie wyjdiesz teraz za mąż, jest wielce prawdopodobne, że druga taka szansa już się nie trafi.

Gdyby Miranda była młodszą albo słabiej znała tego dżentelmena, jego oświadczenie mogłoby wywołać u niej gniewu. Tymczasem jednak tylko spytała:

- Już pan skończył, panie Lloyd?

- Tak, choć pragnąłbym jeszcze dodać, że wiem o pani zainteresowaniu krajobrazowym stylem ogrodowym i gotów jestem ci udostępnić kawałek ziemi w pobliżu kuchni, byś tam mogła realizować swe pomysły. Twoje szczęście, pani, jest dla mnie pierwszym obowiązkiem.

- Czy mogę już odpowiedzieć?

- Tak, proszę.

- Panie Lloyd, pańska chęć poślubienia mnie pochlebia mi i budzi wzruszenie. Choć podawałeś pan logiczne powody, dla których powinnam przyjąć pańskie oświadczyzny, tuszę, że żywisz względem mnie również serdeczne uczucia, które trudno ci wyrazić.

Pokraśniał i spuścił wzrok.

- To prawda. Ale nie umiem pięknie wyznawać uczuć.

- Wysoko sobie cenię te uczucia. Pańska przyjaźń jest dla mnie prawdziwym skarbem. A pańskie rozumowanie i logika są niezaprzeczalnie słuszne. Jednakowoż nie mogę przyjąć pańskich oświadczyń i tuszę, że będziemy mogli puścić całą rzecz w niepamięć, by nigdy więcej już do niej nie wracać.

Zmarszczył brwi.

- Widać powinienem był mówić o miłości i gorących uczuciach. Wtedy przyjąłabyś mnie, pani.

- To by nie miało żadnego znaczenia. Ja po prostu nie mogę wyjść za mąż. Mam na to zbyt niestały charakter.

- To się zmieni, skoro się już pobierzemy.

- Ludzie nie zmieniają się tylko dlatego, że się pobiorą. A niestała żona unieszczęśliwiłaby pana. Sądzę też, że i ja byłabym nieszczęśliwa. Widzi pan, w przeciwieństwie do swych siostr, jestem dziedziczką.

- To nie powinno cię powstrzymywać przed małżeństwem, pani. Wręcz przeciwnie, twoja osoba staje się jeszcze bardziej godna zainteresowania.

- Pozwoli pan, że mu wyjaśnię. Ciocia Miranda, po której odziedziczyłam imię, zostawiła mi znaczną sumę pieniędzy, aby - jak stwierdziła - zapewnić mi niezależność. Ciocia uważała, że przed szlachetnie urodzoną panną bez własnego majątku stoją tylko trzy sposoby zarabiania na życie. Może albo zostać guwernantką, do końca życia uzależnioną od łaskawości pracodawców; albo zostać starą panną, do końca życia uzależnioną od łaskawości rodziny; albo też wyjść za mąż, uzależniając się po kres swoich dni od łaskawości męża. Tylko w ten sposób, zdaniem cioci Mirandy, szlachetnie urodzona kobieta mogła sobie poradzić w życiu.

- Powiedziałbym, że to dość zimny sposób patrzenia na życie.

- Ale, niestety, niezbyt daleki od prawdy. Zapisując mi swój okazały majątek ciocia dała mi wolność, abym nie została przymuszona do obrania którejś z tych dróg.

- Nie jestem gwałtownikiem, pani, do niczego nie zamierzam cię przymuszać.

- Być może nie zamierzałbyś, ale prawo zobowiązuje mnie, panie, do przekazania swego majątku mężowi, pozbawiając w ten sposób niezależności, którą ofiarowała mi ciocia Miranda.

- To prawda, ale wszak nie byłbym skąpcem. Wyznaczyłbym ci, pani, hojną pensję.

- To nie to samo, co samej sobie wyznaczać hojną pensję.

- Lecz kobieta winna pragnąć wyjść za mąż!

- Być może większość kobiet pragnie. Ja nie. Doprawdy, przykro mi, panie Lloyd. Nie mogę pana przyjąć.

- Widać pogłoski, które krążą po wiosce, są prawdziwe - odparł z lekkim rozdrażnieniem. - Powiadają, że zagięłaś, Pani, parol na pana Charlesa Hastingsa i zamierzasz wyruszyć do Londynu, by zdobyć jego serce.

Słyszając te bzdury, Miranda wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Niechże pan nie wierzy plotkom i będzie spokojny, pan Hastings wcale mnie nie obchodzi. Chcę tylko sprawić przyjemność mamie, dlatego się z nim spotkam. A gdy już spełnię obowiązek posłusznej córki, nigdy więcej nie spojrzę na tego dżentelmena.

Zapadło krótkie milczenie. W tym to czasie na twarzy pana Lloyda zagościło najpierw

rozczarowanie, następnie coś bliskiego zadowoleniu. Potarłszy dłonie, oświadczył tonem, który miał udowodnić Mirandzie istnienie następnej korzyści płynącej ze wstąpienia w związek małżeński: w ten sposób unika się nie chcianych oświadczeń innych dżentelmenów.

- W takim razie - oznajmił z satysfakcją - gdy ponownie się spotkamy, jeszcze raz poproszę cię, pani, o rękę.

ROZDZIAŁ TRZECI

KONTREDANSE

Druga reguła Hastingsa: Gracz musi być gotów postawić wszystko i iść za głosem swego instynktu. Choćby pod wszystkimi innymi względami pozostawał geniuszem, jeśli pod wpływem ostrzeżeń znajomych nie posłuchał tego, co mu radzi jego intuicja, nigdy nie osiągnie wielkości; gdyby Adam nie postawił wszystkiego na jedno jabłko, po dziś dzień trwałby w nieświadomości.

Pan Hastings wszedł do domu przy Queen Street i został natychmiast wprowadzony do salonu matki. Kiedy podniosła wzrok znad robótki, którą trzymała na kolanach, na jej twarzy, jak zwykle na widok syna, pojawiła się taka ogromna czułość, taka nie skrywana radość, że - choć pan Hastings bynajmniej nie należał do sentymentalnych - zawsze na chwilę brakowało mu tchu.

Pani Hastings owdowiała, nim jej pierwszy i jedyny syn powiedział pierwsze słowo. Jej mąż za życia był niezrównanym dżentelmenem i takim pozostał też po śmierci, jako że zostawił swej żonie i jedynemu dziedzicowi pokaźny majątek. Nawet najbardziej ekstrawagancki dandys nie zdołałby go roztrwonić, choćby żył i trzy razy. Nim młody Charles wszedł w wiek męski, stali się dla siebie z matką wszystkim, a choć już od dawna mieszkał we własnym domu przy Russell Square i wiódł życie, którego szczegółów - już on się o to zatroszczył - matka nie znała zbyt dokładnie, łącząca ich więź nie osłabła. Ilekroć jednak dostrzegał na jej twarzy ten wyraz, ogarniała go rzadka u niego czułość. W duchu przyznawał, że gdyby nie matka, która, nie wiedzieć czemu, kochała go bez granic i umiaru, wyrósłby na bezwzględny nikkzemnik.

Podszedł do niej i ucałował w policzek.

Uśmiechnęła się, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, zauważając kremowe bryczesy, lśniące buty, ciemnoniebieski surdut, wzorzystą kamizelkę i doskonale zawiązany fontaż.

- Charles - oznajmiła - wyglądasz dziś wspaniale.

- Mój krawiec gorąco ci dziękuje.

Nim usiadł, poruszył drwa w palenisku, by ogień ogrzał matkę.

- Rozumiem, że jesteś gotów i niecierpliwie wyglądasz rozpoczęcia mego dzisiejszego wieczorku.

- Wieczorku?

Uwielbienie zniknęło z jej twarzy. Jego miejsce zajęło przerażenie.

- Ależ, Charlesie, chyba nie zapomniałeś!

- Wygląda na to, że tak, ale to chyba nie ma aż takiego znaczenia. Odbędziemy nasze spotkanie już teraz, a otoczę cię taką atencją, że nawet nie zauważysz mojej nieobecności wieczorem.

- Nie zauważę! Wszak zaprosiłam cię na dzisiejszy wieczór, byś poznał lady Troy i jej córkę. Przysięgałeś, że przyjdiesz.

- Och, niezwykle mi przykro. Naprawdę.

- I co ja teraz im powiem? Spodziewają się cię poznać. Wczoraj przyjechały do stolicy i obiecałam im, że cię przedstawię. Ty zaś obiecałeś, że mnie nie zawiedziesz.

- Niestety, jestem już umówiony gdzie indziej. Wiesz, że nie sprawiłbym ci zawodu, gdyby to nie była ważna sprawa.

- A nie mógłbyś pokazać się choć na kwadrans, dla przyzwoitości?

- To może już teraz przedstawiś mnie tym paniom?

Zrozpaczona pani Hastings przyłożyła dłonie do skroni i choć zamierzała poprawić czepek, osiągnęła tyle, że wysunął jej się spod niego loczek. Wyglądała teraz jak osoba, która usiłuje równocześnie patrzeć w dwie strony.

- To niemożliwe - jęczała. - Wyszły. Miranda uparła się, że musi zajrzeć do Hatcharda. To drogie dziewczę poluje na książki o planowaniu krajobrazu. Wielkie nieba, będzie ogromnie zawiedziona, kiedy jej powiem, że nie zjawisz się dziś wieczorem.

Pan Hastings poprawił nakrycie głowy matki, myśląc równocześnie, że może i lepiej, iż od razu zawiódł pannę Troy, bo i tak wcześniej czy później musiała się przekonać, że pan Charles Hastings nie zamierza z niej uczynić swej *cara esposa*. Niestety, przy okazji zawiódł też i matkę, a choć uczucia panny Troy nic go nie obchodziły, to jej uczucia obchodziły go bardzo.

- Przysięgam, że zjawię się tu jutro, by je poznać. A jeśli tego nie uczynię, możesz skarcić mnie jak najsurowiej. I tak za rzadko to robisz. Obowiązkiem matki jest karcić dziatwę, a jeśli go nie spełnisz, oskarżę cię o poważne zaniedbanie.

- Och, nie możesz choć chwilę być poważny, Charlesie? Tak liczyłam, że dziś się zjawisz. Nie możesz odwołać tamtego spotkania?

- Niemożliwe. Mam grać w pikietę z lordem Everardem.

- Wielkie nieba, nie pojmuję twej miłości do tak złożonej gry. Nigdy nie zdołałam się jej nauczyć. Lord Everard z pewnością nie będzie miał ci za złe, jeśli to przełożysz.

Zacisnął zęby.

- Może by i nie miał, ale mnie by to zgoła nie satysfakcjonowało. Jedyne, co zdoła mnie usatysfakcjonować, to zemsta na tym jegomościu.

Mówił z tak niezwykłym żarem, że pani Hastings przyjrzała mu się uważniej. W jej oczach pojawił się niepokój.

- Och, Charlesie, chyba nie zamierzasz go wyzwać?

- Skończyłem już z pojedynkami. Wymyśliłem znacznie bardziej interesujący sposób dania mu nauczki.

Pani Hastings westchnęła z ulgą. Przypomniawszy sobie jednak, ile trudu kosztowało ją doprowadzenie do spotkania syna z córką przyjaciółki i uświadomiwszy sobie, że wszystko to spęzło na niczym, ponownie westchnęła.

Owe westchnienia nie przeszły nie zauważone. Co prawda pan Hastings nie pałał chęcią spotkania z panną Troy, ale też nie chciał zasmucić matki. A jeszcze mniej chciał stać się przyczyną jej smutku.

- Mamo - powiedział - zrobię, co w mojej mocy, by uporać się z Everardem do północy. Potem zjawię się na twoim wieczorku i będę już do twojej wyłącznej dyspozycji.

Pani Hastings smutno potrząsnęła głową.

- Pochłonie cię gra i zapomnisz o obietnicy.

- Założę się o co zechcesz, że nie zapomnę.

- Phi! Bez zakładu nic nie robisz.

- A, boisz się mnie, tak? Boisz się, że wygram - bo wygram, zawsze wygrywam.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Wcale nie. Jeśli wygrasz, to i ja wygram, bowiem wtedy poznasz najśliczniejszą dziewczynę na świecie i ona pozna najrozkoszniejszego chłopca na świecie.

- Nie próbuj mnie rozbrajać pochlebstwami, mamó. O co się zakładasz?

Pani Hastings zebrała się na odwagę i oznajmiła:

- Stawiam sześć guzików.

- Zgoda! Ostrzegam cię jednak: pewnego dnia wygram wszystkie twoje guziki, a wtedy - ograbiona z guzików - będziesz musiała grać na półpensówki!

Uśmiechnęła się czule i poprawiła kasztanowaty kosmyk, który opadł synowi na czoło.

- Możesz sobie zabrać wszystkie moje guziki, Charlesie. Masz moje błogosławieństwo.

Jak zwykle zabrakło mu słów, by odpowiedzieć na jej pełne miłości spojrzenie.

Dlatego tylko uniósł do warg jej dłoń i pocałował.

Ledwo pan Hastings usadowił się przy stoliku naprzeciwko Everarda, do pokoju wkroczyli kibice. Rozproszyli się to tu, to tam, jakby zjawili się tu zgoła przypadkowo. Zaiste, gdyby nie mieli takich znudzonych, nonszalanckich min, można by pomyśleć, że zjada ich ciekawość. Dwudziestka widzów stanowiła mieszankę londyńskiego towarzystwa: od szlachciców niskiego wzrostu i rodu po wysokich i utytułowanych. Wszystkich tych dżentelmenów łączyło jedno: należeli bądź do klubu Brooksa albo Boodle'a, bądź do obu. Pan Hastings widział, że Everard również to zauważył, bowiem nieco zzieleniał. Pan Hastings rozpakował nową talię i przetasował, powściągając uśmiech.

W chwili gdy Everard sięgnął po swoją talię, do pomieszczenia wszedł Feliks DeWitt. U jego boku stąpała kochanka lorda, pani Buxleigh, zbierając pełne podziwu spojrzenia zgromadzonych. Feliks przyniósł wyściełane krzesło, by mogła usiąść między graczami. Rozłożyła spódnice i uśmiechnęła się do zebranych.

- Co to, mniej się was tu nie mogło zebrać na zwykłą partyjkę pikiety? - warknął Everard, zwracając się przede wszystkim do pani Buxleigh i najwyraźniej zamierzając wygonić ją z pokoju. Ona jednak pozostała głucha na jego słowa. Jako jedyną przedstawicielkę płci pięknej otoczono ją szczególną atencją i widać postanowiła w pełni wykorzystać okazję.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzają ci kibice, Everard - odezwał się pan Hastings. - Rozeszła się pogłoska, że zamierzasz wygrać ode mnie te resztki, które mi zostały po naszym ostatnim spotkaniu. Dlatego też owi dżentelmeni, których w swoim czasie ja oskubałem, zbrali się tu, by być świadkami mojej sromotnej klęski. Jeśli zaś chodzi o panią Buxleigh, to liczyłem, że przyniesie mi szczęście. Bowiem w grze z tobą będę potrzebował ogromnego szczęścia.

To wyjaśnienie musiało Everardowi wystarczyć. W końcu nie mógł wyrzucić z pokoju swoich znajomych, członków tych samych klubów, zwłaszcza że ich obecność może świadczyć o tym, że słyszeli, jakoby oszukiwał, i teraz chcą być przy tym, jak zostanie zdemaskowany. Podobnie podejrzenia wzbudziłoby, gdyby wyrzucił stąd kochankę. Pan Hastings dostrzegł na twarzy jego lordowskiej mości rozterkę i poczuł, że - przynajmniej na razie - wszystko układa się dokładnie tak, jak zaplanował.

Aby jeszcze dolać oliwy do ognia, wstał, podszedł do pani Buxleigh i pochyliwszy się nad nią, szepnął jej coś do ucha. Kobieta wybuchnęła śmiechem. Lord Everard w milczeniu zmierzył ją lodowatym wejrzeniem, ale nic to nie dało. Dama uniosła dłoń, dając ją panu

Hastingsowi do pocałowania, a ten z rozkoszą spełnił jej żądanie.

W końcu usiadł i poprosił Everarda o przełożenie kart. Przez moment mierzyli się wzrokiem. Pan Hastings widział, że lord najwyraźniej postanowił nie poddać się bez walki. Pomyślał, że powinien był matce obiecać, że zjawi się o drugiej, nie o północy.

Rozdano karty, rozpoczęła się licytacja i już wkrótce pan Hastings przejrzał plan Everarda. Everard zamierzał przegrać, przegrać potężnie, tak by nikt nie zdołał go oskarżyć o oszustwo. Ale pan Hastings i tę możliwość przewidział.

Wygrał robra, zebrał pieniądze jego lordowskiej mości i zauważył od niechcienia:

- Cóż to, widzę, że szczęście cię dziś opuściło, Everard. Jakaż szkoda.

Pani Buxleigh spojrzała pogardliwie na lorda, po czym zaszczyciła swym uśmiechem pana Hastingsa. Odpowiedział tym samym. Wstał i poszedł po kieliszek wina. W drodze powrotnej zatrzymał się przy damie i pochylił się nad jej ramieniem, tak by musnąć policzkiem jej policzek.

- Napiłaby się pani wina? - spytał jedwabistym głosem.

- Tak - odparła, patrząc mu w oczy. - Konam z pragnienia.

Pan Hastings posłał jej spojrzenie, które mówiło, że gdyby to od niego zależało, żadne jej pragnienie nie pozostawałoby tak niecznie zaniedbane. Postawił przed nią kieliszek, wyciągnęła do niego rękę. Pan Hastings ucałował podaną dłoń i zerknął na przeciwnika, by sprawdzić, jakie wrażenie robi na nim ten flirt. Zobaczywszy, że jego lordowska mość zżółkł, uznał, że wszystko idzie dobrze. Tak dobrze, że chyba już jutro będzie mógł sobie kupić obiecany nowy zegarek.

Feliks wziął go na stronę i wyszeptał przerażony:

- Wielkie nieba, Hastings, czyś ty postradał zmysły? Przestań prowokować Everarda. Chcesz się obudzić jutro kulką w głowie? Sam podpisujesz na siebie wyrok śmierci.

Pan Hastings mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Uspokój się. Nerwy źle wpływają na trawienie.

- Nie wiesz, do czego jest zdolny Everard.

- A on nie wie, do czego ja jestem zdolny.

Z tymi słowy pan Hastings wrócił na miejsce.

Minęło następne dwadzieścia minut. Everard przegrał siedemset gwinei. Pan Hastings bezwzględnie wykorzystywał swoją przewagę. Zamierzał sprowokować jego lordowska mość do skorzystania z sygnetu. Wiedział, że człowiek pokroju Everarda nie pogodzi się z ciągłą przegraną, zwłaszcza jeśli tak łatwo można by ją zmienić w zwycięstwo. Po kolejnym kwadransie gry lord przegrał kolejne siedemset gwinei.

Dokładnie tak jak to przewidział pan Hastings, Everard w końcu uciekł się do pomocy pierścienia. A gdy tylko to zrobił, szczęście zaczęło mu dopisywać. I tak się rozkoszował wygraną, że nie zauważył ciszy, jaka zawisła nad pomieszczeniem. Widzowie, którzy konwersowali cicho, póki pan Hastings wygrywał, teraz umilkli, jakby stali nad trumną. W powietrzu zawisło napięcie.

Tymczasem zadowolony Everard zgarnął wszystkie lewy.

Pan Hastings pogratulował mu wygranej:

- Proszę, panowie, widzicie, jak to jest. Nie dorastam lordowi Everardowi do pięt.

Jego lordowska mość roześmiał się głośno i wysączył łyk wina. Nikt inny się nie roześmiał. Nikt inny nie tknął wina.

Pan Hastings podał Everardowi talię do przełożenia. Kiedy ten wyciągnął rękę po karty, chwycił ją, mówiąc głośno:

- Daję słowo, diablo zgrabny ten twój sygnecik.

Everard spojrzał mu w oczy. Twarz mu pobladła. Chyba wiedział, że jego gra dobiegła końca.

- Tak, diablo zgrabny sygnecik - powtórzył pan Hastings. - Coś mi się wydaje, że chętnie bym go kupił.

- On nie jest na sprzedaż! - zaprzeczył Everard, unosząc się z krzesła.

- Prawdziwa szkoda. A mogę obejrzeć?

Czując na sobie tyle spojrzeń, Everard nie odważył się odmówić. Wolno zsunął sygnet i podał przeciwnikowi. Pan Hastings włożył go na palec. Wyciągnąwszy rękę, by wszyscy mogli podziwiać pierścień, oznajmił:

- Dam ci za niego pięć słówek, Everard. Podejrzewam, że wart jest połowę tego.

- On nie jest na sprzedaż!

Pan Hastings pochylił się nad stołem, przysuwając twarz tuż do nosa przeciwnika.

- W takim razie zagramy o niego - oświadczył. W jego głosie zadźwięczała stal.

Everard wyglądał, jakby chciał odmówić, lecz przyjrząwszy się baczniej błyskowi w oczach pana Hastingsa zmienił zdanie. Podjęli grę. W pokoju zapadła taka cisza, że lekkie beknięcie Feliksa rozniosło się echem niczym uderzenie gromu.

Jak było do przewidzenia, pan Hastings wygrał robra, a wraz z nim i pierścień. Everard podniósł się sztywno. Twarz miał bladą jak ściana, usta mocno zaciśnięte. Zionął takim gniewem, że poważnie zaniepokojony Feliks zaproponował:

- Wielkie nieba, Everard, pozwól, że ci coś nałożę i naleję. Pani Stout podała dziś kuropatwę. Chodź, zjemy po kawałku.

Everard nie zwrócił na niego uwagi. Wpatrywał się w panią Buxleigh, która teraz widziała tylko jego przeciwnika. Pan Hastings podszedł do niej i upraszał o zaszczyt złożenia jej jutro wizyty. Podała dłoń, by mógł ponownie szarmancko ją ucałować. On jednak, choć ujął wdzięczną rączkę, tym razem nie złożył na niej pocałunku, lecz przycisnął do serca. Potem schylił się i przycisnął usta do skrawka gołej skóry między rękawiczką a rękawem. Dama pokraśniała i zadrżała. Everard również zadrżał, bynajmniej nie z tego samego powodu.

Pan Hastings wyprostował się gwałtownie i zerknął za zegarek. Dochodziła dwunasta, ale jeśli się pospieszy, zdąży na Queen Street przed wybiciem północy.

Wkrótce będę miał nowy zegarek - pomyślał. - Z postaciami tańczących ślicznotek zamiast cyfr.

- Żegnam łaskawą panią i drogich panów - oznajmił zdecydowanie.

Skłonił się uprzejmie i ruszył w stronę drzwi. Everard chwycił go za surdut. Zebrani mężczyźni postąpili o krok. Widząc, że są gotowi ruszyć Hastingsowi na pomoc, lord wypuścił przeciwnika. Zapanował nad sobą.

- Hastings, nie możesz iść, nie dając mi szansy odegrania sygnetu.

Nie poruszony pan Hastings poprawił wyłogi surduta.

- Z miłą chęcią bym ci służył, stary druhu, ale obiecałem matce, że się u niej zjawię. Zaprosiła do siebie pewną młodą damę. Pragnie, bym ją poznał, a potem się z nią ożenił. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie, ale nie wolno sprawiać zawodu rodzicielce.

Patrzył Everardowi prosto w oczy, póki ten nie spuścił wzroku i nie zszedł mu z drogi. Skierowawszy jedwabistym głosem pożegnanie do pani Buxleigh, pan Hastings opuścił zgromadzenie, wielce uradowany zdobyciem nowego pierścienia oraz perspektywą wygrania sześciu guzików.

Panu Hastingsowi udało się niepostrzeżenie wślizgnąć do salonu, gdzie rozbrzmiewał czyjś śpiew i dźwięki harfy. Słuchacze stali w wyjątkowym skupieniu, nie chcąc uronić ani jednej nuty. Wykonawczyni śpiewała tak cicho, że gdyby nie nastawili uszu, zapewniłoby się, że nie usłyszeli. Pan Hastings zerknął między głowami dwóch szykownych lejtnantów i dostrzegł jakąś, nie znaną mu, młodą damę, która siedziała przy harfie między dwoma wysokimi, zasłoniętymi oknami. Za sobą miała kominek. W blasku ognia jej biała suknia zdawała się ulotna i eteryczna, a migotliwe płomienie podkreślały krągłości jej figury i miękką linię policzka.

Ponieważ wszystkich pozostałych gości pan Hastings znał, wydedukował, że dama z wdzięcznym sopranem to owa panna, której tak gorąco nie życzył sobie spotkać.

Cóż, przynajmniej nie jej chuda i koścista - stwierdził w duchu, mierząc wzrokiem jej sylwetkę. Po chwili pozwolił sobie też przyznać, że choć głosik miała niewielki, to przynajmniej była obdarzona dobrym gustem muzycznym. Po bliższej obserwacji, kiedy to panu Hastingsowi wydało się, że dostrzega na twarzy dziewczyny inteligencję, doszedł do wniosku, że poznanie jej nie musi okazać się takim strasliwym dopustem, jak do tej pory przypuszczał.

Ledwo dziewczyna skończyła i wstała, skromnie przyjmując oklaski, koło pana Hastingsa wyrosła matka.

- Wygrałeś zakład, najmilszy Charlesie - przywitała go ciepło. - Jeszcze przed końcem wieczora dam ci twoje guziki. Najpierw jednak będziesz miał przyjemność poznać córkę mej najserdeczniejszej przyjaciółki.

I chwilę potem całował rękę wyraźnie rozgorączkowanej lady Troy. Biedaczka wodziła wzrokiem od niego do córki z nie skrywaną nadzieją. Panna Troy jednak zachowała kamienną twarz. Bez śladu zażenowania powiedziała to, co należy mówić w takich sytuacjach. Panu Hastingsowi spodobało się jej opanowanie i maniery.

- Miałem dość szczęścia, by zdążyć wysłuchać pani śpiewu i gry, panno Troy - stwierdził. - Zdaje się, że doskonale posiadasz pani tę sztukę.

- Pan jesteś nadto łaskawy - odparła. - Gdybym ćwiczyła tak jak należy, śpiewałabym teraz z większą siłą. Niestety, nie okazałam się zbyt sumienna i oto skutki.

Czyli jest też i rozsądna - pomyślał. - Nie dała sobie zawrócić w głowie komplementami.

Spytał, czy może prosić o honor pokazania jej portretu jego ojca, wiszącego w drugiej części salonu. Podał jej ramię i oddalili się od dwóch zaniepokojonych matek.

Zauważył, że panna Troy zgrabnie się porusza. Dobrze śpiewała, dobrze grała, dobrze mówiła i dobrze wyglądała. Wcześniej przypuszczał - nie, liczył na to - że okaże się pod każdym względem koszmarna. Tymczasem ten obrót spraw postawił go w trudnej sytuacji. Nie chciał polubić dziewczyny, by ich matki nie nabrały próżnej nadziei. Najbardziej obojętne zdanie, że uznał ją za znośną, wystarczyłoby, by obie niewiasty zaczęły snuć marzenia o cudownej przyszłości dzieci. Dla dobra panny Troy, a także dla swojego dobra, musi uważać ją za okropną istotę, ona zaś musi mu się odwdzięczyć pięknym za nadobne.

W milczeniu stali przed portretem. Obrócił się do dziewczyny i obserwował ją, gdy przyglądała się mężczyźnie, którego elegancka sylwetka ozdabiała ścianę. Jej profilowi

daleko było do doskonałości, ale trzeba przyznać, że miło się nań spoglądało. Choć obecna moda nie preferowała tak grubych i kręconych włosów, nie zmieniało to faktu, że były piękne. Wysoki stanik zasłaniał piersi bardziej, niż to się ostatnio robiło, ale mimo to jej biust wydawał się bardziej pociągający, niż gdyby był całkiem odkryty. Mimo swoich licznych niedoskonałości panna Troy okazywała się - długo szukał słowa, aż wreszcie je znalazł - interesującą młodą damą.

- Pański ojciec był ogromnie miłym człowiekiem - odezwała się.

- Naprawdę? Nie pamiętam. Zmarł, gdy byłem jeszcze niemowlęciem.

- O tak, był bardzo miły. Ma to wyraźnie wypisane na twarzy.

- Widzę, że umiesz pani czytać z ludzkich twarzy.

- Cóż, przez pewien czas zajmowałam się fizjonomiką. Nauczyłam się odczytywać z twarzy charakter i temperament danej osoby.

Uśmiechnął się.

- Doprawdy? A co pani wyczytasz z twarzy tamtej damy?

Ruchem głowy wskazał szykowną młodą kobietę, pochłoniętą rozmową z grupką otaczających ją mężczyzn.

Miranda przyglądała jej się przez chwilę, w końcu westchnęła:

- Ojej.

- Całkowicie się z panią zgadzam. Caro Lamb to z całą pewnością osoba, na której widok z piersi wyrywa się westchnienie. Nieźle sobie pani poradziła. W takim razie może pani odważyć się odczytać mój charakter.

Spojrzała nań ostro, potem odwróciła wzrok.

- Nie powinnam była tak się przechwalać swoimi umiejętnościami. Nie przyłożyłam się zbytnio do swoich studiów nad fizjonomiką. Z pewnością zapomniałam już wszystkiego.

- Czy mam umrzeć i zawisnąć na ścianie, by zgodziła się pani popatrzeć mi prosto w twarz?

Ujął ją palcem pod brodę i obrócił ku sobie.

- Wiszenie na ścianie to taka nuda - stwierdził. - Zrobisz mi, pani, ten zaszczyt i powiesz, co widzisz, póki jeszcze żyję i mogę tego wysłuchać?

Splonęła rumieńcem. Widział, że czuje się niezręcznie. Musi bezwzględnie wykorzystać swą przewagę, tak jak to zrobił dzisiejszego wieczoru przy grze z Everardem. W tym jednak wypadku łatwo było mówić, a nieco trudniej zrobić, bo dziewczyna dość mu się spodobała. Nie kokietowała go. Nie traktowała jak ewentualnej zdobyczy. I pachniała świeżo niczym kwiat lawendy.

Do diabła z jej zapachem - ostrzegł się w duchu.

Nie mógł sobie pozwolić na to, by ją polubić. Jeśli ma oszczędzić matce rozczarowania, a pannie Troy złamanego serca, koniecznie musi ją znienawidzić od samego początku, i ona musi go obdarzyć podobną niechęcią.

- Co pani widzi? - spytał znowu, bowiem przez jakiś czas przyglądała mu się bez słowa. - Upraszam jednak, byś pani nie wspominała nic o moich przystojnych rysach. Te ciągle pochwały w końcu stają się nudne.

Ku jego zaskoczeniu wybuchnęła śmiechem. Zdaje się, że jego bezczelność brała za dowcip. Musi spróbować jeszcze raz.

- A więc, jestem diabłem czy aniołem? Proszę, proszę, panno Troy, niechże mnie pani nie trzyma w niepewności.

Głęboko zaczerpnęła tchu i odparła:

- Właśnie pan odniósł zwycięstwo i jest z siebie ogromnie rad.

- Utrafiła pani doskonale - przyznał pod wrażeniem. - Wygląda na to, że jednak świetnie pani zapamiętała nauki. A jakież to zwycięstwo odniosłem? Czy i to pani odgadnie?

Zaskoczyło go, gdy zaczęła się nad tym zastanawiać. Najwyraźniej inteligentną odpowiedź przedkładała nad kpiny. Nie przywykł, by jego pytania traktowano tak poważnie. Do tej pory w jego obecności panie kokietowały go i paplały, próbując zwrócić na siebie uwagę. Ale też panna Troy nie była niedoświadczoną panienką. Wiedziała to i owo o życiu. Teraz już nie wątpił - dawno nie poznał równie interesującej damy.

- Wygląda na to - stwierdziła - że nie był to podbój miłosny.

- I znów pani trafiłaś. Nie, to było coś o wiele lepszego niż miłosny podbój.

Przyglądała mu się, jakby ją zaciekawił. Przechyliła nieco głowę. Przypatrujące mu się bacznie oczy były ciemnobrażowe. Założył się w duchu, że nie minie tydzień, a będzie je całował. I szybko cię wycofał. Właśnie takich myśli musi unikać. Jeśli nie będzie uważał, skończy się na tym, że będzie wyglądał, jakby ją podziwiał; a choć naprawdę ją podziwiał, nikt nie może się tego domyślić - zwłaszcza jego matka, a jeszcze mniej jej matka, a już najmniej sama panna Troy.

- Nie mam słów, by opisać pani, jak byłem uszczęśliwiony, gdy moja matka powiedziała mi, że zamierza nas sobie przedstawić - oznajmił.

Uśmiechnęła się ze sceptycyzmem, który - mimo najszczerzych chęci - go rozbawił. Panna najwyraźniej nie kupowała górnołotnych zapewnień.

- Uważam jednak za swój obowiązek ostrzec panią natychmiast, nim zdążysz się pani we mnie zakochać po uszy, że nie zamierzam się z nią żenić. Wiem, że pani i jej matka

będziecie rozczarowane, na próżno przejechawszy taki szmat drogi do Londynu, tuszę jednak, że jakoś dojdziecie do siebie. Jeśli pani sobie życzysz, popytam wśród znajomych, czy któryś nie miałby ochoty się z panią ożenić. Jeśli chodzi o mnie, najbliższe miesiące zbyt mam zapelnione, by myśleć o ożenku.

Z satysfakcją zobaczył, jak dziewczyna szeroko otwiera usta. Oczy jej płonęły. Gdyby nie to, że stali w salonie pod błękitnym sufitem z mosiężnym żyrandolem, wśród kanap z różowego brokatu i modnych gości, chyba by go uderzyła.

Uśmiechnął się szeroko, by - w razie gdyby sądziła, że słuch ją omylił - musiała uwierzyć, że słyszała te bezczelne słowa. A potem czekał na jej reakcję.

Był pełen uznania dla wysiłku, na jaki się zdobyła, by nad sobą zapanować i znaleźć odpowiedź. Jej brązowe oczy po raz kolejny kazały mu się zastanawiać, jakby to by było, gdyby ujął jej twarz w dłonie i ustami delikatnie muskał jej brwi.

- Panie Hastings - przemówiła drżącym głosem - wielcem panu zobowiązana. Gdyby się pan okazał mniej arogancki, mniej przemądrzały, mniej godny pogardy, przykro by mi było, że muszę zrujnować plany mojej matki. Okazało się jednak, że ułatwiłeś mi pan zadanie i mogę się z panem rozstać nie tylko bez żalu, ale z radością, że już nigdy więcej pana nie ujrzę.

Z tymi słowy obróciła się na pięcie i odeszła.

Przyglądał jej się z napięciem, które zwykle rezerwował dla gry w pikietę. Poruszała się godnie. Delikatna, biała suknia oplatała się jej wokół nóg. Rozkoszne ramiona były dumnie wyprostowane. I ani razu się nie obejrzała.

Pana Hastingsa powinna rozsadzać radość, skoro udało mu się raz na zawsze zniechęcić do siebie tę damę. Tymczasem on był rozdarty. Miał do wyboru dwie możliwości: dalej tkwić w miejscu i patrzeć, jak rozplywa się w cieniu, na zawsze znikając mu z oczu i z życia, albo posłuchać skłonności, która każe mu za nią iść.

ROZDZIAŁ CZWARTY Z DESZCZU POD RYNNĘ

Rozpoczynam niniejszym moje notatki o sztuce ogrodowej, służące opracowaniu planu, dzięki któremu można by udoskonalic ogrody Opactwa Arundel. Dołączac będę równiez wszelkie cenne spostrzeżenia, które posłużą modernizacji wnętrza domu. Dziś poszliśmy z mamą do Hatcharda, gdzie kupiliśmy najnowsze rozprawy na ten temat. Wszyscy autorzy zgodnie twierdzą, że w naturze nie ma czegoś takiego jak linie proste, kąty, kwadraty czy prostokąty, a zatem te wyglądają sztucznie. Skoro tak, to żywopłoty w Opactwie są uformowane z wyjątkowo niepożądaną regularnością. Nie znajdzie się tam ani jednego krzaczka, którego by się nie przycinało i kształtowało, miast pozwalac mu rosnać, jak mu każe natura. Potrzebne są płynne linie, zaokrąglenia, które dodadzą krajobrazowi miękkości. Nie wiem, co właściwie należałoby uczynić, by zniszczyć tę geometryczną sztywność, i nie jestem pewna, czy w ogóle powinno się coś robić. Czy linie, kąty i pozostałe te rzeczy to naprawdę taka okropność, którą trzeba wymazać z powierzchni ziemi? W majątku wielkości Opactwa Arundel z pewnością znajdzie się dość miejsca na różnorodność. A ponieważ nie wyczerpałam jeszcze wszystkich pytań, zapewne dalej będę zgłębiać tę wiedzę. Gdybym tylko nie musiała dziś spotkać pana Hastingsa i mile się do niego uśmiechać!

Miranda zapomniałaby o nakazach dobrego wychowania i natychmiast wyszła z salonu, gdyby nie zatrzymała jej matka. Z wściekłą miną zaatakowała biedną kobietę.

- Co za obrzydliwy typ!

- Och, chyba nie mówisz o panu Hastingsie! Ponoć to wyjątkowo czarujący mężczyzna.

- Jeśli już, to wyjątkowo odrażający. Wyobraź sobie, że ważył się mnie poinformować, że jest zbyt zajęty, by myśleć o małżeństwie, lecz z chęcią popyta wśród znajomych, czy któryś nie miałby ochoty się ze mną ożeni. Jakbym potrzebowała jego łaski!

- Może chciał tylko być uprzejmy - żałośnie odparła jaśnie pani.

- Tak jak przewidywałam: podobnie jak ja jego, tak i on nie miał najmniejszej ochoty mnie poznać.

- Och, dziecino, tak ci współczuję, ale proszę, nie przejmuj się jego okropnym zachowaniem. To doskonały znak. Świadczy, że jest tobą oczarowany.

- Gdyby był mną oczarowany, nie wyłaziłby ze skóry, by mnie obrazić.

- I tu się mylisz. Panowie nigdy nie zwracają sobie głowy obrażaniem damy, która ich nie zachwycała.

- Guzik mnie obchodzi, czy go oczarowałam, czy nie. Mnie z całą pewnością nie zachwycał. Teraz wymyślę jakąś wymówkę dla pani Hastings i pójdę spać.

- Nie możesz wyjść tak wcześnie! To będzie bardzo dziwnie wyglądało. Tabitha nie będzie się posiadała z żalu.

W tej samej chwili podeszła do nich pani Hastings. Smutny wyraz twarzy mówił wyraźnie, że czuła, iż coś źle poszło.

- Droga Mirando, co się stało?

- Moje biedactwo, czuje się nieco niedysponowana - odparła za nią matka.

- Wielkie nieba! Charles będzie ogromnie zasmucony. Zawsze tak się niepokoi, gdy coś mi dolega.

- Śmiem twierdzić, że w moim wypadku szybko się otrząśnie - odparła Miranda, nie kryjąc ironii.

- Lepiej nie mówmy mu o tym ani słowa - stwierdziła konspiracyjnym szeptem jego matka. - Po co kłopotać drogiego chłopca.

- Z prawdziwą rozkoszą nie będę do niego mówiła ani słowa - oświadczyła Miranda, ale widząc przyganę w oczach matki, pożałowała swojej kądziłości. W końcu to syn zasłużył na reprimendę, nie matka. Ze strony pani Hastings spotkała ją wyłącznie serdeczność. Dlatego łagodnym tonem dodała: - Daruje mi pani, ale już się pożegnaj. Z całego serca dziękuję pani za troskę.

- Zapewne to skutek przegrzania i ciasnoty pokoju - przyznała współczująco pani Hastings. - Może jeśli odpoczniesz kwadransik, nabierzesz sił, by do nas powrócić. Każę służącemu, by oświetlił ci drogę.

Po czym Miranda została wyprowadzona z salonu i po krętych schodach wspięła się na piętro.

Jej sypialnia i garderoba mieściły się na tyłach domu. Kiedy już znalazła się na miejscu, służący zapalił kandelabr i na paluszkach opuścił pokój. Miranda otworzyła okno. Nocne powietrze było rozkosznie chłodne; zimny podmuch chłodził jej kark. Mimo to w dziewczynie nie przestał płonąć gniew. Nie mogła się doczekać, kiedy zapomni o obrzydliwym panu Hastingsie i pograży się w lekturze książek, które kupiła rano. Choć pani Hastings zachęcała, by wróciła do salonu, nie zamierzała porzucać studiów i ryzykować kolejnego spotkania z jej synem.

Sięgnąwszy po *Dzieje najnowszych gustów i stylów ogrodowych* Walpole'a i swój

dziennik, wyciągnęła się na szezlongu. Po raz kolejny zachwyciła ją ozdobnie rzeźbiona, miękka rama i szkarłatna poducha. Opactwo Arundel nie mogło się poszczycić czymś tak rozkosznym jak szezlong. Zaiste, wyposażenie Opactwa swoją surowością przywodziło na myśl obóz wojskowy. Pani Hastings urządziła swój dom w stylu określanym mianem „swobodnego”. Meble nie stały pod ścianami niczym żołnierze w szyku, a były rozrzucone tu i ówdzie, swobodnie. Wyglądało to zgrabnie, elegancko i wygodnie. Właśnie coś takiego głosił pan Repton. Miranda zapisała w dzienniku „swoboda” i podkreśliła wyraz trzema liniami.

Potem zatrzymała wzrok na wcześniejszych zapiskach, na zdaniu, w którym wyrażała obawę przed spotkaniem z panem Hastingsem.

- Och, zaiste, proroctwo to były słowa! - odezwała się głośno.

Nikt nie przypuszczał, że ich krótka rozmowa może zakończyć się tak nieszczęśliwie. Jak to możliwe, by ktoś o tak czarującej, chłopięcej twarzy, takiej niewinnej minie okazał się takim potworem? Cery musiała mu zazdrościć każda mieszkanka stolicy. A takich długich, wspaniałych rzesz długo by szukać u mężczyzny. Uśmiech - o ile nie zmieniał się w złośliwy grymas - był czarujący. Ale niewiarygodna próżność tego człowieka sprawiała, że znikał wszelki zachwyt jego osobą. Równie dobrze mógł być maskaradem. Z takimi myślami, kłębiącymi jej się w głowie, zasnęła.

Po jakimś czasie przebudziły ją krzyki. W pierwszej chwili pomyślała, że przyśniły jej się te ostre, rozzłoszczone, chrapliwe głosy rodem z koszmaru. Ziewnęła, wzdrygnęła się. I nagle znieruchomiała, bo znowu je usłyszała.

Natychmiast klękła na szezlongu i wyjrzała przez okno. Obok stajni i zabudowań dla służby dostrzegła cienie trzech mężczyzn. W słabym świetle księżyca zobaczyła jedynie ich sylwetki, ale jedno nie ulegało wątpliwości: ci trzej bili czwartego mężczyznę, bili go bezlitośnie. Głośno wciągnęła powietrze, widząc, jak łomocą go pięściami. Potem znowu głośno wciągnęła powietrze, gdy zauważyła, jak wstaje i próbuje walczyć z silniejszym, liczniejszym, bezwzględny przeciwnikiem. Normalny człowiek już dawno leżałby nieprzytomny na bruku, lecz on był tak niezniszczalny, tak zwinny, tak zawzięty, że dał pokaz wspaniałej walki. Wbrew wszelkiej logice udało mu się obezwładnić jednego przeciwnika, który z jękiem runął na ziemię. Miranda zastanawiała się, jakim cudem nikt z domowników nie słyszy tego hałasu i nie rusza z pomocą. I wtedy przypomniała sobie o przyjęciu, które odbywało się w salonie z przodu domu. Goście robili tyle hałasu, że skutecznie zagłuszali wszelkie inne odgłosy. Służący zaproszonych gości i stajenni pani Hastings powinni słyszeć krzyki i jęki tej czwórki, ale mogli je uznać za zwyczajne odgłosy miasta. Tak czy owak, nikt

nie przyszedł z odsieczą biednemu dżentelmenowi.

Tymczasem wyżej wzmiankowany biedny dżentelmen dalej uchylał się przed ciosami przeciwników, sam przy każdej okazji rozdzielając potężne uderzenia. Ten, który padł na ziemię, wstał, pomacał dokoła i w końcu znalazł solidną pałkę. Miranda zeszywniała ze strachu, kiedy stanął za ofiarą i zamierzył się do ciosu. Opuścił ją na głowę tamtego z morderczą, jak się wydawało Mirandzie, siłą. Uderzyła z trzaskiem. Miranda zobaczyła, jak oszołomiony mężczyzna pada na kolana, a napastnicy zbierają się wokół niego, by dokończyć dzieła.

Wtedy, ku swemu zdumieniu, usłyszała własny krzyk. Trzej rabusie obejrżeli się i popatrzyli w górę.

- Natychmiast go zostawcie! - rozkazała. - Zachowujecie się jak banda uczniów!

Mężczyźni popatrzyli po sobie. W półmroku nie widziała wyrazu ich twarzy. Wydawało się jednak, że byli stropieni. Po chwili odzyskali panowanie nad sobą, jeden z nich coś warknął i pomknął przed siebie, znikając w ciemnościach.

Czwarty został na klęczkach. Wolno, niepewnie podniósł się na nogi, macając ranę na głowie. Podniósł wzrok, po czym wdzięcznie się skłonił.

- Dziękuję, panno Troy - oświadczył wielkopańskim tonem. - Gdyby nie to, że straciłem kapelusz, nie wahałbym się go przed panią uchylić.

To mówiąc zwałił się na ziemię.

Parę ładnych minut zajęło Mirandzie odnalezienie drzwi wychodzących na podwórze; niepokoiła się, czy dżentelmen nie wyzionął w tym czasie ducha. Wypadła z sypialni w takim pośpiechu, że zapomniała szala. Dlatego też, gdy otworzyła drzwi kuchenne prowadzące na tyły zabudowań, uderzył ją przenikliwy chłód nocnego powietrza. Zatrzymawszy się na moment, przypomniała sobie to, co wcześniej tak ją zaskoczyło: mężczyzna znał jej nazwisko. Rozważyłaby tę kwestię dogłębniej, gdyby nie to, że musiała odłożyć wszelkie rozważania na później, by ruszyć z pomocą konającemu dżentelmenowi, który leżał na boku, z ramieniem zasłaniającym twarz. Spoczywał tak nieruchomo, że była niemal pewna, że już po nim.

Klęknęła i ręką sprawdziła, czy nie czuć bicia serca. Ale ono albo już zgasło, albo kołatało tak słabo, jakby zamierało. Delikatnie przekreśliła mężczyznę na plecy i przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej. Nadal nie wiedziała, czy mężczyzna żyje, czy też skonał. Wyprostowała się i postanowiła sprawdzić ranę na głowie. Ledwo zabrała ramię zasłaniające twarz, głośno krzyknęła. Twarz była brudna, zalana krwią, spuchnięta, ale z całą pewnością

należała do pana Charlesa Hastingsa. W poświacie księżyca wyglądała nieziemsko, niczym twarz umarłego. Zasłoniła usta ręką, próbując ogarnąć fakt, że mężczyzna, który przed niecałą godziną obraził ją wręcz niewyobrażalnie, teraz poniósł karę, i to z nawiązką.

Nie pora była jednak dumać teraz nad drogami boskiej sprawiedliwości. Cios, który widziała, musiał być druzgocący. Przysunawszy się nieco bliżej, przyjrzała się uważniej głowie rannego. W blasku księżyca nie widziała wszystkiego, ale to, co zobaczyła, wystarczyło, by się skrzywiła. Mężczyzna leżał w kałuży krwi, która wypływała z dużego, lepkiego placka zasłoniętego włosami. Miranda bez namysłu oderwała zakład od halki, zamierzając obandażować nim głowę mężczyzny. Żałowała, że nie wie, czy to dobrze czy źle, że jest nieprzytomny. Kiedy już oderwała wystarczająco długi skrawek, by dało się nim owinać głowę, przyjrzała się baczniej twarzy dżentelmena. Zauważyła, że pozostała przyzwoista; mimo uderzeń, jakie na nią padły, mimo pożałowania godnych manier jej właściciela. Drgnęła, gdy poczuła, jak tenże chwytą ją za rękę.

- Podobało mi się, kiedy przykładała mi pani rękę do serca - przemówił z wysiłkiem. - Byłabyś pani tak łaskawa i uczyniła to jeszcze raz?

Pisnęła i odezwała się ostro:

- Nie mogę obandażować panu głowy, kiedy trzymasz mi rękę.

Niechętnie wypuścił jej dłoń. W jego oczach odbił się blask księżyca. Uśmiechnął się.

- Myślałam, że pan nie żyje.

- Raczej: miałaś pani nadzieję, że nie żyję.

- Nie dość, że jest pan arogancki i nieuprzejmy, panie Hastings, to jeszcze pan oszukuje. Udawał pan nieprzytomnego.

- Tak, tak, jestem prawdziwą zakałą i czym tam pani jeszcze sobie życzy. Niczego bym bardziej nie pragnął, jak leżeć tu całą noc i zaznajamiać panią z moimi niezliczonymi wadami. Tymczasem jednak męczy mnie diabelny ból głowy.

- Jeden z przeciwników uderzył pana pałką. Z pewnością próbował go pan wyswatać z jedną ze swych znajomych, a on się obraził.

- Nigdy przedtem nie widziałem jegomościa na oczy. Żadnego z nich, skoro o tym mowa. - Choć ton był nonszalancki, głos mu nieco drżał.

Miranda podejrzewała, że ogromnie cierpi. Nie mógł nie czuć skutków tak potężnego ciosu. Nie zdołała się powstrzymać i wyrzuciła łagodnie:

- Powinieneś być pan dać im sakiewkę, to zostawiliby cię w spokoju. Co za brak rozsądku, walczyć z nimi dla paru koron.

Zastanawiała się, czy owijanie bandaża sprawi mu nieznośny ból. Próbował unieść

głowę, ale nic z tego nie wyszło.

- Oni nie chcieli mnie obrabować - odparł, przyzymkając oczy. - Chcieli mnie zatłuc bez miłosierdzia i najwyraźniej im się udało.

- A dlaczego mieliby chcieć pana zatłuc, skoro nie chodziło im o pieniądze?

Popatrzył jej w oczy.

- Najęto ich, by się na mnie zemścili.

Nie spuściła wzroku pod jego spojrzeniem.

- To nie ja ich najęłam, jeśli to masz pan na myśli.

Roześmiał się.

- Całkowicie uwalniam cię, pani, od winy, panno Troy. Wiem doskonale, że to ktoś inny pierwszy mnie dopadł.

- Kto?

- To długa opowieść, a lękam się, że zemdleję, nim zdołam ją dokończyć.

- Błagam, racz pan nie opowiadać - poprosiła zaniepokojona Miranda. - A także zechciej pan nie mdleć, jeśli możesz. Pójdę po lekarza, panie Hastings. I tak za długo zwlekałam.

Chciała wstać, ale chwycił ją za rękę.

- Nie, nie idź pani po balwierza.

Słyszac ogromne napięcie w jego głosie, ponownie uklęknęła.

- Jesteś pan poważnie ranny.

- Jeśli sprowadzisz pani medyka, matka dowie się o tym wypadku. Dostanie palpacji, drżenia serca, będzie odchodziła od zmysłów ze strachu i niepokoju. Błagam, zlituj się, pani, nad moją matką.

- Przecież możesz pan umrzeć, jeśli nie zajmie się tobą lekarz.

- Właśnie, i w ten sposób wreszcie pani będziesz miała swą zemstę. Ja, ze swej strony, będę rad, że wreszcie uda mi się panią zadowolić.

- Pięknego musisz pan być o mnie mniemania, skoro sądzisz, że mogłabym ci życzyć śmierci, niezależnie od tego, jak bardzo na nią zasłużyłeś. Idę po medyka. Zechciej pan wypuścić moją rękę.

- Nie.

- Uparty z pana człowiek, panie Hastings.

- Nie masz końca moim wadom. Ale, panno Troy, proszę mnie wysłuchać. Masz pani matkę. Czy ochraniaś ją przed troskami, czy o wszystkim jej mówisz?

- Oczywiście, że nie o wszystkim jej mówię. Gdybym mówiła, zamartwiałaby się

dzień i noc. Ale tu chodzi o coś innego. Tu chodzi o pańskie życie.

- Tylko jeśli pani to rozgadasz. Jeśli będziesz trzymać język za zębami, nic mi się nie stanie.

- Nie rozumiem.

- To proste. Jeśli nie będzie o mnie żadnych wieści, dżentelmen, który najął napastników, uzna, że albo gdzieś się ukryłem, albo leżę bezpiecznie w grobie. Sądzę, że oba te wytłumaczenia zadowolilyby go na tyle, by umył ręce od całej sprawy i żył sobie wesoło jak przedtem. Jeśli zaś dowie się, że lekarz jakoś mnie wyciągnął, ponownie nasię na mnie swoich ludzi, lecz tym razem każe im się lepiej spisać. Potrzebuję trochę czasu, by wylizać się z ran i móc ponownie spotkać się z tymi trzema miłymi jegomościami. Tym razem jednak będę miał przyjemność porządnie zdzielić każdego z nich, by wrócili do swego pana z podbitymi oczami, rozkwaszonymi nosami i uprzejmą wiadomością ode mnie, że zamierzam się u niego zjawić.

- Widzę, że ta wizja nadzwyczaj pana raduje - stwierdziła Miranda rozzłoszczona, że pan Hastings więcej uwagi poświęca zemście niżli ranom.

Popatrzył na nią z błyskiem w oku.

- Nawet w połowie nie tak bardzo, jak bycie pielęgowanym przez czarującą młodą damę, która najchętniej wyrwałaby mi serce z piersi. Proszę, niech pani sięgnie mi do kieszeni.

- Mam nadzieję, że nie nosisz pan przy sobie pistoletu - odparła Miranda, która wolała go dotykać wyłącznie wówczas, kiedy to się okaże konieczne.

- Nie pistolet, piersiówkę.

- *Och.*

W kieszeni na piersi znalazła niewielką, srebrną buteleczkę. Otworzyła ją. Napił się trochę.

- Proszę mi to wylać na ranę - nakazał.

- Będzie szczypać - odrzekła.

- Ale nie aż tak, jakbyś pani sobie tego życzyła.

Rozzłoszczona, że może ją uważać za aż tak pozbawioną współczucia istotę, wylała alkohol na ranę. Jeśli nawet pan Hastings się skrzywił, nie udało jej się tego zobaczyć, ale nawet w mroku dostrzegła, że znacznie pobladł. Zabrał jej z rąk piersiówkę i znowu się napił.

- A teraz zechciej ją pani schować na miejsce.

- Sam pan możesz schować.

Uśmiechnął się i oznajmił:

- Ale jest o wiele przyjemniej, gdy ty, pani, to robisz.

Nie chcąc się narażać na dalsze kpiny, Miranda oświadczyła:

- Jeśli przestanie się pan wiercić, owinę panu bandażem głowę.

- Cóż za wyjątkowa młoda dama - zauważył. - Nosi przy sobie bandaże, w razie gdyby trafiła na ofiarę napadu. Cóż za przezorność, panno Troy.

- To była moja halka. Moja najnowsza, Iniana halka - odparła i nie licząc się z jego cierpieniem mocno obwiązała mu głowę w nadziei, że ból zamknie mu usta.

Rzeczywiście, pan Hastings przestał się wiercić, tylko wpatrywał się w nią bez przerwy. Kiedy już zawinęła i zawiązała bandaż, pomogła mu wstać. Zachwiał się, oparł się na dziewczynie, obejmując ją ramieniem w talii. Podejrzliwe łypnięcie, które mu posłała, pozostało bez odpowiedzi. Najwyraźniej rzeczywiście zakręciło mu się w głowie. Był błądy. A patrząc na jego minę Miranda uznała, że również i bliski mdłości.

- Jak pan zamierzasz dotrzeć do domu w tym stanie? - spytała. - Chyba pójde po powóz dla pana. Oparł głowę o ścianę budynku.

- Droga panna Troy, skoro nie zgodziłem się na lekarza, nie sądzi chyba pani, że zgodzę się na wynajęcie powozu. Po pierwsze, nie chciałbym zakrwawić biednemu woźnicy jego źródła utrzymania, a poza tym okazałbym się głupcem, wracając na Russell Square. Mój wróg - albo jego ludzie - z pewnością będą tam na mnie czekać. Co więcej, podejrzewam, że przeszukają każde miejsce, w którym bywam.

- To gdzie się pan udasz? A jeśli rana się zaogni? A jeśli pana zabije? - odparła i nie licząc się z jego cierpieniem mocno obwiązała mu głowę w nadziei, że ból zamknie mu usta.

Rzeczywiście, pan Hastings przestał się wiercić, tylko wpatrywał się w nią bez przerwy. Kiedy już zawinęła i zawiązała bandaż, pomogła mu wstać. Zachwiał się, oparł się na dziewczynie, obejmując ją ramieniem w talii. Podejrzliwe łypnięcie, które mu posłała, pozostało bez odpowiedzi. Najwyraźniej rzeczywiście zakręciło mu się w głowie. Był błądy. A patrząc na jego minę Miranda uznała, że również i bliski mdłości.

- Jak pan zamierzasz dotrzeć do domu w tym stanie? - spytała. - Chyba pójde po powóz dla pana.

Oparł głowę o ścianę budynku.

- Droga panna Troy, skoro nie zgodziłem się na lekarza, nie sądzi chyba pani, że zgodzę się na wynajęcie powozu. Po pierwsze, nie chciałbym zakrwawić biednemu woźnicy jego źródła utrzymania, a poza tym okazałbym się głupcem, wracając na Russell Square. Mój wróg - albo jego ludzie - z pewnością będą tam na mnie czekać. Co więcej, podejrzewam, że przeszukają każde miejsce, w którym bywam.

- To gdzie się pan udasz? A jeśli rana się zaogni? A jeśli pana zabije?

Spojrzawszy mu w twarz, przygryzła język. Widziała, że naprawdę cierpiał.

Uśmiechnął się z zamkniętymi oczami.

- Zapewniam panią, panną Troy, nie zamierzam skonać na pani rękach. W ten sposób nie tylko okazałbym się niewdzięczny ponad miarę, ale także sprawiłbym pani zbytnią satysfakcję.

Miranda, która nie miała pojęcia, co z nim począć, zignorowała to oświadczenie i objąwszy mężczyznę w pasie, pomogła mu przejść kilka kroków. Stąpił ostrożnie, nadal kręciło mu się w głowie. Podtrzymawała go. Na jego ustach nie pojawił się kpiący uśmieszek, oczy mu nie błysnęły. Widziała, że naprawdę z trudem się poruszał, i po raz kolejny wspomniała o lekarzu. To go sprowokowało do szybszego kroku.

- Ledwo się pan rusza, panie Hastings. Nie wiem, jakim cudem uda się panu dotrzeć w bezpieczne miejsce.

- Doskonale sobie poradzę, wielkie dzięki.

- Cóż za ulga to słyszeć. Spodziewam się, że masz pan w pobliżu kogoś znajomego, kto się panem zajmie.

- Tak, w pewnym sensie.

- W takim razie proszę mi powiedzieć gdzie, a natychmiast wyślę wiadomość.

- To nie będzie potrzebne.

- Jakim cudem pański znajomy przyjdzie panu z pomocą, skoro w ogóle nie wie, że pan jej potrzebuje?

- Pani jesteś moim wybawcą, panno Troy.

- Niechże pan będzie poważny, panie Hastings. Nie możemy tu tkwić całą noc. Jest zimno, a pan musi zostać jak najszybciej opatrzony.

- Wygląda na to, że choć w jednej kwestii jesteśmy zgodni.

- Wspaniale. W takim razie ruszajmy.

- O, tak, ruszajmy w tej chwili.

Chciała go poprowadzić w stronę ulicy, ale on się nie dał.

- Co się stało, panie Hastings?

- Idziemy w niewłaściwym kierunku.

- Dlaczego? O co panu chodzi?

- To przecież nie jest droga do pani sypialni. Chyba że jestem bardziej ranny, niż mi się wydawało.

Ruszyła tak gwałtownie, że pan Hastings omal nie upadł. Na szczęście miał dość

przytomności umysłu, by chwycić się jej i przytrzymać. Wyrwała mu się z uścisku.

- To obrzydliwa sztuczka, panie Hastings - oznajmiła, mierząc go pogardliwym spojrzeniem. - Czy nie masz pan za grosz przyzwoitości?

- To nie była sztuczka. Pomyślałem po prostu, że prześpię noc w pani pokoju, póki nie odzyskam równowagi, wtedy pójdę sobie i już nie będę pani kłopotać.

- A na jakiejś to podstawie pan sobie ubzdurał, że go zaproszę do swojej sypialni?

Podniósł palec, otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Miranda zobaczyła, jak pan Hastings się chwieje. Wyglądało na to, że lada chwila zwali się u jej stóp. Zdawała sobie sprawę, że jest zdolny do oszustwa, by ją omamić, ale nie mogła na to poradzić: jej moralnym obowiązkiem było pomóc człowiekowi w nieszczęściu, nawet komuś tak okropnemu jak pan Hastings. Podtrzymała go.

- Oczywiście, ma pani całkowitą rację, panno Troy - oświadczył, przełknawszy ślinę. - Udzielić mężczyźnie schronienia w sypialni, choć jest on na progu śmierci i nie ma gdzie uciec: to mogłoby wywołać skandal. A pani musi nade wszystko dbać o swoją reputację.

To mówiąc skłonił głowę, co zapewne miało oznaczać ukłon, i skierował się ku wejściu do stajni. Patrzyła za nim z przerażeniem. Krok miał chwiejny. Każdy krok wyglądał, jakby mógł być już ostatnim. A gdy w pewnej chwili kolana się pod nim ugięły, nie wytrzymała. Podbiegła ku niemu i złapała go, nim upadł.

- Doskonale, panie Hastings - odezwała się bez tchu - może pan spędzić tę noc u mnie. Ale rano ma już po panu nie być ani śladu.

- Tak, oczywiście.

Chyba nawet nie wiedział, na co się zgadza.

- Opatrzę panu ranę. Może pan spać w mojej gotowalni.

Milczał. Nie wiedziała, czy w ogóle zrozumiał, co do niego mówiła. Zresztą, w tym momencie to już przestało się liczyć. Podjęła decyzję; teraz tylko musi go jakoś dowlec do domu, wciągnąć po schodach i doprowadzić do swoich pokoi - i wszystko to zrobić tak, by nikt tego nie zauważył.

Zaczerpnawszy głęboko tchu, obróciła go w stronę drzwi. Szli wolno. Kiedy już znaleźli się w domu, odezwał się urywanym głosem:

- Proszę się nie bać, nie zemdleję. Nigdy bym sobie nie darował, gdybym poplamiał dywany mamy.

- Niechże pan będzie cicho. Pobudzimy służbę.

Upewniwszy się, że schody na tyłach domu są puste, pomogła mu się po nich wspiać.

- Muszę mówić, panno Troy. Jeśli nie będę budził się głosem swojej gadaniny,

prawdopodobnie natychmiast zemdleję.

- W takim razie, bardzo proszę, niech pan mówi. Tylko błagam, niechże pan to robi cicho.

Dotarli do pierwszego podestu. Z salonu dobiegały głosy ożywionych rozmów. Miranda powlokła pana Hastingsa do drugiego podestu, który zdobyli z ogromnym trudem. Otworzyła drzwi i rozejrzała się po korytarzu. Był pusty, niczym świeżo wykopany grób. Mocniej ścisnęła ramię pana Hastingsa, wskazując, że ostatni odcinek powinni przebiec - a raczej przekuśtykać.

- Gdybyśmy natknęli się na sługę - odezwał się - wyjaśnij, pani, że się upiłem i pozwoliłem sobie na niecne zapędy, dlatego też uderzyłaś mnie w głowę, jak mi się słusznie należało.

Choć mówił lekkim tonem, głos miał chrapliwy.

Nie wolno mu teraz zemdleć - pomyślała. - Nie teraz, gdy jesteśmy tak blisko.

- A czym pana uderzyłam? - spytała, by zmusić go do mówienia.

- Wazonem.

- Z porcelany z Sevre?

- Nie, to był zwykły wazonik w magazynu pana Wedgwooda. Kosztował osiem szylingów i obiecałaś go odkupić.

Tak trudno mu było teraz iść, że opierał się na niej całym ciężarem. Dotarli do drzwi jej sypialni.

- Wygląda na to - stwierdziła, dostosowując się do jego tonu - że jestem panu winna osiem szylingów.

Popatrzył na nią z powagą nieco zamglonym spojrzeniem.

- Zaiste, jesteś pani moją dłużniczką. Pozwoliłem ci uratować mi skórę. Dałem szansę okazania się szlachetną, dzielną i dobrą. Nie wiem, czy zdołasz mi się, pani, kiedykolwiek wypłacić.

Otworzyła drzwi i weszli do środka.

- Za nagrodę wystarczy mi, jeśli pan poczujesz się lepiej i stąd znikniesz.

Świece już się wypaliły. W pokoju tańczyły cienie i migotliwe płomienie ognia. Przez okna, których Miranda nie zamknęła, wpadało chłodne, nocne powietrze. Na środku pokoju stało łóżko z kształtymi kolumnami, suto marszczonym baldachimem i miękką narzutą. Spojrzała na nie, potem zmieszana odwróciła wzrok.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, Miranda poprowadziła pana Hastingsa do fotela i usadowiła wygodnie. Usłyszała, jak tłumi jęk, i wbrew sobie szepnęła łagodnie:

- Zaraz przygotuję gotowalnię, żeby mógł się pan tam położyć.

Była zdumiona, że współczuje człowiekowi, którego serdecznie nie znosiła.

Pospiesznie zamknęła okno, zapaliła świeczkę i przeszła do gotowalni. Tam posłała małą leżankę, która stała przy ścianie, i nalała do miski wody z dzbanka. Przyniosła miskę do sypialni, chcąc opatrzyć ranę pana Hastingsa, ale spojrzawszy na fotel, na którym dosłownie; przed chwilą go posadziła, zobaczyła, że mężczyzna zniknął.

Ogarnęły ją mieszane uczucia. Była tam ulga, ale i rozczarowanie: ulga, że nie musiała już odpowiadać za jego życie, rozczarowanie, że się nie pożegnał ani nie powiedział, dokąd idzie. Może rzeczywiście wziął do serca jej uwagi o opinii i by oszczędzić jej wstydu, zniknął w mroku nocy.

Z westchnieniem odstawiła miskę i opadła na zwolnione przez rannego miejsce. Siedziała tam spokojnie pół minuty, w którym to czasie uświadomiła sobie, że jest więcej niż zaniepokojona. Wyobrażała sobie, jak jutro albo pojutrze sięgnie po „Morning Chronicle”, znajdzie tam wzmiankę, że pan Charles Hastings został zamordowany przez nieznaną sprawców, a jego ciało znaleziono na Strandzie. Wiedziała, co będzie wtedy czuć. Będzie się obwiniała za jego śmierć. Będzie robić sobie wyrzuty, że powinna była chętniej mu pomóc. Powinna była zapomnieć o swojej reputacji i przyjść z pomocą bliźniemu w potrzebie. Gdyby pan Hastings umarł - myślała - byłaby to jej wina.

Ponownie westchnęła, wstała i zadzwoniła po pokojówkę, by pomogła jej przygotować się do snu. Kiedy dziewczyna się nie zjawiła, Miranda uznała, że widocznie zasnęła. Daisy miała zaledwie szesnaście lat i od niedawna usługiwała swej pani. Miranda litowała się nad nią i starała jak najmniej kłopotać. Postanowiła jej nie budzić i rozebrać się sama. Długo trwało, nim uporała się ze szpilkami na ramionach i guzikami z tyłu; parę razy niewiele brakowało, a przestałaby się litować nad Daisy. Kiedy jednak wreszcie wyplątała się z sukni i obejrzała zrujnowaną halkę, cieszyła się, że jednak nie ściągnęła pokojówki. Cóż by sobie biedaczka pomyślała o całkowicie zniszczonej bieliźnie pani?

Miranda podeszła do szafy odwiesić suknię, kiedy uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku. Przez chwilę stała z przechyloną głową, próbując zgadnąć, co to za niepokojącą rzecz dostrzegła kątem oka. W końcu, ogarnięta złowieszczym przecuciem, wolno obróciła się do łóżka.

Spoczywał na nim pan Hastings. Stopy zwisały mu nad brzegiem. Zdjął surdut i położył go sobie pod głowę, jakby nie chciał zaplamić krwią narzuty. Leżał w poprzek z rozrzuconymi nogami. Ramiona zajmowały prawie całą długość łóżka. Twarz miał odwróconą, tak że Miranda mogła podziwiać tylko jego przystojny profil. Kasztanowate loki spadły mu

na czoło.

Może udawać - pomyślała. - Kto jak kto, ale pan Hastings jest zdolny do takiej ohydy.

Ale instynkt jej podpowiadał, że mężczyzna naprawdę śpi. Musiał spać, inaczej by się tak nie odsłonił. Za nic by nie dopuścił, by ktoś widział go tak bezbronnym. Miranda lękała się tylko, czy pan Hastings nie zasnął snem wiecznym.

ROZDZIAŁ PIĄTY

OCH, CÓŻ ZA MATNIA!

Trzecia reguła Hastingsa: W grze, podobnie jak w życiu, nigdy nie należy tracić z oczu wyznaczonego celu. Wytrawny gracz przy stole myśli wyłącznie o grze. Choć nieodmiennie okazuje przeciwnikom uprzejmość i jest wobec nich miły, nie daje się wciągnąć w pogawędkę. W swoich podbojach nigdy nie dopuszcza, by rozmowa go rozproszyła. Czy gra w karty, czy w jakąś grę losową - choćby i E.O. - wykorzystuje całą swą maestrię na obliczenie szans wygranej. A już szczególnie nie ulega pokusie zwrócenia uwagi na kobietę. Bowiem w czasie rozgrywki nawet jej nie dostrzega: choćby była i najbardziej interesująca, śliczna i upragniona.

Nie sposób było go ruszyć. Kiedy Miranda próbowała go przebudzić, zaczął wymachiwać ramionami, jakby ponownie przeżywał napaść przy stajniach. Uspokoił się na tyle, by otworzyć oczy, uśmiechnąć się do dziewczyny i przytulić policzek do jej dłoni. Poza tą krótką chwilą pozostawał nieprzytomny.

Miranda zdała sobie sprawę, że na próżno próbowałaby go przenieść do gotowni. Przywłaszczył sobie jej łóżko i koniec. Przede wszystkim więc powinna obejrzeć jego ranę. Podarła resztki halki i przyniosła miskę. Potem uklękła przy łóżku i rozwinęła bandażę, by obejrzeć rozcięcie na głowie.

Natychmiast ogarnęły ją mdłości. W ciągu dwudziestu sześciu lat jej życia nie zdarzyło się nic, co by ją nauczyło, jak pielęgnować rozbitą głowę. Wszak do tej pory jej największym zmartwieniem było, jak przerobić ogrody wokół Opactwa Arundel. Zaledwie parę godzin temu myślała wyłącznie o tym, jak wprowadzić w życie zasady Humphreya Reptona. Teraz miała na głowie konającego mężczyznę.

Przyszło jej na myśl, by złamać obietnicę i posłać po lekarza, ale powstrzymało ją od tego jedno spojrzenie na chłopięcą, niewinną twarz pana Hastingsa. Wydawał się tak delikatny, że nie potrafiła się zdobyć na zdradę. Był całkowicie w jej władzy. Nigdy w swoich dłoniach nie trzymała takiej władzy nad drugim człowiekiem. Postanowiła sobie, że wykorzysta ją w sposób honorowy.

Zanurzwszy bandażę w wodzie, wyżeła płótno i położyła je na ranie. Pan Hastings jęknął, ale w tym jęku zabrzmiała zmysłowość, jakby dotyk zimnej wody sprawiał mu rozkosz. Miranda nie wiedziała, czy się cieszyć, że jej dotyk nie sprawił mu bólu, czy też

podejrzewać, że ten typ upaja się całą sytuacją. A jako że pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi, skupiła uwagę na lepkich od krwi włosach i paskudnym rozcięciu.

Po pewnym czasie przywykła do tego widoku i mogła czyścić ranę nie mrużąc przy tym oczu. Krwawienie ustało, ale nie wyglądało to pięknie. Surdut był cały we krwi. Na szczęście przypomniała sobie, że upuszczanie krwi uznawano za zbawienny środek. Wszak kiedy jako dziewięciolatka spadła z kucyka i sprowadzono do niej lekarza, a rodzice spytali o pijawki, on stwierdził, że dobrze jest upuścić pacjentowi krwi, niezależnie od tego, na jaką dolegliwość się skarży, po czym przystąpiono do dzieła. Widok pijawek tak ją przeraził, że zemdlała, ale obudziła się w o wiele lepszym stanie: nie wiadomo, czy dzięki upuszczeniu krwi, czy też dlatego, że się wyspała. Pan Hastings niewątpliwie stracił dużo krwi - i to bez pomocy pijawek. Teraz spał. Miranda pocieszała się w duchu, że przy odrobinie szczęścia obudzi się w znacznie lepszej formie. A wtedy - o ile niebiosa okażą się łaskawe - pójdzie sobie i zostawi ją w spokoju.

Wyjęła piersiówkę i wylała resztę zawartości na ranę. Ponieważ wiedziała, że to szczypie, przypuszczała, że pan Hastings się przecknie. On tymczasem spał dalej. Obmywszy ranę najlepiej jak potrafiła, owinęła mu głowę świeżym bandażem. A potem, by mógł lepiej oddychać, rozluźniła halsztuk i rozpięła mu koszulę, niechcący muskając przy tym jego policzek. Poczula pod ręką szorstki zarost, który rzucał cień na jego twarz i niweczył wcześniejsze wrażenie, że spogląda na buzię chłopca. Gdyby nie spał tak spokojnie, teraz przywodziłby jej na myśl śmiałego pirata - choć nigdy jeszcze nie widziała prawdziwego pirata, najwyżej w marzeniach.

Zastanawiała się, czy będzie miała dość siły, by go przeciągnąć, tak by głowa znalazła się na poduszkach. Na razie bowiem niebezpiecznie spoczywała tuż przy krawędzi łóżka. Ranny z pewnością szybciej wróci do zdrowia, jeśli się go porządnie ułoży. Obszedłszy łóżko, stanęła twarzą do nieprzytomnego mężczyzny. Musiała przyznać, że we śnie wyglądał czarująco. Trudno uwierzyć, że na jawie był równie miły jak szerszeń.

Pochyliwszy się, chwyciła go za ręce i delikatnie pociągnęła. Wydał jakiś niezrozumiały odgłos. Bojąc się, by nie podrażnić rany, znieruchomiła, a po chwili ponownie spróbowała, tym razem delikatniej. Przesunął się odrobinę. Szarpnęła znowu, ciągnąc go w stronę, w którą chciała go ułożyć. Znów jęknął i przesunął się. Na jego posiniaczonej twarzy dostrzegła przebłysk bólu, gdy uniośł głowę. Zatrzymała się. Spał dalej, oddychając równo i spokojnie. Pociągnęła ponownie, jeszcze delikatniej. Ku jej zaskoczeniu stawiał opór. Szarpnęła bardziej zdecydowanie. Tymczasem on pociągnął z taką siłą, że wylądowała na łóżku obok niego.

Rozwścieczona już miała wymierzyć mu policzek, kiedy zauważyła, że leżał całkowicie bez ruchu. Nie próbował jej dotknąć ani w jakikolwiek sposób obrazić. Wyglądał na zupełnie nieprzytomnego. Patrząc na niego, pokręciła głową.

- Okropne z ciebie stworzenie - powiedziała na głos.

Zareagował, jakby usłyszał. Choć nie otworzył oczu, odwrócił głowę w jej stronę. Rozchylił spieczone wargi i wymamrotał coś niezrozumiałego. Przysunęła się bliżej i nateżyła słuch. Wkrótce usłyszała to samo mamrotanie, równie niewyraźne jak przedtem. Już miała zamiar się poddać, kiedy odezwał się czule:

- Jane, droga Jane.

Podpierając się na łokciu przyglądała mu się spod przymrużonych powiek.

- Ta twoja Jane - oświadczyła. - Założę się, że to jej mąż nasłał na ciebie tych zbirów. I przypuszczam, że zasłużyłeś na każde z tych uderzeń.

- Och, nie krzycz na mnie, Jane.

- Nakrzyczę na ciebie, jeśli mi przyjdzie taka chęć. W końcu to moja sypialnia, nawet jeśli ją zaanektowałeś wraz z moim łóżkiem. Słowo daję, żaden z jegomościów, którzy nie dają spokoju damom, nie ma aż tak okropnych manier jak ty.

- Droga Jane - wyszeptał i otoczywszy ramionami jej kibić, przyciągnął ją do siebie i wtulił głowę w piersi.

W pierwszej chwili była tak zszokowana, że nie wiedziała, jak zareagować. Spojrzała w dół na gęste, kasztanowate loki częściowo zasłonięte bandażem i posiniaczony policzek z błogim spokojem spoczywający na jej piersi. Uświadomiła sobie, że gdyby w tym momencie do sypialni weszła matka, pani Hastings czy pokojówka, na wieki straciłaby reputację. Jak idiotycznie by wyglądała! Jak idiotycznie oboje by wyglądali! Roześmiała się na samą myśl o tym.

Ale przyszło jej do głowy coś jeszcze: że pan Hastings z premedytacją ją wykorzystał. Jej twarz zapłonęła i wyrwała mu się z ramion. Przekręcił głowę i ułożył ją w tak dziwacznej pozycji, że Miranda natychmiast się uspokoiła. Z pewnością nie udawał. Nie - uznała, układając go wygodniej - naprawdę wziął ją za „drogą Jane”. A jeśli owa droga Jane przeszła przez niego choć połowę tego, co ona teraz przechodzi, należy współczuć biedaczce.

Wstała, podniosła surdut z podłogi i oceniła sytuację. Pan Hastings został porządnie ułożony, przynajmniej miała taką nadzieję. Nie pozostawało już nic innego jak pozbyć się surduta, jego właściciela przykryć, a drzwi zamknąć na klucz. Dokonawszy tych niezbędnych czynności, przeszła do gotowalni, zdjęła halkę i pończochy, wciągnęła przez głowę koszulę nocną i położyła się na leżance, gdzie przespała resztkę nocy, nękana niespokojnymi snami.

Obudziło ją nieśmiało drapanie do drzwi. Miranda przeciągnęła się szeroko i już miała zawołać do pokojówki, żeby weszła, gdy przypomniała sobie, że nie śpi w swoim łóżku, bo w nim wyleguje się pan Hastings, i uświadomiła sobie, że musi jakoś odgonić dziewczynę.

Daisy znowu zaskrobała.

- Panienko, dlaczego drzwi są zamknięte? Nie potrzebuje mnie teraz panienka?

Miranda usiadła na łóżku.

- Nie, Daisy, nie jesteś mi jeszcze potrzebna.

- Dobrze się panienka czuje?

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka.

- Tak, doskonale - odparła głosem, który wydał jej się dość nieszczerzy. - Pośpię trochę dłużej.

W końcu usłyszała szelest sukni odchodzącej pokojówki. Wzdychając z ulgą Miranda poszła na paluszkach do sypialni i przyjrzała się swemu gościowi. Nie poruszył się nawet odrobinę. Pierś unosiła mu się i opadała w spokojnym oddechu.

To nie do zniesienia - pomyślała. - Wpakował się do jej łóżka, nazywał ją imieniem jakiejś kochanki, przytulał głowę do jej piersi, zmusił do oszukiwania pokojówki jej gospodyni i do tego śpi spokojnie, jakby żaden z tych niecnych postępów jego nie dotyczył.

Cóż, nie pora teraz wściekać się na jegomościa. Musi się ubrać. Żle by było, gdyby się zbudził i zastał ją w dezabilu.

Choć kosztowało ją to wiele czasu i wysiłku, w końcu jakoś zapięła wszystkie guziki. Właśnie podziwiała się w lustrze, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Przestraszona zerknęła na pana Hastingsa. Spał dalej, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Tak? - zawołała.

- To ja, dziecino. Dobrze się czujesz?

- O tak, mam, doskonale.

Wzdrygnęła się. Nigdy jeszcze Miranda nie okłamała matki z zimną krwią. Ale też nigdy przedtem nie ukrywała w swoim łóżku mężczyzny.

- Daisy mówiła, że wydałaś jej się senna, drogie dziecko. Zwykle nie sypiasz tak długo.

- Tak, czuję się doskonale, mam. Czytałam do późna i nie chciało mi się wstać o zwykłej porze.

- Kazać ci podać śniadanie?

Miranda była bardzo głodna. Chętnie zjadłaby swoją poranną porcję tosta z masłem i

wypiła filiżankę kawy w pokoju, ale za nic nie chciała, by pokojówka zajrzała do jej sypialni.

- Zejdę dziś na śniadanie do jadalni - oznajmiła.

Za drzwiami zaległo pełne niepokoju milczenie, w końcu lady Troy spytała z obawą:

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz, dziecino?

Wznosząc oczy ku niebu, Miranda zastanawiała się, dlaczego właśnie teraz matkę naszło na rozpieszczanie.

- Tak, zapewniam cię, mam, że czuję się zupełnie dobrze.

- Nigdy nie schodziłaś na śniadanie do jadalni.

- Cóż, w takim razie widać pora, bym to zrobiła.

- Może masz ochotę obejrzeć to pomieszczenie. Założę się, że ten twój pan Repton uznałby je za całkiem ładne.

- Tak, mam nadzieję, że ono mnie zainspiruje, jako że cały czas dumam nad zmianami w Opactwie.

Miranda nie wierzyła, że z jej ust mogą płynąć takie kłamstwa.

Lady Troy westchnęła.

- Przypuszczam, że twe rozczarowanie panem Hastingsem wzmocniło twe oddanie pracy nad przeróbkami.

- Tak, właśnie tak, mam. Marzę tylko o tym, by dniami i nocami zajmować myśli przyszlými przeróbkami. Spotkamy się za chwilę w pokoju jadalnym.

Ku niewysłowionej radości Mirandy lady Troy odeszła.

Dziewczyna zbliżyła się do pana Hastingsa i rozwinęła bandaż. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się ranie głowy. Przypominała jej nieco ranę, którą niegdyś widziała u konia. Stajenny smarował ją jakimś śmierdzącym mazidłem, biedne zwierzę szarpało się i wrywało. Kiedy spytała stajennego, po co to robi, wyjaśnił, że w ten sposób zapobiega zakażeniu. A jak wygląda zakażenie? - chciała wiedzieć. Cóż, było białe, żółte i zielone w niewyobrażalnie obrzydliwych odcieniach - przynajmniej w oczach dwunastolatki.

Rana pana Hastingsa była czerwonobrunatna, bez żadnych dodatkowych kolorów. To zapewne doskonały znak. Co w niczym nie zmienia faktu, że powinien go obejrzeć lekarz, a najlepiej chirurg. Tak, postanowiła w duchu, jeśli za jakiś czas nie oprzytomnieje, pośle po jakiegoś medyka, nie zważając na obietnicę.

Poruszył się. Wyciągnął ręce nad głową i ziewnął. Otworzywszy powieki zobaczył dziewczynę i uśmiechnął się do niej. Zamknął oczy i wypuścił powietrze. Potem, jakby coś go zdumiało, otworzył oczy, znowu na nią spojrzął, tym razem gniewnie.

- Co pani tu robi, u licha? - spytał.

- To moja sypialnia, panie Hastings!

Z niedowierzaniem zmarszczył brwi. Kiedy jednak rozejrzał się po pomieszczeniu, sceptycyzm zniknął, a jego miejsce zajęło zdziwienie.

- Pozwoli pani, że zapytam: co w takim razie, u licha, ja tu robię, panno Troy?

- Nie pamięta pan?

- Pamiętam, że nie spodobałem ci się, pani, na tyle, by mnie zaprosić do swej sypialni.

Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Był pan bardzo pobity.

Skrzywił się, kiedy wróciły wspomnienia wydarzeń ostatniej nocy. Dotknął delikatnego miejsca na brodzie, potem przeciągnął palcami po lokach, zatrzymując je na ranie.

- O ile pamiętam, rąbnęli mnie kowadłem, a przynajmniej boli, jakby to było kowadło.

- Opatrzyłam panu głowę najlepiej, jak umiałam, sądzę jednak, że powinno się sprowadzić chirurga.

- Nie!

- Nie mam doświadczenia w takich sprawach, panie Hastings. Może pan umrzeć na zakażenie i wina spadnie na mnie.

- Obiecuję, że nie będę wracał zza grobu i robił pani wyrzutów.

- Czy nie potrafisz pan zachowywać się poważnie?

- Jestem poważny. Pomyśl, pani, co by mówiono, gdyby teraz przyprawiono tu chirurga. Zrobiłby się skandal. Żaden z moich znajomych nie chciałby się potem z panią ożenić.

Ogarniała ją coraz większa wściekłość. Zniknęła troska o jego zdrowie. Skoro nie chce posyłać po chirurga, nie będzie nalegać. Po cóż miałyby poświęcać swoją reputację dla człowieka, którego nie znosiła z całego serca?

Przez pół minuty oddawała się takim gniewnym rozważaniom. Wkrótce jednak rozsądek uciszył jej złość. W końcu ma się pewne zobowiązania względem bliźnich, przypomniała sobie, niezależnie od tego, jak bezczelni byli i jak potrafili innych obrażać.

- Powinno się posłać po chirurga - powtórzyła uparcie.

- Zdaje się, że wyjaśniłem ubiegłej nocy, że mój wróg skorzystałby z takiej wizyty. Ale zgoda, obiecuję to pani: jeśli pozwolisz mi zostać tu na tyle długo, bym odzyskał siły, sam udam się do chirurga. Nie będzie musiał się do mnie fatygować.

- A jak szybko zamierzasz pan odzyskiwać siły?

- Najszybciej jak to możliwe.

- Obiecałeś pan, że wyniesiesz się dziś rano.

- Widzę, że nadużyłem gościnności.

Popatrzył na nią tak żałośnie, że wiedziała, iż z premedytacją gra na jej uczuciach.

- Pomogę panu dojść do drzwi - odparła z lekkim uśmiechem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie da się pani nabrać, prawda, panno Troy? Doskonale, w takim razie idę.

Próbował się podnieść, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Oboje znieruchomieli. Oniemiała Miranda patrzyła na pana Hastingsa. Gestem nakazał, by odpowiedziała. Machnęła ręką. Wargi ułożyły mu się w „odpowiedź”. Zdenerwowana odwróciła się do drzwi i zmusiła się do lekkiego tonu.

- Kto tam?

- Daisy, panienko. Jaśnie pani chce wiedzieć, czy rzeczywiście zamierza panienka zejść na śniadanie na dół, tak jak zapowiadała.

- Powiedz, że się rozmyśliłam, Daisy. Przynieś mi do pokoju tosta i czekoladę, dobrze?

- I kielbasę, i cynaderki - szepnął pan Hastings.

- Przepraszam, panienko?

- I kielbasę, i cynaderki! - wysyczała Miranda.

- Ależ, panienko, czy panienka na pewno dobrze się czuje?

- Tak, Daisy, tak dobrze, że naszła mnie wyjątkowa chęć na kielbasę i cynaderki.

Wściekłym wejrzeniem zmierzyła pana Hastingsa, który uśmiechnął się i oblizał wargi na myśl o śniadanku.

- Tak jest, panienko - powiedziała Daisy, po czym zapadła błogosławiona cisza.

- No i - odezwała się Miranda z wyzwaniem w oczach - co zrobimy, kiedy wróci ze śniadaniem?

Kielbaska i cynaderki zrodziły się pod wpływem impulsu. Pan Hastings nie wiedział bowiem, czy zdoła je zjeść, a jeśli nawet, to czy je strawi. Wystarczyło, że się ruszył, a ogarniały go mdłości i kręciło mu się w głowie. Przed oczami miał mroczki. Miał wrażenie, że widzi dwie panny Troy i choć w normalnej sytuacji nie posiadałby się ze szczęścia, mając przed sobą tyle śliczności, w tym momencie dziwnie go to nie radowało. Co więcej, było mu strasznie niedobrze.

- Co zrobimy? - powtórzyła Miranda.

Stała z rękami na biodrach, w jej oczach pojawił się nieufny błysk. Pan Hastings

patrzył na dwie Mirandy i sam nie wiedział, co począć z tą nierzeczywistą istotą. Jak to możliwe - pytał w duchu - by czuć się tak okropnie, a równocześnie zauważać delikatny, miłutki karczek tej młodej damy? Jak może mieć twarz tak spuchniętą i obolałą, a równocześnie marzyć, by ją schować na piersi dziewczyny? Jak to się stało, że wylądował w sypialni kobiety, której postanowił za wszelką cenę unikać?

Wtedy sobie przypomniał. Everard. Pierścień. Stajnie. Napaść. Cudowne pojawienie się panny Troy w oknie. Jej cudowne pojawienie się u jego boku. Jego obolała głowa. Jej pewne ramiona. Pomogła mu wejść po schodach, poprowadziła korytarzem i wpuściła do sypialni. Siedział w jej fotelu. A potem pamiętał już tylko ciemność.

Z przerażeniem dostrzegł, że panna Troy zbliża się do niego i z niepokojem mu się przygląda.

- Zamierza pan zemdleć? - spytała. Z jej głosu zniknęła surowość.

- Czyżby pani sugerowała, że mam w zwyczaju mdleć przy byle okazji? - odparł wyniośle.

- Niczego nie sugeruję, ale nie odpowiedziałeś pan i wyglądasz bardzo dziwnie.

- Czuję się dobrze, tak dobrze, pozwolę sobie panią zacytować, że nasza mnie wyjątkowa chętką na kielbasę i cynaderki.

Jedno spojrzenie na jej kształtną twarz wystarczyło, by się przekonać, że mu nie uwierzyła. Chcąc za wszelką cenę udowodnić, że czuje się zdrowy jak ryba, pan Hastings przesunął się na brzeg łóżka, ale świat zawirował mu przed oczami. I to tak mocno, że przyłożył ręce do głowy. Kiedy wrócił do siebie, zerknął na dziewczynę, która bacznie mu się przypatrywała.

- Jeśli choć słowem wspomnisz pani o chirurgu, nigdy nie opuścę tego pokoju. Zostanę pani stałym gościem. Będę cię prześladował dzień i noc. Będę... - tu przerwał, jako że ogarnęła go fala mdłości.

Poczuł na ramieniu jej rękę.

- Może jednak powinien pan się znowu położyć, panie Hastings.

Głos miała melodyjny, jakby akompaniowała sobie na harfie. Był tak miękki, uspokajający, że pan Hastings omal nie ustąpił. Opanował się w ostatniej chwili.

- Nie mogę - stwierdził. - Muszę się schować w pani gotowni, nim przyjdzie pokojówka.

- Wątpię, by mógł pan chodzić.

- W takim razie będę tańczył! - warknął.

Kiedy nie odpowiedziała, podniósł na nią wzrok. Wargi - a było ich w tym momencie

całe mrowie - miała śmiertelnie poważne.

- Skoro zamierza pan tańczyć - przemówiła wreszcie łagodnym tonem - może pozwoli pan, bym mu partnerowała?

Spojrzał na swoje dłonie. Nie podobała mu się ta nagła łagodność. Pachniała litością. On tu płonie w obecności tej kobiety, a ta się nad nim lituje. Powinien natychmiast wyjść z tego pokoju i zaryzykować spotkanie z ludźmi Everarda. Wolał śmierć od litości.

- Panie Hastings, proszę, niech pan pozwoli sobie pomóc.

- Dlaczego chce mi pani pomóc?

- Bo im szybciej pan wyzdrowieje, tym szybciej się pana pozbędę.

Podobała mu się ta odpowiedź. Dziewczyna najwyraźniej się nad nim nie litowała. Jej nie skrywany niesmak dodawał mu pewności siebie. Mógł podziwiać delikatną linię jej szyi i pulchność ramion.

- W takim razie - odparł z uśmiechem - spotka panią ten zaszczyt i może mi pani towarzyszyć.

Przejście do gotowalni okazało się trudne. Pan Hastings musiał się mocno opierać na Mirandzie, co ogromnie mu się nie podobało. Nie lubił zależności od innych, a już z pewnością nie od kobiety, która pachniała lawendą, której delikatna aureola włosów muskała mu policzek, której ciche słowa zachęty budziły w nim uczucia, istnienie których z wielkim trudem udawało mu się ukrywać przed światem. O ile ubiegłego wieczora zauważał wdzięki panny Troy, to dziś był na nie jeszcze bardziej wrażliwy. Ogarnęła go złość na siebie, że choć ranny, pobity i posiniaczony, nadal nie pozostaje obojętny na jej uroki.

W końcu dotarli do gotowalni. Z pomocą Mirandy doszedł do leżanki i położył się. Choć oczy miał zamknięte, czuł obecność dziewczyny. Jej bliskość nie dawała mu spokoju. Nie potrafił się skupić, kiedy wdychał jej zapach. Zamiast o Everardzie, myślał o niej. W takim tempie nigdy nie wynajdzie sposobu pozbycia się Everarda raz na zawsze.

Stukanie do drzwi zwiastowało powrót Daisy. Usłyszał szelest sukni, otwieranie drzwi, głos Mirandy. Niejasno uświadomił sobie, że dziewczyna każe Daisy uporządkować sypialnię, a gotowalnię zostawić na potem. Pokojówka nieustannie upewniała się, czy aby panienska dobrze się czuje. Najwyraźniej dzisiejsze decyzje Mirandy tak się różniły od jej zwykłego zachowania, że zwracało to uwagę. Wreszcie usłyszał, jak drzwi otwierają się i zamykają, co - jak wydedukował - oznaczało, że Daisy sobie poszła. Po chwili wróciła Miranda.

- Przyszła pańska kielbaska i cynaderki - oznajmiła.

Na myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze.

Czuł jej twarz blisko swojej. Uchyliwszy powieki, zobaczył, że Miranda ma oczy brązowe z iskierkami złota. W głowie mu wirowało, powieki same mu opadały.

- Musi pan zjeść swoją kielbaskę i cynaderki - powiedziała. - Wszak powiedziałam Daisy, że mam na nie chętkę. Jeśli nie będą zjedzone, może podejrzewać, że coś jest nie w porządku.

- W takim razie niech pani je zje.

- Och, co za okropne z pana stworzenie! - krzyknęła tak, że zaskoczony pan Hastings zmusił się do otwarcia oczu. - Nienawidzę kielbasek i cynaderek!

Jej wściekłość była cudowna, tak cudowna, że musiał się ostrzec, by nie podziwiać jej zbyt.

- Wyrazy współczucia - stwierdził, po czym zapadł w sen.

Nie wiedział, jak długo spał. Zamrugał powiekami i przyjrzał się błękitnym kwiatkom na tapecie. Wydawało mu się, że widzi je wyraźnie, po jednym, ale nie mógł tego twierdzić z całą pewnością. Z wysiłkiem usiadł i opuścił nogi na podłogę. Teraz, gdy wreszcie zniknął, uświadomił sobie, że do tej pory czuł uporczywy, nękający ból głowy. Jeszcze raz mrugnął powiekami i spojrzał na swoje dłonie. Widział tylko dwie.

Zadowolony próbował wstać i po drugiej próbie mu się udało. Czekał, aż zakręci mu się w głowie, ale nic takiego nie nastąpiło. Podniesiony na duchu, zaryzykował postawienie dwóch kroków. Ten sukces z kolei zachęcił go do pójścia do toalety. Matka, jeszcze nim to stało się modne, kazała je urządzić przy każdej sypialni. Skorzystawszy z tego dobrodziejstwa, przejrzał się uważnie w lustrze. Zauważył, że nie ma surduta, i jak przez mgłę majaczyło mu, że zdjęcie go kosztowało go wiele trudu. Halsztuk i kołnierzyk miał rozluźnione, ale nie przypominał sobie, by to robił. Wyobraziwszy sobie, jakie to musiało być uczucie, gdy panna Troy rozwiązywała fular i rozpiniała guziki, gorąco żałował, że nie był przytomny i nie mógł się nim rozkoszować.

Przeszedł do sypialni, rozejrzał się po niej, ale nikogo nie było. Panna Troy zniknęła.

To dobrze - pomyślał. - Gdyby siedziała w pokoju cały dzień, mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Dzięki temu, że wyszła, uniknęła wizyty zaniepokojonej matki.

Ostrożnie podszedł do jej toaletki i przyjrzał się rzeczom, które tam leżały. Wziął do ręki ładny, złoty medalion z miniaturą jakiegoś dżentelmena - jak ufał, ojca panny Troy. Sięgnął po książkę i otworzył na chybił trafił, licząc, że jeśli będzie mógł czytać, będzie to oznaczało, iż wraca do siebie po otrzymanym ciosie. Było to potężne dzieło Horacego Walpole'a, litery widział wyraźnie, pojedynczo. Przeczytał fragment, który zaznaczyła

Miranda:

Ziemie przylegające do parku bez ogrodzenia winny harmonizować z jego trawnikiem; ogród zaś z kolei należy uwolnić od jego sztucznej regularności, by dzięki temu lepiej harmonizował z otaczającą go dzikszą naturą.

Pan Hastings zauważył, że panna Troy podkreśliła słowa „sztuczna regularność” oraz „dzikszą naturą”. Uśmiechnął się. Intrygowało go, że właśnie te określenia zaznaczyła. Ta młoda dama okazuje się jeszcze bardziej interesująca, niż sądził.

Odłożywszy Walpole’a, sięgnął po ładną, oprawioną w materiał książeczkę, która po bliższym badaniu okazała się dziennikiem. Zawahał się, wiedząc, że nie powinien go czytać, nie tylko dlatego, że to osobiste notatki, ale również dlatego, że jedna z jego maksym brzmiała: czytając cudze pamiętniki, człowiek z pewnością natknie się na coś przykrego i bolesnego.

Z drugiej jednak strony, co mogło być bardziej przykrego oraz bolesnego niż wydarzenia ubiegłej nocy? W dzienniku znajdowało się tylko kilka zapisków. Ich lektura pomoże mu lepiej poznać charakter jego gospodyni. A dlaczego miałby go lepiej poznawać, już się nie pytał. Wystarczyło, że go ciekawił.

Przeczytał pierwsze zdania, a ponieważ zgadzał się z Mirandą, że Blaise to okropieństwo, uznał ją za wyjątkowo roztropną młodą damę. Wkrótce dotarł do ostatnich słów i w końcowym zdaniu znalazł wzmiankę o sobie: „Gdybym tylko nie musiała spotkać pana Hastingsa i mile się do niego uśmiechać!” Siedział nad tym dłuższą chwilę. Czyli okazuje się, że panna Troy dokładnie tak samo nie chciała go poznawać, jak on jej!

Wcześniej założył, że dziewczyna nie może się doczekać, kiedy go złapie - tak samo jak ich drogie mateczki nie mogą się doczekać, by go złapała. Tymczasem z zapisków Mirandy wynikało, że pan Hastings bynajmniej jej nie fascynował, a tylko aleje drzew i porośnięte mchem tarasy. Bębnił palcami po pamiętniku, myśląc, że jego maksyma znowu okazała się słuszna: było mu przykro i boleśnie.

A co gorsza, okazało się, że w czasie wieczorku matki niepotrzebnie zadał sobie tyle trudu, starając się obrazić pannę Troy. Obchodził ją tyle, co zeszłoroczny śnieg.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Miranda. Odwrócił się i zrobił to, co zawsze, gdy złapano go na gorącym uczynku: posłał jej swój czarujący uśmiech. Ale ona nie odpowiedziała uśmiechem, tylko wściekłym wejrzeniem mierzyła jego i książeczkę, którą trzymał w dłoni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DROGA JANE

Jeśli pan Hastings ma rację i zainteresowania świadczą o filozofii danej osoby, to moja filozofia opiera się na wierze we współlistnienie. Na przykład jeśli chodzi o sztukę ogrodową, wybieram drogę pośrednią i uważam świat za miejsce, gdzie piękno niekoniecznie musi być wyłącznie dziełem natury lub samego człowieka. To właśnie współlistnienie natury i rodzaju ludzkiego tworzy harmonię, którą określamy mianem piękna. Zgodnie z teorią pana Hastingsa, powinnam tę samą filozofię zastosować w życiu. Powinnam uważać współlistnienie - na przykład w małżeństwie - za cel, do którego zmierzam. Mimo to jednak łatwiej mi dostrzec sztukę i naturę połączone wspianiałym węzłem w krajobrazie niż wyobrazić sobie prawdziwą harmonię między mną a mężem. Bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonana, że nie nadaję się do stanu małżeńskiego, i nigdy przedtem nie czułam tego wyraźniej niż teraz, gdy odrzucam przyzwoitość i rozsądek, przechowując w swojej sypialni mężczyznę, a do tego kłamię z wprawą godną ministra stanu.

Miranda płonęła z gniewu na takie pogwałcenie jej prywatności.

Oto nagroda - mówiła w duchu - za wystawienie na szwank mojej reputacji dla takiego człowieka.

Ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że to wyłącznie jej wina. Od początku wiedziała, z kim ma do czynienia. Wtykanie nosa do jej dzienniczka to tylko jeden z elementów jego normalnego zachowania. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby zaglądał też do jej szafy, przeliczył jej pończochy, halki i gorsety.

Pana Hastingsa zaś zdumiała pełna spokoju godność panny Troy. Nawet wściekła, zionąc ogniem, z trudem hamując gniew wyglądała czarująco. Jej siła go pociągała; podkreślała jej powab. Pan Hastings rzadko czegoś żałował i nie potrafił się zmusić do wstydu, że zajrzał do jej dziennika, ale naprawdę było mu przykro, że sprawił jej ból.

Zbliżyła się i wyrwała mu z ręki pamiętnik.

- Widzę, że odzyskał pan już siły - powiedziała drżącym głosem.

Podeszła do szezlonga, ale nie siadła na nim, tylko wyglądała przez okno.

- Mam nadzieję, że czuje się pan na tyle dobrze, by sobie stąd pójść.

Widział, że o ile wczorajszego wieczora tylko ją dotknął, tym razem sprawił jej prawdziwy ból.

- Nie mogę odejść - odparł - póki wszystkiego nie wyjaśnię.

- Niechże się pan nie kłopotczy - odparowała. - Nie ma usprawiedliwienia dla kogoś, kto grzebie w cudzych rzeczach.

- Nie zamierzam się usprawiedliwiać, tylko wyjaśnić.

- Nie życzę sobie pańskich wyjaśnień, tylko pańskiej nieobecności.

Zacisnął szczęki. Podeszedłszy do dziewczyny, utkwił w niej spojrzenie szarych oczu, równocześnie - ku jej przerażeniu - zdzierając z szyi fular. Następnie zabrał jej pamiętnik i zawiązał fular na tyle solidnych węzłów, ile się dało.

- Pani dziennik jest już zabezpieczony przede mną po kres dni - oznajmił.

Rozzłoszczona odwróciła się od niego, ale chwycił ją za ramię i zmusił, by na niego spojrzała.

- Po uderzeniu w głowę widziałem podwójnie. Kiedy się przebudziłem, chciałem sprawdzić, czy mój wzrok już wrócił do normy. Pomyślałem, że powinienem spróbować coś przeczytać, nieważne co.

- Rozumiem, i tak się złożyło, że trafił pan akurat na mój pamiętnik. Oto pańskie wyjaśnienie.

- Niezupełnie. To był początek. Przekonawszy się, że mogę czytać i rozumieć, co czytam, zauważyłem pani pamiętnik i przeczytałem go, bo chciałem się dowiedzieć o pani czegoś więcej.

- A więc przeczytałeś go pan świadomie!

- Tak, ale z pewnością ucieszy panią wieść, że natychmiast tego pożałowałem.

Wyrażała się pani o mnie wielce obraźliwie.

- Prawie w ogóle o panu nie wspomniałam!

- Powiększając w ten sposób obrazę o niesprawiedliwość.

- Nie pojmuję, co pan tam mógł uznać za obrazę.

- Pisała pani, że nie ma ochoty mnie spotykać i się do mnie uśmiechać. - Z prawdziwą satysfakcją stwierdził, że pobladła. - Ciekawym, czy zdaje sobie pani sprawę, jakie to irytujące dowiedzieć się, że żywiła pani względem mnie dokładnie te same uczucia, co ja względem pani? Pochlebiałem sobie, że chcesz pani nie tylko mnie poznać, ale i wyjść za mnie za żonę. Po lekturze pani dziennika, ku swemu smutkowi przekonałem się, że się omyliłem.

Mierzyła go wzrokiem, nieco ułagodzona tym wyznaniem i szczerością pana Hastingsa, ale nie dała mu tego poznać.

- Choć nie przeczytałem niczego pochlebnego o sobie - ciągnął - to dowiedziałem się

wielu pochlebnych rzeczy o pani.

- Ciekawam jak, skoro umieszczam tam jedynie swoje uwagi na temat planowania krajobrazu.

- Pani uwagi potwierdziły to, czego zaczynałem się u pani domyślać: samodzielnego umysłu, zdolności działania, bez oglądania się na to, co powiedzą inni. Masz pani swoje poglądy i odwagę postępowania zgodnie z nimi.

Obiecała sobie w duchu, że nie da się zmiękczyć jego pochlebstwom.

- Bzdury - oświadczyła.

- Panno Troy, to nie bzdury, a z pewnością nie dla mnie. Przyszłaś mi pani z pomocą. Wystawienie się na niebezpieczeństwo skandalu, by pomóc bliźniemu, wymaga pewnego charakteru.

Choć wydawał się szczery, pozostała nieufna.

- A w jaki sposób doczytał się pan tego w moim pamiętniku?

- Zainteresowania człowieka odsłaniają jego filozofię. To oczywiste, że przeczytawszy pani słowa na temat sztuki ogrodowej, odkryłem pani filozofię.

Sceptycznie pokręciła głową.

- Proszę nie mylić moich zainteresowań z filozofią. Moje zainteresowania traktuję jak kapelusze: zmieniam je wraz ze zmianą pory roku i mody. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby moja pasja do planowania krajobrazów nie przetrwała miesiąca.

- Chce pani siebie przedstawić jako trzpiotkę.

- Jeśli mi pan nie wierzysz, spytaj moją matkę. Może zaświadczyć o moich kolejnych namiętnościach: do malowania parawanów przed kominki, pisania powieści, gry na harfie, studiowania fizjonomii i innych szaleństw wszelkiego rodzaju.

- To nie jest płochosć. Różnorodność pani zainteresowań świadczy o tym, że pani filozofii nie brak głębi i rozmachu. Nie znosi pani ograniczeń, panno Troy. Lubi pani czerpać z bogactw świata, nie ograniczając się do tylko jednego z nich - podobnie jak wolisz pani krajobraz, gdzie roślinom wolno rosnać swobodnie, naturalnie. Zapewne dlatego też, jak podejrzewam, nie wyszła pani za męża.

Splonęła rumieńcem.

- Wybaczy pan!

- Nie ma za co przepraszać, po prostu stwierdziłem to, co mi się wydaje prawdą, a prawdą jest, panno Troy, że ma pani rację unikając małżeństwa, które stanowi zbyt wielkie ograniczenie dla umysłu takiego jak pani. Oczywiście byłoby inaczej, gdyby znalazła pani małżonka o podobnej do pani filozofii.

Umęczona tą analizą, Miranda próbowała zmienić temat.

- Zdaje się, że wiesz pan wiele o zainteresowaniach i rozrywkach. Można spytać, co pana interesuje?

Uśmiechnął się.

- Gra w karty.

- Karciarz!

W jej głosie brzmiała satysfakcja, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewała.

Skłonił się wdzięcznie.

- Tak, pani, właśnie tym jestem.

- Niechże mi pan powie, panie Hastings, czym właściwie zajmuje się karciarz? Oczywiście, kiedy nie swata młodych dam ze swoimi znajomymi.

- Cóż, po pierwsze gra w karty.

- Och, jakaż nuda.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Patrzył na Mirandę, jakby jej wyrosła druga głowa.

- Nie lubisz pani kart?

- Nigdy nie nauczyłam się grać. Wielu próbowało mnie nauczyć, ale bezskutecznie.

- Nie do wiary. Każdy potrafi grać w karty. Nawet moja matka.

- Może i zdołałabym się nauczyć, gdyby mnie to ciekawiło, ale uważam karty - i w ogóle wszelkiego rodzaju gry - za nużące.

Tym razem to pan Hastings poczuł się dotknięty.

- Nużące?!

- Tak, bo w końcu co jest celem gry? Zaledwie wygrana. To mnie nie pociąga.

Cofnął się, by uważniej się przyjrzeć tej heretyczce.

- Co jest celem gry, powiadasz pani? A dlaczego cywilizację zbudowano na grach? Bo gra to ni mniej, ni więcej, tylko gotowość postawienia wszystkiego, a przynajmniej bardzo wiele, na swoją intuicję. Celem nie jest wygrana; celem jest ryzyko. Ryzyko jest stare jak rodzaj ludzki i tak sędziwe jak Biblia, w której po wielokroć się o nim wspomina. Zapewne pamięta pani, że starożytni przy wyborze władców, wojowników, rozstrzyganiu sporów używali patyków różnej długości lub pozbawionych grotu strzał. I w naszych czasach wszędzie dostrzegamy ryzyko: choćby w grze politycznej, czy grze, jaką są zaloty. Starczy pomyśleć, co pani ryzykowałaś, zgadzając się mnie ocalić.

- To są poważne kwestie, panie Hastings, nie gra.

- Zgodzisz się jednak, pani, że w każdej mieści się element gry, by nie wspomnieć już o elemencie absurdu.

- Widzę, że dogłębnie przemyślał pan tę sprawę - odezwała się Miranda po chwili.

- Równie dogłębnie jak pan Walpole planowanie krajobrazu.

Przechyliła głowę.

- W takim razie może pójdzie pan w jego ślady i napisze książkę.

Dostrzegł w jej twarzy wyzwanie i uśmiechnął się do niej.

- Może napiszę.

Czy to sypialnia, czy dom gier pani Stout, był gotów zablokować, tak jak to robił już tyle razy.

- Tak, chyba rzeczywiście napiszę książkę, wyłożę w niej reguły gry. Będą to nie tylko zasady, dzięki którym można wygrać, ale cała filozofia.

- Czy mam przynieść panu pióro i papier? - spytała ironicznie.

Podobała mu się jej nieufność. Panna Troy była znacznie, znacznie bardziej interesująca niż ugodowe, chcące się przypodobać panny, do których przywykł. Żadna z nich nie ukryłaby go w swojej sypialni.

Podjął rękawicę.

- Proszę, niech pani jeszcze chwilę wstrzyma się z przynoszeniem pióra i papieru. Na razie zamierzam nauczyć panią grać w karty.

Był to bardziej rozkaz niż propozycja. Miranda potrząsnęła głową. Niełatwo ją odwieść od raz obranego celu.

- O wiele lepiej spożytkuje pan ten czas, szukając innej sypialni, którą mógłby pan najechać.

- Założę się z panią, panno Troy.

- Nie przywykłam do zakładów.

Nie zwrócił uwagi na jej odmowę.

- Oto stawki: jeśli uda mi się w ciągu godziny nauczyć panią grać w karty, pozwoli mi pani jeszcze przez jedną noc skorzystać ze swej łaskawej opieki; jeśli nie, zabiorę się stąd i nie będę już pani więcej kłopotał.

Miranda popatrzyła zdumiona, potem szybko odwróciła wzrok. Impertynencja tego jegomościa stawała się nie do wytrzymania. I jeszcze ta siła jego spojrzenia! Jego oczy płonęły pod podrapanym czołem niczym gwiazdy. Jeszcze bardziej zdumiała ją jednak, że niniejszym pan Hastings złożył jej wspaniałe komplementy. Oto w jej rękach pozostawała decyzja. Gdyby chciała, mogłaby oszukiwać. Spędziłaby najbliższą godzinę odgrywając oporną na jego nauki, nie dając sobie niczego wbić do głowy i w ten sposób raz na zawsze pozbyłaby się nieproszonego gościa. Pan Hastings jako wytrawny gracz w pełni zdawał sobie

sprawę z tego, co proponuje, a mimo to zaoferował właśnie taki zakład. Co oznaczało tylko jedno: stawiał na to, że Miranda go nie oszuka.

Poczła się niewiarygodnie doceniona. Mógłby przez miesiąc wygładzać poemat, w którym opisywałby jej urodę i czar, ale nigdy by jej nie pochlebił tak jak teraz wiarą w jej uczciwość. Nie była pewna, czy zasłużyła na taki komplement.

- Jeśli będzie pani tak łaskawa i odszuka mój surdut, przystąpimy do gry - przerwał jej zadumę pan Hastings.

Wróciła myślami do rzeczywistości.

- Schowałam go, by Daisy go nie wypatrzyła. Obawiam się, że jest mocno zakrwawiony.

- Zakrwawiony czy nie, w jego kieszeni spoczywa talia kart. Nie mogę pani uczyć, panno Troy, bez odpowiednich narzędzi.

Zaprowadziła go do garderoby, tam otworzyła drzwi szafy i wyciągnęła surdut, schowany głęboko, za butami. Była zaskoczona, że nie okazał żalu na widok okropnego stanu niegdyś wytwornego odzienia. Chodziło mu wyłącznie o karty. Wyciągnął je z uśmiechem, a surdut bezceremonialnie rzucił na fotel. Wyjął Mirandzie z ręki pamiętnik i położył go na surducie.

Rozejrzał się dokoła, szukając miejsca do gry. Sprawdziwszy łóżko, stwierdził, że jest za miękkie.

- Chyba szeszlong - oświadczył, siadając po lewej stronie.

Karty położył na środku i gestem zachęcił Mirandę, by usiadła po prawej stronie.

Zerknąwszy na niego, usiadła. Całą tę sytuację traktowała jak swego rodzaju próbę: oszuka czy nie oszuka, choć ma taką możliwość? Przyznawała, że perspektywa była kusząca. W końcu nieskończenie bardziej chciałaby przywrócić swemu życiu dawny spokój niż dalej przetrzymywać w swoim sanktuarium tego łajdaka. Równocześnie jednak nie pociągała jej myśl o oszukiwaniu dla własnej wygody. Jej zdaniem, lepiej zaryzykować skandal i znieść jeszcze jedną noc z bezczelnym panem Hastingsem niżli upaść we własnych oczach. Zebrała siły i zwróciła uwagę na grę.

Pan Hastings rozdał po cztery odkryte karty, następnie wyłożył cztery karty rewersami do dołu. Tłumaczył znaczenie figur:

- Za waleta dostaje się jednaście punktów, za damę dwanaście, za króla trzysta.

Tymczasem zaś Miranda podziwiała pełne wdzięku ruchy jego rąk i choć bardziej słuchała tonu jego głosu niż słów, potakiwała, gdy pytał, czy rozumie.

Zadowolony, przeszedł do pokazywania, jak się bierze lewy. Starannie kładł na stoliku

- a raczej na szeslongu, w tym wypadku - czerwone karty na czarnych i odkładał je na bok, równocześnie tłumacząc, że gdyby położył dziesiątkę karo, dostałby dodatkowe dwa punkty. Gdyby to była dwójka pik, zarobiłby jeden dodatkowy punkt.

- Widzi pani - stwierdził, posyłając jej uśmiech, który mógł przyprawić o zawrót głowy - to piękne w swej prostocie.

W tym momencie Miranda przypomniała sobie, że widziała siostrzeńców i siostrzenice, jak grali w podobną grę. Namówili ją, by się przyłączyła, ale znudziło jej się to, nie uważała, więc robili jej wyrzuty i naśmiewali się z niej. Podobnie jak pan Hastings, grali z ogromnym zapałem. Ich policzki też płonęły, oczy błyszczały z podniecenia.

Zauważyła, że pan Hastings uczy z żarem i to takim, że częściej spoglądała na jego twarz niż karty i, co było nieuniknione, wkrótce straciła wątek. Nie minęło wiele czasu, a całkiem się pogubiła. Wpatrywała się w swoje cztery karty, nie wiedząc, co właściwie ma z nimi zrobić. Zresztą w ogóle jej to nie obchodziło.

- Panie Hastings - wyznała z westchnieniem - obawiam się, że nic nie rozumiem.

Pozostawała jej pociecha, że naprawdę nie nauczyła się grać, nie musiała udawać; mimo to uważała, że nienajchlubniej o niej świadczy, iż nie zdołała pojąć ulubionej gry sześćcio - , siedmiolatków.

Zamrugła powiekami.

- Nie uwierzę. Młoda dama, która studiuje fizjonomikę, malarstwo, planowanie krajobrazu, nie może nie nauczyć się grać w kasyno.

- Myślami ciągle błędzę gdzie indziej. Ta gra w ogóle mnie nie wciąga.

- A gdzie?

Przypomniawszy sobie, że błędziła nimi wokół niego, spłonęła rumieńcem.

- Trudno powiedzieć - przyznała zgodnie z prawdą.

- Pozwoli pani, że spytam o coś, panno Troy. Czy wie pani, jak się łowi ryby?

Zaskoczona tą nagłą zmianą tematu, odparła:

- Mój ojciec wędkuje. Często mu towarzyszyłam. Ale co to ma do gry w karty?

- Tylko tyle, że kasyno to gra w łowienie. Innymi słowy, w tej grze mamy staw. W stawie pływa kusząca rybka. - Tu wskazał odsłonięte karty na kupce.

Skinęła głową. Porównanie do niej przemawiało, bowiem wyobraziła sobie ojca, który szykuje się do zarzucenia wędki w wody stawu Arundel.

- W ręce trzymasz pani przynętę, na którą złapiesz rybę.

Sięgnął nad „stawem” i ścisnął rękę, w której miała karty. Spotkali się wzrokiem. W jego oczach malowało się pytanie. Najwyraźniej postanowił sobie za wszelką cenę nauczyć ją

gry. Miranda wyraźnie czuła dotyk jego dłoni, uświadomiła sobie, jak blisko siebie siedzą i jak blisko łóżka się znajdują, nieprzyzwoitość jego tutaj obecności i absurdalność gry w karty w takim otoczeniu.

Zauważywszy jej zmieszanie, pan Hastings podszedł do niej i pochylił się nad jej ramieniem, zaglądając w karty. Ich policzki prawie się dotykały. Miranda wdychała niepokojący zapach męskiego ciała.

- Proszę, ma pani szóstkę - powiedział. - Niech pani spojrzy, w stawie też pływa szóstka. Pani szóstka jest przynętą, na którą złapie się szóstka w stawie. Rozumie pani?

Ku jej zdumieniu okazało się, że tak. Z uśmiechem obróciła się do niego i omal nie zetknęły się nosami.

Całe rozbawienie, jakie jeszcze przed chwilą czuł, zniknęło. Zapomniawszy o grze, nagle zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i co widzą jego oczy: szezlong, łóżko, czarujący płatek ucha panny Troy. Znajduje się w sypialni kobiety, która z minuty na minutę coraz bardziej go pociąga. Wiedział, że gdyby tu dłużej został, mógłby naprawdę ją obrazić. Jego podstawową zasadą było nigdy nie obrażać damy, chyba że coś by w ten sposób osiągnął. W tej sytuacji mógł jedynie przegrać.

Dlatego też, najlepiej jak potrafił, odpowiedział na jej uśmiech i wyprostował się gwałtownie. Ten nieostrożny ruch wywołał zawrót głowy. Wmawiał sobie, że jeśli się nie będzie ruszał, zawrót ustanie, ale ten nadal go trzymał.

- Co się stało, panie Hastings? - usłyszał głos panny Troy.

- Nic, czuję się doskonale. Pójdę już. Proszę mi podać mój surdut.

Cały zdrzał, czując na ramieniu jej niespodziewany dotyk. Wystarczyłby ułamek sekundy, by się obrócić i wziąć ją w ramiona. Z drugiej jednak strony, choć oszołomiony - mówił sobie - nie jest kompletnie głupi. Gdyby choć odrobinę okazał uczucia, przepadłby. Szybko by się zakochał. Co gorsza, bardzo szybko stanąłby na ślubnym kobiercu, a jego oblubienica wkrótce zostałaby wdową. Może jeśli jeszcze trochę postoi bez ruchu, dziewczyna cofnie rękę, a choć bardzo by tego żałował, przynajmniej odzyskałby oddech.

- Nie czuje się pan na tyle dobrze, by już pójść.

Przymknął oczy.

- Jeśli zostanę, mój stan może się pogorszyć.

- Trzeba było o tym pomyśleć ubiegłej nocy, kiedy się pan wprosił do mej sypialni. Sam pan sobie posłał to łóżko, drogi panie, teraz musi pan na nim spać.

- Niezbyt fortunny dobór przysłowia, panno Troy.

Nagła fala mdłości sprawiła, że odrzucił głowę.

- Zdaje się, że powinnam była zmusić pana do zjedzenia śniadania. Od prawie doby nie miał pan niczego w ustach.

- Byłbym zobowiązany, gdybyś nie wspominała pani o jedzeniu.

- Rozumiem. Niech się pan położy na tym szezlongu, póki pan nie wróci do siebie.

Przysiągł sobie, że nie straci zmysłów - ani dosłownie, ani z miłości.

- Pożegnaj się już z panią - upierał się. - Życzę pani udanego dnia i proszę pamiętać, że pozostaję całkowicie do pani usług.

Zachwiał się. Dziewczyna w jednej chwili znalazła się u jego boku, podtrzymując go. Choć dotyk jej palców palił go jak ogniem, nie potrafił się wyrwać. Wbrew sobie pozwolił, by go poprowadziła do łóżka.

- Panie Hastings - przemówiła - wygrał pan zakład. Zrozumiałam grę. Tak więc możesz pan tu przenocować.

- Do diabła z zakładem!

- Proszę się położyć.

- To wielce nieprzystojna propozycja, panno Troy.

Położył się, nie słuchając głosu rozsądku.

- Zerknę tylko na pana głowę. Postaram się nie sprawić panu nadmiernego bólu, ale ostrzegam: jeśli stan rany się pogorszy, wezwę lekarza. Nic mnie nie obchodzi, że pana wróg może pana odnaleźć.

Nie mógł odpowiedzieć. Coś - a nie był to tylko ból - schwyciło go za gardło. Czując, jak jej delikatne dłonie rozwijają opatrunek, postanowił sobie nie stracić przytomności.

- Rozcięcie nie wygląda gorzej - dopłynął z oddali jej głos.

A potem już pan Hastings nie słyszał nic.

Kiedy Miranda przyłączyła się do kolacji, zasypano ją pytaniami. Pani Hastings dopytywała się, czy dziewczyna aby się nie przeziębiła. Czy to dlatego siedzi w pokoju? Nim Miranda zdołała wymyślić jakieś wytłumaczenie swego dziwaczego zachowania, pani Hastings już proponowała, że przyśle do jej sypialni całą procesję lekarzy, sprawdzone leki, służbę i pożywny bulionik.

- Proszę się o mnie nie kłopotać. Za dzień, dwa z powrotem poczuję się doskonale - odparła Miranda. - Tak, z całego serca zamierzam się pozbyć swojej choroby.

- Naprawdę źle się czujesz? - zatroszczyła się jej matka. - A może coś cię gnębi?

- Co takiego? - spytała Miranda, zjadając bardzo hojne, jak na cierpiącą, porcje drobiu

i deseru.

- Doskonale wiesz, co - powiedziała lady Troy znacząco.

- Nie, mam, nie wiem.

- Mam na myśli dżentelmena, który wczoraj wieczorem tak cię obraził. Daję słowo, dziecino, po rozmowie z nim wyglądałaś na bardzo poruszoną.

- Któż ośmielił się obrazić mojego gościa? - zawołała pani Hastings.

Lady Troy pobladła. Wzrokiem błagała Mirandę, by nie wymieniała jego nazwiska.

- Zapomniałam o tym - zapewniła Miranda. - Nawet nie zapamiętałam jego nazwiska.

Od tego kłamstwa zapłonęły jej policzki. Pani Hastings zaniepokoiła się na dobre.

- Cóż za okropność, droga Mirando. Nie chce mi się wierzyć, że mój gość mógł zostać obrażony pod moim dachem.

- Tamten impertynent zapłacił za to dziesięciokrotnie, zapewniam panią.

- Nie lekceważ swojej choroby - ostrzegła pani Hastings. - Człowiek przeziębiony jest podamy na wszelkie przypadłości. - Nagle wpadła na pomysł i wykrzyknęła: - Wiem! Zadośćuczynię ci za wszystko! Przyjdę dziś do ciebie i ci potowarzyszę. Będę ci czytać. Poczytam ci nawet tego okropnego pana Walpole'a, jeśli to choć trochę ci pomoże.

Miranda żałowała, że obie matki nie są nieco mniej troskliwe i czułe.

- Sądzę, że szybciej wrócę do siebie, jeśli będę miała całkowity spokój.

Jej niechęć do kłamstw wzrastała w postępie geometrycznym. Pan Hastings wyniesie się z jej pokoju o świcie, choćby był konający, postanowiła. Dłużej nie znieśie tego oszukiwania.

Pani Hastings westchnęła.

- Jak sobie życzysz, dziecino. Tylko nie wspominajmy o tym Charlesowi. On jest takim okazem zdrowia, że wieść o chorobie innych go rozstraja. Ten drogi chłopiec chyba nigdy w życiu nie chorował.

- Przyjdzie pora i na niego - stwierdziła sucho Miranda.

Lady Troy westchnęła.

- To prawda. Nie można przeżyć życia nie natknąwszy się na takie lub inne dolegliwości. Choćby ja: jestem doskonałego zdrowia, a mimo to ostatnio cierpiałam na palpacje. Miejmy nadzieję, że pana Hastingsa nie spotka nic aż tak groźnego.

- Ja również mam taką nadzieję - odrzekła pani Hastings z ciężkim westchnieniem. - Obawiam się jednak, że jest bardzo poważnie chory i nie chce, bym się o tym dowiedziała. Wszak powinien był dziś do mnie zajrzeć. Charles zawsze mnie odwiedza następnego dnia po przyjęciu. A gdy posłałam na Russell Square, by się dowiedzieć, czy mu coś nie dolega,

powiadomiono mnie, że w ogóle nie wrócił do domu. Naturalnie, jak każdą matkę, takie wieści napełniają mnie wielkim niepokojem.

Miranda poczuła, jak płoną jej policzki. Bardzo chciała uciszyć niepokój matki, ale nie odważyła się powiedzieć ani słowa. Zamiast pociechy zaoferowała się - choć nędzna to była namiastka - że po kolacji zagra im na harfie. To nieco poprawiło nastrój pani Hastings i po kwadransie trzy kobiety zebrały się w salonie przy instrumencie.

Miranda zaśpiewała pieśń, której nauczyła się w okresie fascynacji wszystkim, co włoskie. Choć słuchaczki nie rozumiały ani słowa, oczarowała je melodia i delikatny sopran wykonawczyni. Tej rozkosznej chwili położyło jednak kres nadejście lokaja, który zapowiedział gościa. Po chwili do salonu wprowadzono lorda Everarda.

Miranda znieubiła go od pierwszego wejrzenia. W czasie prezentacji zasypywał ją komplementami, o wiele za nisko pochylił się nad ręką jej matki, a jego głos uznała za podejrzanie jedwabisty. W przeciwieństwie do pana Hastingsa, który zaledwie doprowadzał ją do szału, Everard swoim zachowaniem wywoływał u niej ciarki.

- Pani Hastings - zwrócił się do gospodyni - przyszedłem na Queen Street spłacić pani synowi dług. Niestety, nie zastałem go w domu. Może jest tutaj?

- O, nie, choć gorąco bym pragnęła, by był!

- Pomyślałem, że może zachorował albo coś mu się przytrafiło i postanowił wrócić do zdrowia pod pani czułą opieką.

- Jakże miło z pańskiej strony, że tak się pan troszczy o zdrowie Charlesa. Niestety, nie wiem, gdzie mógł się udać.

Mirandzie wydało się, że lord jest zmieszany. Podejrzewała, że z całego serca nie znosił pana Hastingsa, i nagle poczuła, że chce bronić pana Hastingsa przed tym człowiekiem. Jej znajomość fizjonomii powiedziała jej, że lord Everard to próżny, podstępny i okrutny człowiek - słowem taki, któremu nie tylko nie wyznałaby słowa prawdy, ale z którym najchętniej w ogóle nie miałyby do czynienia.

Wreszcie sobie poszedł, niczego się nie dowiedziawszy. Miranda odśpiewała jeszcze dwa utwory i pożegnała panie, całując każdą w czoło.

Kiedy wróciła do sypialni, zapaliła kandelabr i obejrzała się, by spojrzeć na gościa. Siedział w jej łóżku, oparty o poduszki.

- Niepięknie się odwdzięczyłem za pani gościnność - powiedział z uśmiechem. - Obiecuję jednak, że już nigdy więcej nie przerwę gry w połowie. Zechce pani przyjąć me gorące przeprosiny?

- Kto to jest lord Everard? - spytała.

Zacisnął wargi.

- Skąd pani znasz Everarda?

- Był tu, dopytywał się o pana.

Wciągnąwszy głęboko powietrze, skinął głową.

- To on.

- Nie dziwi mnie to.

- Co mu, pani, powiedziałaś?

- Tylko tyle, że można pana teraz znaleźć w mojej sypialni w moim łóżku.

Roześmiał się.

- Nie uwierzyłby, nawet gdybyś mu to pani powiedziała. Pomyślałby, że go nabierasz. Jesteś, pani, zbyt dobrze wychowaną panną, by się ważyć na taką nieprzystojność. Wszak wystarczy na panią spojrzeć, by wiedzieć, że rozmawia się z wzorem cnót.

Zmierzyła go lodowatym wejrzeniem. Jego beztroska jeszcze bardziej ją rozgniewała.

- Mogę oszukiwać lorda Everarda. Co więcej, z prawdziwą rozkoszą zniweczę plany tego jegomościa. Ale nie zniosę oszukiwania swojej i pańskiej matki. To najlepsze istoty pod słońcem. Uważają mnie, jak pan byłeś łaskaw się wyrazić, za wzór cnót, podczas gdy ja nie mogę powiedzieć ani słowa prawdy.

Wstrząśnięta odwróciła się i popatrzyła na toaletkę. Tylko istota niespełna rozumu - myślała - wpuściłaby pana Hastingsa do swojej sypialni. Co ona sobie wyobrażała?

Nagle z przerażeniem spostrzegła, że pan Hastings stoi tuż przy niej i mówi coś cicho.

- Pójdę już sobie.

Odsunęła się.

- Ustaliliśmy, że możesz tu pan przenocować - oświadczyła z rozdrażnieniem. - Pójdiesz jutro rano, przed świtem.

- Odzyskałem już siły. Może będzie lepiej, jeśli pójdę już teraz.

- Nie chcę mieć na sumieniu pańskiej krwi! - krzyknęła zdenerwowana.

Z powagą skinął głową.

- Ma pani całkowitą rację. Szkoda trudu, jaki pani sobie zadała, okłamując nasze matki oraz lorda Everarda, żebym miał dokonać żywota na ulicy, poległszy tragicznie i do tego w kompletnie zniszczonym surducie.

- Czy pan musisz wiecznie kpić? - spytała bliska łez.

Jego bliskość wytrącała ją z równowagi. Ogarnęło ją zgoła bezsensowne pragnienie przyłożenia ręki do jego poranionego czoła.

- Co mam zrobić, pani? - odezwał się po chwili milczenia. - Powiedz tylko słowo, a to

się stanie.

Unikała jego spojrzenia. Co ma zrobić? Przez myśl przemknęło jej sto pomysłów, z których żaden nie był ani roztropny, ani szczególnie wyrazisty.

- Niech pan pójdzie spać - rozkazała w końcu i szybko ukryła się w gotowalni.

Kiedy dziesięć minut potem zastukała pokojówka, by pomóc panience się rozebrać, Miranda ją odesłała. Po dłuższych zmaganiach z suknią, z podkulonymi kolanami siadła na leżance, owinęła się kocem, rozplatała supły, które zrobił na pamiątniku pan Hastings, i zanotowała kilka słów. Potem wsunęła się pod kołdrę, zamierzając pogрузić się we śnie. Przez jakiś czas obserwowała cienie, jakie świeca rzucała na sufit, wreszcie westchnęła.

- Westchnęła pani - odezwał się pan Hastings z pokoju obok.

- Miał pan spać.

- Nie mogę spać, kiedy słyszę wzdychanie damy.

- Moje westchnienia to nie pańska sprawa.

- Tu muszę się nie zgodzić. To moja sprawa. To ja jestem ich przyczyną. Założę się, że dopóki pani mnie nie poznałaś, nawet nie wiedziałaś, co to znaczy wzdychać.

- Dlaczego Everard pana prześladowa?

- Złapałem go na oszukiwaniu w grze.

- Zamierza pana wyzwać?

- Marzy o tym, ale uniemożliwiłem mu to. Zorganizowałem partyjkę pikiety, na której pojawiła się jego kochanka i nasi wspólni znajomi. Jak się należało spodziewać, jego lordowska mość w pewnym momencie nie oparł się pokusie oszukiwania, jak to zwykle bywa z takimi jegomościami. Zamierzałem dać mu taką nauczkę, by już nigdy więcej nie ważył się oszukiwać, i najwyraźniej mi się udało. Tak go pochłania myśl o zemście, że wątpię, by miał czas na oszustwa.

- Jak pan sądzi, co on zamierza?

Milczał.

- Proszę mi powiedzieć - nalegała.

- Sądzę, że chce mi wyrządzić krzywdę. Zaaranżuje to tak, by wyglądało na napaść rabusiów. W ostatecznym rozrachunku jednak będę spoczywał w grobie dokładnie tak jak teraz w pani łóżku, tyle że wtedy będę przytulał do piersi lilię.

- A co pan zamierza?

- Jeszcze nie wiem. Ostatnio błądziłem myślami gdzie indziej.

Zapadła długa cisza. Miranda zaczęła się zastanawiać, czy pan Hastings nie zasnął.

- Panie Hastings? - szepnęła.

- Tak?

- Kto to jest Jane?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PRZEBRANIE

Czwarta reguła Hastingsa: Tylko mierny gracz ciągnie grę, bo prawie wszystko roztrwonił i chce to za wszelką cenę odzyskać. Roztropny gracz wie, że taka jest kolej rzeczy, że czasem się przegrywa, i powinien dążyć do tego, by stracić niewiele. Będzie umiał odczekać cierpliwie i w swoim czasie wygrać dużo. Podobnie i w życiu. Mądrym graczem jest ten, kto wie, kiedy trzeba się wycofać.

Pytanie było tak niespodziewane, że pan Hastings się uśmiechnął.

- Powiedziałaś, pani, Jane?

- Tak, co więcej, nazwałeś ją pan drogą Jane.

- Nazywałem ją drogą Jane?

Usiadł w łóżku, odrzucając kołdrę, zaintrygowany tą relacją o swoich postępkach, a jeszcze bardziej zaintrygowany ciekawością Mirandy. W gotowalni dostrzegł ruchome cienie. Czyli jeszcze nie zdmuchnęła świecy.

- A i owszem. Straciłeś pan przytomność, przynajmniej tak mi się wydawało, i pomyliłeś mnie ze swoją drogą Jane. Sądziłam, że to z jej powodu został pan tak potężnie uderzony w głowę, ale gdy poznałam lorda Everarda, musiałam zmienić zdanie.

- Skoro nie zostałem napadnięty przez męża Jane, myśli sobie pani, to kim w takim razie jest ta dama?

Rozmasował kark. Liczył, że uda mu się obrócić jej ciekawość na swoją korzyść.

- Tak, właśnie to sobie pomyślałam.

- Czemuż to chce się pani tego dowiedzieć, panno Troy? Nie sądziłem, że moje troski mogą panią aż tak kłopotać, oczywiście, o ile nie pociągną za sobą utraty reputacji.

- Panie Hastings, kiedy wziął mnie pan za swoją drogą Jane, zachowywał się pan w taki sposób, że chyba mam prawo wiedzieć.

- A jak się zachowywałem?

Miał nadzieję, że jej odpowiedź zdradzi bliższe zainteresowanie jego osobą, którego ciągle nie zdołał się u niej dopatrzeć.

- Wystarczy powiedzieć, że wielce niewłaściwie.

Żałował, że nie był wtedy przytomny i nie mógł świadomie rozkoszować się tamtą chwilą. Z drugiej jednak strony w głosie panny Troy pobrzmiwała pewna irytacja, co -

pomyślał z satysfakcją - może oznaczać cień zazdrości.

- Niemożliwe - zapewnił. - Wobec Jane nigdy bym się nie zachował niewłaściwie.

- Panie Hastings, co prawda ostatnio przywykłam do kłamstw, ale w takich sprawach nie oszukuję.

Po krótkim namyśle uznał, że nie może wyjawić tajemnicy drogiej Jane, pozbawiając się przyjemności zobaczenia reakcji panny Troy. Dlatego też wstał z łóżka i ubrany wyłącznie w spodnie ruszył w stronę gotowalni. Zadowolony skonstatował, że idzie pewnym krokiem, bez śladu zawrotów głowy. Stanąwszy w drzwiach zobaczył Mirandę w białym czepku nocnym i koszuli, leżącą na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. W blasku świecy widać było zarys jej sylwetki pod kołdrą. Rzęsy rzucały cień na policzki.

Wchodząc do środka, pan Hastings powiedział cicho:

- Musisz pani wiedzieć, że Jane była moją nianią i za nic bym jej nie obraził. Byłem wtedy bardzo mały, a ona ogromnie rosła.

Widząc go ani nie wciągnęła głośno powietrza na taką śmiałość, ani nie zaczęła piszczeć. Otworzyła szeroko oczy.

- Pana nianią? - spytała tylko.

Pana Hastingsa ogarnęła pokusa, by zrobić jeszcze krok do środka, pokusa tak silna, że nie do odparcia.

- Tak. Jeśli wątpisz pani w prawdziwość moich słów, spytaj mą matkę.

- A czemuż miałabym wątpić w pana prawdomówność?

- Bez powodu - odparł, zauważając, że podciągnęła kołdrę pod samą brodę. - Z wyjątkiem naszej pierwszej, uroczej pogawędki mówiłem pani samą prawdę.

- To w czasie naszej pierwszej rozmowy nie mówiłeś pan prawdy?

Pan Hastings właściwie spodziewał się, że dziewczyna spuści oczy, okazując w ten sposób, że zdaje sobie sprawę z niezręczności sytuacji, w jakiej się znaleźli, tymczasem ona popatrzyła mu prosto w oczy. Nie bała się. Co więcej, zdawała się wkładać wiele wysiłku w to, by nie okazać, że wyczuwa dwuznaczność ich sytuacji. Można by pomyśleć, że to dla niej zupełnie normalnie, że w środku nocy zjawia się w jej sypialni na wpół ubrany mężczyzna.

- Trudno to nazwać kłamstwem - odrzekł - ale zrobiłem na pani fałszywe wrażenie. Nie jestem aż tak impertynenckim szczeniakiem, za jakiego mnie wzięłaś. Szczerze mówiąc, gdybyśmy mieli okazję pogłębić naszą znajomość, przekonałabyś się, pani, jaki ze mnie wspaniały jegomość.

Nie zdołał nad sobą zapanować, przysunął się bliżej leżanki.

- Całkiem możliwe, panie Hastings - oznajmiła mile - ale jako że jutro o świcie

opuszczasz pan to miejsce, nie będę już miała okazji tego sprawdzić. Tak więc dobrej nocy.

Podparła się na łokciu, tak że kołdra otuliła linię jej bioder i nóg. Szybko zdmuchnęła świeczkę, potem odwróciła się plecami do gościa. Pan Hastings został w nieprzeniknionych ciemnościach.

Jej prosty i chłodny gest przywrócił mu rozum. Wypuścił oddech, ciesząc się, że nie podniosła krzyku, rozbawiony, że mu nie uległa. Po raz pierwszy w życiu młoda dama nie była bliska omdlenia, ledwo się do niej przysunął. Jej zimna krew utwierdziła go we wcześniejszym przekonaniu, że panna Miranda Troy to wyjątkowo interesująca młoda dama.

Niechętnie wrócił do sypialni, myśląc, że pozostało już niewiele godzin do świtu, a on najbardziej pragnąłby, żeby panna Troy równie niechętnie chciała go wypuścić, jak on chciał odejść.

Miranda wstała i ubrała się jeszcze przed świtaniem, co nie było takie znowu trudne, jeśli wziąć pod uwagę, że praktycznie nie zmrzyła w nocy oka. Wspomnienie nocnej wizyty pana Hastingsa w jej gotowalni skutecznie odganiało sen. Stał zaledwie jard od jej leżanki, golusienki od pasa w górę. Powinna była udzielić mu surowej reprimendy, ale z trudem chwyciła oddech, a co dopiero mówić o wymyśleniu jakiejś stosownej przemowy.

Zastanawiała się, jak rano spojrzy mu w oczy, tak niezręcznie się czuła; jednak kiedy zapukała do drzwi sypialni, a on zawołał, że może wejść, z ulgą stwierdziła, że miał już na sobie koszulę. Sięgał właśnie po surdut, bacznie mu się przyglądał, marszcząc brwi.

- To na nic - oznajmił.

Widząc, jaki jest pochłonięty swoim wyglądem, poczuła się, jakby ktoś jej podciął skrzydła. A czego właściwie oczekiwała? Że będzie niecierpliwie wyglądał jej pojawienia się? Że będzie do niej skamlał jak pies do mięsa? Że będzie ją czarował i do niej wzdychał? Zaczęła podejrzewać, że ubiegłej nocy przyszedł do jej pokoju wyłącznie po to, by wyjaśnić kwestię drogiej Jane. Myśl, że mogły nim kierować jeszcze inne pobudki, najwyraźniej zrodziła się w jej głowie, nie jego.

Zdumiało ją to. Ostrzegła się w duchu, by nie przeceniać swoich wdzięków. Pan Hastings należał do tych, którzy przedkładają światowe damy nad młode panienki z prowincji. Jego uroda, nawet jeśli zniekształcały ją zadrapania i spuchnięty policzek, zapewniała mu powodzenie u płci pięknej. A jego męska energia w połączeniu z młodzieńczą skłonnością do psot oczarowałyby każdą kobietę, która tylko pozwoliłaby sobie im ulec. Dlatego też nie należało wątpić, że adorowało go mnóstwo kobiet, a każda tysiąckroć piękniejsza niż pozostająca w staropanieństwie córka najserdeczniejszej przyjaciółki jego

matki. Nie, jeśli pan Hastings coś w niej widział, to jedynie osobę, która pomogła mu uratować skórę.

Poprząsł sobie, że raz na zawsze wybije sobie z głowy romantyczne marzenia, przyniosła miskę i dzbanek i postawiła je na stole, by pan Hastings mógł dokonać porannych ablucji. Zafascynował ją widok myjącego się mężczyzny. Zrobił to szybko, gwałtownie, jakby po namyśle. Nie zważając na siniaki, potarł policzki i brodę, na których pojawił się zarost. Po czym spytał, czy nie ma może gdzieś pod ręką brzytwy.

- Oczywiście, że nie.

- To bez znaczenia - zapewnił ją radośnie - bo wiem, że pani ją weźmiesz.

Serce jej się ścisnęło, gdy uświadomiła sobie, że jeśli pan Hastings zamierza się ogolić, sprawa jeszcze bardziej się wydłuży.

- Niedawno zaoferowała się pani, panno Troy, że mi przyniesie pióro i papier. Jeśli będziesz pani tak łaskawa, by to uczynić teraz, zdobędę brzytwę i czyste ubranie.

- Panie Hastings - odparła z wahaniem - obiecał pan, że zniknie o świcie, tymczasem słońce od dawna już świeci na niebie.

- Chyba nie sądzisz pani, że pójdę nie ogolony i w pomiętej koszuli?

- Nic mnie to nie obchodzi, masz pan stąd zniknąć.

Przyglądał jej się zaskoczony, potem skonsternowany. Z pokorą - doskonale wiedziała, że udawaną - pochylił głowę, westchnął niczym męczennik i włożył surdut.

- Jak widzę, przestała się już pani obawiać, że na ciebie spadnie wina za moją śmierć. Sądziłem, że zamierzasz pani pomóc mi dostać się w bezpieczne miejsce oraz uniknąć pewnej śmierci. Cóż, pomyliłem się. Nie pierwszy i nie ostatni - o ile to przeżyję - raz. Wpadłem na wspaniały pomysł, jak mogę opuścić ten dom. Całą noc nie zmrużyłem oka, zastanawiając się nad nim. Nie sprawiłby ci, pani, najmniejszego kłopotu. Skoro jednak pani nalegasz, bym poszedł sobie już teraz, zgoda. Zaiste, nie usłyszysz już pani ode mnie jednego zdania, ani słowa, sylaby nawet ni oddechu.

Krokiem skazańca ruszył w stronę drzwi.

- Co to za pomysł, panie Hastings? - spytała.

Wrócił do niej z ożywieniem, pociągnął na szeszlą. Gestem zapraszającym, by usiadła, powiedział:

- Muszę się przebrać.

- Jak?

- Sama pani zobaczysz.

- Czemu musisz się pan przebrać?

- Po pierwsze dlatego, że to doskonała zabawa, ale również dlatego, że chcę wyjść stąd nie budząc podejrzeń i nie zwracając na siebie uwagi osób, które mogą obserwować dom.

- Och, sądzisz pan, że obserwują dom?

- Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Co więcej, nie chcę, by moja matka dowiedziała się czegokolwiek o całej sprawie. Jeśli mój plan się powiedzie, opuszczę Londyn nie natykając się na Everarda ani jego sługusów.

Tylko jedna część tego przemówienia zrobiła na Mirandzie wrażenie.

- Zamierzasz pan opuścić Londyn?

Uśmiechnął się.

- Och, doskonale wiem, że będziesz pani za mną strasznie tęsknić. Byłem takim czarującym gościem, prawda? Niestety, muszę znaleźć schronienie, gdzie wyleczę ranę nie obawiając się, że zostanę odkryty. W ciągu tych kilku dni rekonwalescencji znajdę sposób uporania się z Everardem.

- Nie rozumiem, czemu musisz pan opuścić Londyn, żeby wrócić do zdrowia - odparła lekko obrażona.

Ujął jej dłoń, chwilę na nią patrzył, potem uniósł do ust.

- Jako próżna istota, rozumiem, że to znaczy, iż nie chcesz pani, bym sobie poszedł.

Jego ciepły ton wyraźnie przestraszył Mirandę. Wyrwała rękę i wstała.

- Mylisz się, pan. Niczego goręcej nie pragnę, jak właśnie tego. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam zrobić, by zrealizować pański plan.

Zaplótszy ramiona pan Hastings odchylił się i bacznie przyjrzał dziewczynie. Nawet jeśli go lubi, nie zamierza się do tego przyznać. Przypatrywał jej się z takim natężeniem, że poczerwieniała.

Może to i dobrze - pomyślał - że tak gorąco chce się go pozbyć. Gdyby choć słowem, gestem okazała, że żałuje jego odejścia, diabelnie trudno byłoby mu się stąd wyrwać.

Przy pierwszej okazji Miranda włożyła lokajowi do ręki list i monetę. List był zaadresowany do Feliksa DeWitta, moneta zaś miała zagwarantować milczenie służącego. To Feliksowi pan Hastings powierzył zadanie dostarczenia ubrania oraz powozu, którym uda się na wieś. Poza tym, póki nie otrzymają odpowiedzi, nie mogli już zrobić nic więcej.

Dla zabicia czasu pan Hastings zaczął pisać pierwsze strony książki, która - jak poinformował Mirandę - będzie nosić tytuł: *Hastingsa reguły gry w karty*. Ponieważ był taki zajęty, Miranda została wydelegowana do zdobycia dla niego śniadania. Minęło już półtora dnia od jego ostatniego posiłku. Bała się, że jej gość zemdleje w kuchni, nim zdoła opuścić jej

pokój, a postanowiła sobie, że nie pozwoli, by przed tą wyczekiwaną chwilą pojawiły się jeszcze jakieś trudności.

Udało się jej namówić Daisy, by przyniosła jej podgardle wieprzowe, wędzoną rybę, smażone jajka, biszkopt, bułeczki oraz kawę, i ani słowem nie wspominała o tym jej mamie, która by się zamartwiła na śmierć, słysząc o tak wyjątkowym apetycie u córki. Na potrzeby dziewczyny wyjaśniła go tym, że przeczytała u doktora Bearhavesa, jakoby najlepszym sposobem walki z przeziębieniem było solidne śniadanie. Kiedy pokojówka spokojnie przełknęła to łgarstwo, Miranda westchnęła nie tylko nad swoją dwulicowością, ale i nad swoimi zdolnościami w sztuce oszukiwania. Ostatnio kłamstwa tak często i z taką łatwością płynęły z jej ust, że gdyby tylko chciała, z pewnością znalazłaby zatrudnienie w londyńskiej gazecie.

Odebrawszy od pana Hastingsa instrukcje dotyczące jego planu ucieczki, pozostawiła go sam na sam z posiłkiem i udała się do słonecznego saloniku z oknami wychodzącymi na Queen Street, by tam posiedzieć z obiema paniami. Co prawda, niechętnie myślała o tym, że będzie musiała stawić czoło ich niespokojnym pytaniom o stan jej zdrowia, ale wolała to niż wizytę którejś z zatroskanych matek w jej sypialni. Pan Hastings bez trudu schował się przed Daisy, gdy przyszła zabrać tacę, a potem przetrzepać pościel czy umyć kolumny na łóżku, było to bowiem ufne dziewczę, które nie dostrzegało żadnych podejrzanych rzeczy, takich jak wystające spod łóżka palce u nóg czy tajemnicze odgłosy z szafy. Matka zaś zawsze potrafi wypatrzyć coś nienormalnego, choćby to był drobiazg. Matka Mirandy miała niesamowitą zdolność wyczuwania kuriozalnych pomysłów, zwłaszcza jeśli jej córka zadała sobie mnóstwo trudu, by je przed nią ukryć.

Wszedłszy do salonu, Miranda zastała obie panie pochylone nad ładną narzutą. Pracowały w milczeniu, wokół nich unosiła się atmosfera smutku.

- Dzień dobry - przywitała je Miranda.

Podniosły wzrok. Na ich pytania odparła, że wraca już do zdrowia, która to wieść nie wywołała na ich twarzach spodziewanych promiennych uśmiechów. Obie wyraziły radość i ostrzegły, by nie przeceniała swoich sił, bo to grozi nawrotem choroby. Następnie zaproponowały, by wzięła róg narzuty i naszyła nań materiał w kwiatki. Wszystko to robiły z tak smutnymi minami, że Miranda poczuła się w obowiązku spytać:

- Co się stało?

Pani Hastings przyłożyła do oczu rozek chusteczki.

- Chodzi o Charlesa. Nie mam od niego żadnych wieści.

Serce wyrywało się Mirandzie do biedaczki. Gorąco pragnęła powiedzieć, że jej syn

jest bezpieczny i do tego przebywa pod jej własnym dachem.

- Może - podsunęła lady Troy - napisał do ciebie, ale list się zagubił.

Pani Hastings potrząsnęła głową.

- Nie zliczę już, ile razy posyłałam służącego do jego domu. Charles nie pojawił się po tamtym przyjęciu. Jestem przekonana, że coś mu się stało.

Lady Troy próbowała po raz kolejny rozproszyć obawy przyjaciółki:

- Może wyjechał ze znajomym i napisze do ciebie po powrocie do stolicy.

- Nie, nie, nie zrobiłby czegoś takiego. Nawet jeśli zabiera jakąś panią na wieś, nigdy nie zapomina przesłać mi choć słówka.

- Jestem pewna, że niepotrzebnie tak się lękasz, Tabitho. Wszystko będzie dobrze, bylebyś się tak nie niepokoiła. Już wiem! Wyjdziemy dziś na spacer i zajmiesz się zakupami, a gdy siądziemy do kolacji, będziesz się śmiała ze swoich obaw, bo dostaniesz list od pana Hastingsa i będziesz się wstydzić, że byłaś taka niemądra.

- Na długo wychodzicie? - spytała Miranda, licząc, że panie wrócą już po tym, jak wyprawi pana Hastingsa.

- Wychodzimy na bardzo długo - odparła matka - bo obawiam się, że potrzeba będzie mnóstwa sklepów i zakupów, by wyleczyć biedną Tabithę z jej niepokojów.

- Przecież gdyby wyjeżdżał, wziąłby ze sobą cokolwiek - odezwała się pani Hastings, powstrzymując łzy. - Tymczasem Dimpson twierdzi, że nie zniknęło ani jedno ubranie, ani jeden kufer podróżny.

Tu wypuściła swój kawałek robótki i załamała dłonie.

Nie mogąc już dłużej wytrzymać, Miranda wyciągnęła rękę i uścisnęła dłonie biednej matki.

- Nie zdziwiłabym się - powiedziała cicho - gdyby pana Hastingsa tak pochłonęła gra w pikietę, że zapomniał o całym świecie.

- Och! - zawołała pani Hastings, uświadamiając sobie, że panna Troy trafiła w samo sedno.

Lady Troy zmarszczyła brwi.

- Nie wspominałaś mi, Mirando, że pan Hastings lubi grać w karty. Wydawało mi się, że wasza rozmowa była tak krótka, że nie doszłście do jego namiętności do pikiety czy w ogóle jakichkolwiek namiętności.

Miranda wolała milczeć niż powiedzieć jeszcze choć jedno kłamstwo.

Matka popatrzyła na nią z niepokojem. Miranda splonęła rumieńcem, ale nie musiała odpowiadać, bo matka podjęła:

- To dlatego posprzeczałaś się z panem Hastingsem? Bo on lubi karty, a ty nie?

Ogarnęła ją taka ulga, że omal się nie uśmiechnęła, ale w porę nad sobą zapanowała.

Pochyliwszy głowę, odparła:

- To prawda, mamó, że nie zgadzamy się z panem Hastingsem w kwestii gry w karty. Ale może osądziłam go zbyt surowo. Tak czy owak, chyba mogę obiecać, że nie zniechęcę tego dżentelmena tylko z powodu jego namiętności do pikiety.

Matka dogłębniej by ją wybadala, ale zjawił się lokaj z liścikiem, wręczając go Mirandzie. Szybko przebiegła wzrokiem linijki. Potem, czując na sobie czujne spojrzenie obu matek, oznajmiła:

- Zdaje się, że jakiś dżentelmen przyszedł mi złożyć wizytę.

Robiła, co w jej mocy, by wyglądać spokojnie.

- Nie wiedziałam - stwierdziła jej matka - że masz w Londynie znajomych.

- Bo nie mam!

- To kto, w takim razie, składa ci wizytę?

Miranda przygryzła wargi. Nie chciała więcej kłamać. Gwałtownie wstała i oświadczyła:

- Pójdę do mego gościa i wtedy będę wam mogła powiedzieć.

To mówiąc wyszła, zostawiając dwie zdumione matrony, i udała się prosto do biblioteki, gdzie czekał na nią jakiś dżentelmen, którego przedtem nie widziała na oczy. Był to okrągły, dość miły, przesadnie odziany jegomość, mniej więcej w wieku pana Hastingsa, choć zupełnie inny, jeśli chodzi o wygląd i postać. Pulchny, powolny, w niczym nie przypominał wysokiego i energicznego pana Hastingsa. Podczas gdy tamten czarował wręcz niebezpiecznym chłopcęcym urokiem, czerwone policzki i jasne oczy przybysza sprawiały, że w jego towarzystwie czuło się bardzo swobodnie. Teraz jednak w tych oczach płonął niepokój.

- Czy wie pani, gdzie jest Hastings? - zapytał.

- Czy pan DeWitt?

Feliks niecierpliwie skinął głową.

- Nic mu nie jest?

- Miło mi zapewnić pana, że pan Hastings czuje się dość dobrze, z wyjątkiem rany głowy, która - skoro o tym mówimy - dość szybko się goi.

Przyłożywszy chusteczkę do czoła, Feliks otarł krople potu. Miranda zauważyła w jego oczach łzy ulgi.

- Bałem się, że nie żyje. Z uwag i aluzji, jakie Everard rozsiewał u pani Stout,

wywnioskowałem, że Hastings spotkał się z nim i zginął.

- Nie doszło do pojedynku. Trzech ludzi, moim zdaniem najętych przez lorda Everarda, zaatakowało pana Hastingsa.

- Wielkie nieba, kiedym tu szedł, przy drzwiach czaiło się trzech podejrzanych typów. Każdy potężny jak byk, a miny takie, że lepiej uciekać.

Mirandę ogarnął prawdziwy niepokój. Na myśl o trzech napastnikach, którzy czaili się tak blisko domu, zapomniała, jak niewygodnie mieć pana Hastingsa za gościa. Zdała sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo się wystawiał, opuszczając ten dom.

Dzięki Bogu - pomyślała - że zamierza się przebrać.

- Nie chciałem pani wystraszyć - powiedział Feliks. - Upraszam o wybaczenie.

- Obawiam się, że pragną wyrządzić panu Hastingsowi wielką krzywdę - wyznała z troską. - Wszak już wcześniej by to zrobili, gdyby im nie przeszkodzono.

- A kto im przeszkodził?

- Pan Hastings sam panu opowie we właściwym czasie - odparła z płonącymi policzkami. - Tymczasem jednak, czy przyniósł pan rzeczy, o które prosił?

Feliks skinął głową i sięgnął po owiniętą w papier i związaną sznurkiem paczkę, którą postawił u stóp. Podał ją Mirandzie.

- Po co, u licha, Charlesowi te fatałaszki, to nie pojmuję. Zamiast się stroić, powinien poszukać jakiegoś wyjścia z tego pasztetu. Cieszę się, że żyje, ale Everard z pewnością postara się zaradzić temu problemowi.

- Właśnie te fatałaszki pomogą mu uciec. Pan Hastings zamierza się przebrać.

Feliks otworzył usta.

- Przebrać?

- Tak, a jeśli wziąć pod uwagę to, co pan właśnie powiedział o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi, to chyba roztropnie z jego strony, że podejmuje środki ostrożności.

Po chwili Feliks odzyskał normalny wyraz twarzy.

- Cóż, jeśli Hastingsowi nie przeszkadza, że będzie wyglądał jak idiota - oświadczył ze wzruszeniem ramion - to mnie chyba tym bardziej nie powinno.

- Jeśli dziś koło trzeciej po południu, kiedy nikogo nie będzie w domu, zjawi się pan przy stajniach, pan Hastings będzie tam na pana czekał. Musi pan rozkazać woźnicy, by poczekał na pana dalej, tak by wyglądało to, jakby pan przyszedł pieszo na Queen Street. Ten, kto obserwuje dom, zobaczy, że stukacie do drzwi, a w chwilę potem wychodzicie, i doniesie, że pan DeWitt z kimś jeszcze przyszli do pani Hastings w czasie, gdy wybrała się po zakupy. Tak oto nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, a pan z panem Hastingsem będziecie mogli

wrócić do powozu i natychmiast wyruszyć na wieś. To właśnie pan Hastings polecił mi przekazać.

- Aha, i to ja mam go tam zawieźć, tak? A czy nie przyszło mu do głowy, że mogę mieć ten wieczór zajęty? Czy nie przyszło mu do głowy, że nie mam najmniejszej ochoty opuszczać Londynu? Czy nie przyszło mu na myśl, że lady Ponsenby, która ma najlepszego kucharza w Europie, zaprosiła mnie dziś na kolację? Czy nie przyszło mu na myśl, że jaśnie pani zamierza podać ragout jagnięce oraz dziczyznę na słodkokwaśno?

Mirandzie przemknęło przez myśl, że wspaniałości menu lady Ponsenby mogą opóźnić wyjazd pana Hastingsa o następne dwadzieścia cztery godziny. A choć wiele by dała za jego bezpieczeństwo, nie zniosłaby kolejnej nocy w jego towarzystwie. Jego obecność była czymś więcej niż kłopotem, czymś więcej niż zagrożeniem jej reputacji. Stawała się nieznośna. Ilekroć rozmawiali, sprzeczali się czy grali w karty, uśmiechał się do niej bardzo dziwnie, jakby się domyślał, że skrywa w sercu sekret. W pokoju nieustannie natykała się na jakieś ślady jego obecności: poplamiony krwią surdut, fular, którym przewiązał jej pamiętnik, by go przypadkowo nie przeczytać, ciśniecia na fotel koszula, bielizna, która pachniała swoim właścicielem. Żyła w strachu, że ktoś mógłby zajrzeć do jej pokoju i trafić na którąś z jego rzeczy.

A jeśli nie płały jej się pod nogami jakieś jego rzeczy, wtedy płał się on sam. W tym ciasnym pomieszczeniu nieustannie się na siebie natykali. Żyli tak blisko siebie, że czasem brakowało jej miejsca na oddech. No i jeszcze ten wczorajszy incydent. Omal nie spłonęła żywcem, kiedy leżąc w łóżku podniosła wzrok i zobaczyła, jak się przyglądał. Blask świecy tańczył na jego torsie. Choć udało jej się zachować pozory niezmałconego spokoju, kiedy zdmuchiwała świecę i odwracała się plecami, daleko jej było do spokoju. Nie zasnęła później, wręcz boleśnie czując jego obecność w sąsiednim pokoju. Nic dziwnego, że następnego ranka wyglądała jak zmora. Nie może spędzić kolejnej nocy - nawet chwili - w tak bliskiej obecności tego mężczyzny.

- Jestem pewna - odparła ostrożnie - że pan Hastings nie zamierza być aż tak wymagający w tej kwestii. Chce po prostu znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie jego rana się zagoi, a on sam wymyśli sposób rozliczenia się z lordem Everardem.

- Czy to nie może poczekać do jutra?

W jego głosie brzmiało prawdziwe błaganie, lecz Miranda pozostała nieugięta.

- Jestem pewna, że pan Hastings z pewnością by na to przystał, gdyby nie fakt, że to kwestia życia lub śmierci. W tej jednakowoż sytuacji obawiam się, że trzeba to załatwić dziś.

Feliks przyjrzał jej się z nagłym zaciekawieniem.

- Kim pani jest, panno Troy? Dlaczego tak się pani troszczy o Hastingsa? Dlaczego występuje pani w jego imieniu? Czy to pani go ukrywa?

Te celne pytania sprawiły, że poczerwieniała. Zmusiła się, by zapytać:

- Czy mogę powiedzieć panu Hastingsowi, że zjawi się pan o trzeciej? Czy też chce go pan zawieść?

Wzdychając na myśl o jagnięciu i dziczyźnie, Feliks odparł:

- No, dobrze, będę. Ale będę oczekiwał, że mi to wynagrodzi. I może mu to pani przekazać.

Miranda uśmiechnęła się do niego.

- Z przyjemnością.

- I proszę mu powiedzieć, że jeśli zatrzymamy się w gospodzie, która nie zapewni odpowiedniego poziomu, już nigdy nie pożyczę od niego ani szylinga! Niech pani nie zapomni!

Miranda uroczyście mu to obiecała.

Miranda została przechwycona przy drzwiach sypialni.

- Kto to był, dziecino? - spytała jej matka.

- Pan DeWitt.

Miranda bezskutecznie usiłowała ukryć fakt, że niesie dużą pakę związaną sznurkiem.

- Wiem o tym. Lokaj powtórzył mi jego nazwisko. Kto to jest?

- Kto to jest?

- Tak, skąd go znasz?

- Nigdy przedtem nie widziałam go na oczy.

- W takim razie czemu składa ci wizytę?

- Czemu?

- Tak, czemu. Znasz kogoś z jego rodziny? A może jego znajomego?

- Tak, właśnie tak, mamo.

- A, rozumiem. Zapewne jakąś panienkę z twojej szkoły.

Miranda nie odpowiedziała.

- DeWitt? Nie przypominam sobie, by któraś z twoich szkolnych koleżanek nosiła to nazwisko.

Zrozpaczona Miranda zaczynała się zastanawiać, czy nie wyznać prawdy. Jeszcze jedno kłamstwo, a się udławi.

- Z drugiej jednak strony - ciągnęła lady Troy - nie można wymagać, bym pamiętała

każdą twoją koleżankę, prawda, drogie dziecię?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła żałośnie Miranda.

- Cóż, skóro chodziliście razem do szkoły, musisz ją zaprosić do nas na herbatkę. Jestem pewna, że Tabithę ogromnie by ucieszyło towarzystwo kogoś młodego. Biedactwo, tak rozpacza nad nieobecnością pana Hastingsa, że chyba przydałaby się jej jakaś rozrywka.

Miranda miała nadzieję, że na tym rozmowa się skończy. Niestety, jej matka najwyraźniej nie zamierzała odejść.

- Drogie dziecię - mówiła żałośnie - może byś jednak trochę polubiła pana Hastingsa. To naprawdę niewiarygodnie dobra partia. I jaki przystojny! Nie pojmuję, jak możesz pozostawać obojętna na jego urok. Choć - dodała z dumnym westchnieniem - sędzę, że córka nie może podziwiać tego samego dżentelmena, co matka. Pomóc ci rozpakować książki?

Znieruchomiała Miranda powtórzyła:

- Książki?

Lady Troy pokazała paczkę, którą córka chowała za spódnicą.

- Chyba poradzę sobie sama - wyjąkała panna Troy.

- Córeczko - odezwała się łagodnie matka - muszę cię ostrzec.

Miranda z zamkniętymi oczami czekała na ostateczny cios.

- Musisz mi obiecać, że nie zrujnujesz sobie życia.

Przeżazona, że matka trafiła tak blisko, szeroko otworzyła oczy.

- Jeśli będziesz tak przesiadywała nad książkami dniem i nocą, zrujnujesz sobie życie, wiesz? Zainteresowania, studiowanie sztuki ogrodowej, wszystko to bardzo pięknie, ale nie możesz całych dni spędzać w domu. Rozchorujesz się od tych mądrości.

Miranda pocałowała matkę.

- Jesteś bardzo dobra - powiedziała zduszonym głosem, bliska łez.

- Obiecuj mi, dziecino.

Nie była pewna, co właściwie obiecała, ale obiecała. Uśmiechając się do matki przepraszająco, zniknęła w sypialni, zamknęła drzwi i oparła się o nie. Pan Hastings natychmiast wyszedł na powitanie. Nim jednak zdążył ją serdecznie, jak to miał w zwyczaju, przywitać, położyła mu palec na wargach, nakazując milczenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

KUZYNKA CHARLOTTA

Dziś oddawałam się studiom nad ścieżynkami, zagajnikami, alejkami lipowymi, gołębnikami, sztucznymi stawami, zabudowaniami, przecinkami, cisami, żwirowymi drózkami, otwartymi przestrzeniami, wybiegami i ogrodzeniami, ale nie pamiętam ani sylaby z tego, co przeczytałam. Pan Hastings wyjechał, a towarzyszyły temu takie okoliczności, że do tej pory nie mogę uspokoić kołatania serca, a co dopiero mówić o lekturze dzieła o planowaniu krajobrazu.

Widząc na jej twarzy przerażenie, natychmiast znalazł się przy jej boku. Wyjmując jej z rąk paczkę wyraziłby swój niepokój, ale powstrzymała go, i to w taki sposób, jakby go prowokowała do pocałowania jej paluszka. Potrząsnęła głową na znak, że ma się nie odzywać.

- Moja matka - szepnęła.

Stojąc przy drzwiach, niemal dotykając się głowami, nasłuchiwali. Minęła dłuższa chwila, nim panująca za nimi cisza na tyle ich uspokoiła, że je uchylili. Pan Hastings dał Mirandzie znak. Wymknęła się na zewnątrz, ale już po sekundzie wsunęła głowę do pokoju.

- Poszła - zaraportowała z niewysłowioną ulgą.

Weszła do środka, zamknęła dokładnie drzwi, zatrzymała się i schowała twarz w dłoniach.

Pan Hastings nagle uświadomił sobie, że gra, jaką sobie narzuciła, by zapewnić mu bezpieczeństwo, bardzo wiele ją kosztuje. Choć była odważna, nie umiała łatwo i dobrze kłamać, a jako że stanowiło to jedną z jej największych zalet, pan Hastings gorąco pragnął uwolnić ją od tego ciężaru. Najlepszym zaś sposobem - przyznał w duchu - będzie podarowanie jej swojej nieobecności. I chociaż coraz mniejszą miał na to ochotę, gotów był przedłożyć jej dobro nad swoje, nie tylko dlatego, że ją lubił, ale również dlatego, że groziło mu, iż może ją polubić aż nadto. Nie przywykł lubić dam, które nie odpowiadały mu tym samym. Jeśli nie będzie uważać, rana głowy przeniesie się do serca.

Wziął przyniesioną przez nią paczkę, położył na łóżku, rozwiązał ją i rozwinął, sprawdzając zawartość.

- Do diabła! - warknął.

Zerknął na Mirandę, sprawdzając, czy usłyszała. Wyglądała jak nieprzytomna. Nie

ruszyła się z miejsca, tylko rękami już nie zasłaniała twarzy.

Uznał za swój obowiązek wyrwać ją z rozpacz. Postanowił zastosować metodę, która do tej pory niezawodnie pobudzała ją do życia, a mianowicie rozdrażnić ją.

- Do diabła! - powtórzył, tym razem o wiele głośniejsze.

Wpatrywała się w niego i dopiero po długiej chwili wróciła do rzeczywistości.

- Feliks zapomniał o włosach.

Zbliżyła się zaniepokojona.

Krążył po sypialni, udając złość.

- I jak on sobie wyobraża, że się przebiorę bez włosów? Co on sobie myśli? Przecież nie uda mi się uciec w tym uczesaniu.

Miranda z trudem podeszła do krzesła i ciężko na nie opadła.

- Rozumiem, panie Hastings - powiedziała znużonym tonem - że konieczność uzyskania włosów zmusi pana do pozostania tu na kolejną noc.

Jej apatia coś w nim poruszyła. Nie chciał, by była nieszczęśliwa. A ściślej: nie chciał, by była przez niego nieszczęśliwa. Podszedł do niej, stanął za krzesłem, zmagając się z pokusą położenia jej ręki na ramieniu.

- Nie będę cię, pani, nękał kolejną noc. Nawet godziny, jeśli będzie to ode mnie zależało - oświadczył z mocą.

Potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

- Niechże pani nie rozpacza, panno Troy. Co prawda Feliks zapomniał o włosach, ale ja wiem, gdzie możemy je znaleźć.

Zalśniła łza. Miranda odwróciła głowę, by ją otrzeć.

- To zajmie pani dosłownie chwilkę.

Odkręciła się i spojrzała na niego przerażona.

- Oczekujesz pan, że ja to zrobię?

- Cóż, ja chyba nie mogę się zakraść do sypialni mojej matki, prawda? A gdyby ktoś mnie zobaczył?

Zerwała się na równe nogi.

- Do sypialni pańskiej matki? Zmusiłeś mnie pan do kłamstw i oszustw na każdym kroku, a teraz spodziewasz się, że okradnę najlepszą, najmiłszą gospodynię na świecie?

Z satysfakcją stwierdził, że była teraz zbyt na niego wściekła, by poddawać się melancholii.

- Nie okraść, panno Troy, jedynie pożyczyć. W końcu to moja matka. Jestem pewien, że gdybym poprosił o pożyczenie jednej z peruk, zgodziłaby się bez wahania. Jak zapewne

pani wiadomo, ogromnie mnie kocha.

Z przyjemnością patrzył, jak Miranda wznosi oczy ku niebu i bezradnie wyrzuca w górę ramiona. Złość przebudziła ją do życia. Tryskała energią, była po prostu czarująca.

- Doskonale, panno Troy - oświadczył swym tonem męczennika - skoro tak się pani lękasz, że nie przyniesiesz mi jednej, maleńkiej peruki mej matki, bym mógł wreszcie raz na zawsze zostawić cię w spokoju, będę musiał zrobić to sam.

To mówiąc, ruszył w stronę drzwi. Kroczył ponuro, jakby zmierzał na szafot. Sięgnął po klamkę, kiedy poczuł na ramieniu jej rękę.

- Ja to zrobię! - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Jesteś pani bardzo dobra.

A gdy patrzył w jej duże, brązowe oczy, musiał się upomnieć, by nie posunąć się za daleko. W jej twarzy dostrzegł wrażliwość, która współistniała z jej siłą. Zapragnął wziąć ją w ramiona i już nie wypuścić.

Jeśli nie będzie uważał - powiedział w duchu z bolesną ironią - skończy, spełniając najgorętsze pragnienie matki.

- Zrobiłabym wszystko, z wyjątkiem morderstwa, byleby się pana pozbyć - syknęła i zniknęła, zostawiając go ze świadomością, że po raz kolejny wygrał z panną Troy i że po raz kolejny zwycięstwo smakowało jak popiół.

Ledwo Miranda znalazła się pod drzwiami sypialni pani Hastings, pożałowała swojej łatwowości. Dała się panu Hastingsowi namówić do kradzieży włosów jego matki. Jak zwykle udało mu się ją sprowokować do postąpienia wbrew najgłębszym przekonaniom. A ona, zamiast przejrzeć tę sieć, dała się w nią złapać. Jej naiwność nie znała granic - podobnie jak ohyda tego jegomościa. Kobieta w jej wieku powinna mieć więcej rozsądku. Zaiste, tak łatwo dawała się złapać, że można by pomyśleć, że się zadurzyła.

Drzwi nagle się otworzyły i pojawiła się w nich pani Hastings w kapeluszu i obszytej sobolami pelerynie do kompletu. Zatrzymała się na widok dziewczyny.

- Moja droga - odezwała się zaskoczona i zaniepokojona - czy coś się stało?

A jako że Miranda mogła uczciwie powiedzieć, że tak, żywo potaknęła. Ująwszy ją za rękę, pani Hastings wciągnęła ją do sypialni.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Miranda gorąco żałowała, że nie może.

Pani Hastings zaprowadziła ją do szezlonga obitego srebrzystozieloną satyną. Usiadła i pokazała Mirandzie miejsce obok siebie.

- Nie bój się mi zwierzyć, Mirando. Ja i twoja mama od lat jesteśmy sobie bliższe niż siostry. Niczego przed sobą nie ukrywamy. Uczynisz mi ten zaszczyt i pozwolisz, bym tę wyjątkową, cenną, wspaniałą przyjaźń rozciągnęła również i na ciebie?

Jej dobroć sprawiła, że Miranda omal się nie złamała. Bała się odezwać, by nie wybuchnąć płaczem. Widząc jej zagubienie, pani Hastings uścisnęła jej rękę.

- Czy chodzi o Charlesa? - szepnęła.

Zaskoczona Miranda patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Cii... Cii... - uspokajała pani domu. - Trafiłam w samo sedno, tak? Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie przypadliście sobie do gustu tamtego wieczoru, gdy was sobie przedstawiono. I pozwól, że cię zapewnię: nie winie ciebie. Ani Charlesa. Jeśli ktoś tu jest winny, to ja i twoja mama. Nie powinnyśmy były tak się upierać, byście się poznali. Szturchani i popychani przez nas obie musieliście się znieubić.

- To nieprawda, że się nie lubimy! - zawołała Miranda, nie zastanawiając się, co mówi.

Pani Hastings mrugnęła zaskoczona.

- Och, byłam pewna, że go znieubiłaś.

- Prawie go nie znam - odparła Miranda pokraśnawszy. - Trudno nie lubić kogoś, kogo się nie zna.

- Szczera prawda, ale obiecuję, że jeśli w przyszłości lepiej się poznacie, nie będzie to skutek moich knowań. Nie, drogie dziecko, los będzie musiał sam połączyć ciebie i Charlesa albo będziecie musieli zrobić to wy sami. Ja umyvam ręce od całej sprawy. To samo powiedziałam twojej mamie i całkowicie się ze mną zgodziła. Tak więc daj mi słowo, że przestaniesz się już zamartwiać przez mojego syna.

Miranda zastanawiała się, jak sprowadzić rozmowę na temat peruki.

- Chyba cię zagadałam, moja droga.

Powinna udać zachwyty uczesaniem pani domu? Powinna się poskarżyć, że jej włosom brak puszystości i przydałaby jej się treska? Kolekcja peruk pani Hastings nie umknęła jej uwagi. Zaiste, dama ta nosiła tyle różnych kolorów, fryzur i tak często je zmieniała, że nie sposób było tego nie zauważyć. A może powinna udać, że pragnie kupić perukę, i poprosić panią Hastings o radę?

Pani Hastings wstała.

- Rozumiem - powiedziała czule - że potrzebujesz chwili samotności. Może nie powinnam była w ogóle wspominać o Charlesie. Widzę, że czujesz się niezręcznie, i doskonale to rozumiem. Ogromnie się o niego niepokoję, podobnie jak ty, ale twoja mama

twierdzi, że jestem niemądrą gąską, a chyba jedna gąska na dom wystarczy. Pójdę już. Lady Troy czeka na mnie już od dłuższej chwili, dam ci czas, byś wróciła do siebie.

To mówiąc, ta dobra kobieta pocałowała ją w czoło i wyszła na palcach, zamykając za sobą drzwi.

Po jej wyjściu Miranda rozejrzała się po pokoju. Jakies pięć stóp od niej stała toaletka pani Hastings. Na niej znajdowała się głowa. Na głowie zaś spoczywała żółta jak kanarek peruka.

Pod nieobecność Mirandy pan Hastings przywdział strój przysłany przez Feliksa: ciemnozieloną suknię, dobraną do tego pelerynkę i kapelusik - budkę. Podziwiając się w lustrze, wykręcał głowę na boki, by sprawdzić, czy budka i umiejętnie nałożony róż i puder zasłaniają posiniaczone policzki. Właściwie zasłaniały. Chłopcę urodę i gładko wygoloną brodę można by uznać za kobiecą cerę, pod warunkiem, że nie przyglądało się zbyt bacznie. Mimo to pan Hastings nie będzie się czuł dobrze, póki spod kapelusika nie będą się wysuwały śliczne loki. Że też panna Troy nie może się pospieszyć.

Miał nadzieję, że Feliksowi nie sprawiło trudności zdobycie tego zestawu. W licznych, wytwornych przybytkach rozkoszy znano pana Charlesa Hastingsa prawie równie dobrze jak w domu gry pani Stout. Każda z licznych panien ochoczo zgodziłaby się powierzyć mu swoją najlepszą suknię oraz najbardziej wytworny kapelusz. Co więcej, damy te nie zadawałyby żadnych pytań. Ich moralność można by podać w wątpliwość, ale z pewnością nie dyskrecję.

Jedynym problemem okazało się wciśnięcie się w ten przeklęty łach. Na szczęście posiadał znaczne doświadczenie we wkładaniu i wyjmowaniu szpilek, w rozpinaniu i zapięciu guzików, wiązaniu i rozwiązywaniu damskich strojów, tak że pamiętał, że należy uzbroić się w cierpliwość. A co ważniejsze, zdążył już odkryć korzyści płynące z szali, narzutek i pelerynek, którymi można okryć to, czego nie da się spiąć ani zawiązać. Podczas nieobecności panny Troy udało mu się przebrać i choć suknia pozostała nie zapięta na plecach, a piersi ciągle nie potrafił ułożyć jakoś tak, by wyglądały odpowiednio, uznał, że całkiem z niego znośna kobietka.

Słyszając, że ktoś naciska klamkę, odwrócił się do drzwi. Nim zdążył spytać pannę Troy, jak mu się podoba jego przebranie, odezwała się słabym głosem:

- Och, Daisy, nie musisz dziś trzepać piernatu. Możesz to zrobić jutro.

Tu urwała. Najwyraźniej uświadomiła sobie, że nie zwraca się do Daisy. W końcu Daisy nie ubrałaby się w kapelusz i pelerynkę do przetrzepywania paninego piernatu. Kiedy

pan Hastings obserwował, jak panna Troy dokonuje tej analizy, ogarniał go prawdziwy zachwyty. Inteligencja błyszczała na jej twarzy niczym tysiące gwiazd. Uśmiechnął się, widząc, jak bacznie mu się przypatruje.

- Daisy? - spytała niepewnie.

Widzę, że przyniosłaś mi pani włosy - rzekł, wyjmując jej z rąk perukę.

Rozwiązawszy budkę, odłożył ją na toaletkę, po czym zerknął do lustra, by ułożyć odpowiednio loki.

- Nie jest to gwiazda kolekcji mamy, panno Troy. Prawdziwa szkoda, że nie wybrałaś mi pani czegoś odrobinę mniej jaskrawego.

Nie wierząc własnym oczom, powiedziała:

- Nie zamierzasz się pan chyba przebrać za kobietę!

- Widzę, że nie spodobał ci się, pani, mój kostium. Przyznaję, ten kolor nie pasuje do mej karnacji tak dobrze jak ciepłe złoto czy brzoskwinia, ale, cóż, musi mnie zadowolić.

- Niechże pan będzie poważny, panie Hastings. W tym momencie domu pilnuje trzech mężczyzn, pan DeWitt mi o tym powiedział. Obawiam się, że to mogą być ludzie Everarda. Nie możesz pan ryzykować, że zostaniesz odkryty.

- Zgadza się z panią i właśnie dlatego wymyśliłem to genialne przebranie. Najemnicy jego lordowskiej mości będą się rozglądali za szlachcicem, nie szlachcianką. Ucieknę im tuż sprzed nosów.

Roześmiał się, nakładając kapelusik na perukę. W lustrze widział wyraz twarzy Mirandy. Jej niepokój zdawał się rosnać z każdym jego ruchem i pan Hastings przeżywał interesujący dylemat. Cieszył go ten niepokój, świadczył o prawdziwej trosce o niego, trosce - pochlebiał sobie - znacznie większej niż o zwykłego śmiertelnika, któremu grozi śmierć. Równocześnie zaś nie mógł patrzeć na jej smutek, nie pragnąc przy tym pocieszyć jej i utulić.

- A jeśli nie zobaczą kobiety w osobie wynurzającej się z domu? - zawołała. - Jeśli pana rozpoznają?

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Panno Troy, czyżbyś wątpiła w doskonałość mego stroju? Zapewniam panią, tę suknię uszyła najlepsza krawcowa na Bond Street.

Zacisnęła pięści.

- Łudzisz się pan. Każdy rozpozna w tobie mężczyznę.

Podszedł do niej z rękami na biodrach.

- A czemuż to, mogę spytać? Ogoliłem się. Figura jakoś ujdzie, zwłaszcza jeśli osłonię ją peleryną. Rękawiczki, sakiewka i pantofelki są zrobione wedle najświeższej mody.

Widział, że gdy powiodła wzrokiem po jego sylwetce, spłonęła krwistym rumieńcem.

- Czegóż mi brak, droga panno Troy? - zapytał.

Patrzyła na zasłonę przy oknie, nie na niego. Wyglądało na to, że w kobiecym przebraniu jeszcze bardziej ją peszył niż w swoim męskim wcieleniu.

- Po pierwsze nie chodzisz pan jak kobieta.

- Jeśli masz pani na myśli, że nie drepczę jak kaczuszka, to masz świętą rację. To by wyglądało idiotycznie. Kobiety, którym się przyglądałem, chodzą jak normalni ludzie i zamierzam pójść ich natchnionym śladem.

- Więc musisz pan chodzić, a nie kroczyć!

W jej głosie zabrzmiało coś bliskiego gniewowi.

Nagle ich oczy się spotkały. Panu Hastingsowi zaświtało w głowie, że panna Troy, która w końcu była kobietą od lat prawie trzydziestu, może nieco lepiej znać się na tych kwestiach i warto by skorzystać z jej rad. Zresztą sprzeczki z nią dostarczały mu niemal tak samo dobrej zabawy jak gra w pikietę, a czasem nawet większej.

- Doskonale - oznajmił wyniośle. - Uznając pani wyższość w tej dziedzinie, postaram się nie kroczyć.

To powiedziawszy zaczął krążyć po pokoju, zmieniając długość kroków oraz sposób poruszania.

- Dziękuję pani - dodał, bo w miarę, jak czynił postępy, zaczynało mu to sprawiać coraz większą przyjemność. Przekonał się chociażby, że można poruszać się wdzięcznie, nie musząc być kruchą istotką. - Moim zdaniem, robię to doskonale - oświadczył.

Potrząsnęła głową.

- Wcale. I jeszcze kwestia pańskiego głosu, panie Hastings. Jak zamierzasz pan go zmienić?

- W ogóle nie będę go zmieniał, nie ma takiej potrzeby. Ludzie Everarda nie będą się wdawać w pogawędki ze mną. W powozie zaś będę się odzywał wyłącznie do Feliksa i to szeptem, by ani woźnica, ani lokaj mnie nie usłyszeli.

Pokręciła głową, nadal nie mogąc zatrzymać na nim spojrzenia dłużej niż na trzy sekundy.

- Możesz się pan kłócić i upierać do woli, ale mnie nie przekonasz. Tak samo jak nikt, kto na pana będzie patrzył, nie zobaczy w nim kobiety - a zwłaszcza ludzie, którzy pana zaatakowali. Natychmiast rozpoznają w panu mężczyznę.

- Tu muszę się z panią nie zgodzić. Nie jesteś pani przekonana, bo wiesz, że jestem mężczyzną przebrany za kobietę. Każdy zaś, kto nie wie, będzie brał to, co widzi, za

prawdę. Nie będzie miał powodów wątpić.

Zaplótszy mocno ramiona na piersiach, nie ustępowała:

- Nie rozumiesz pan. To nie ma żadnego związku z pańskim przebraniem. Gdyby chodziło wyłącznie o odzienie, udałoby się panu. Ale pan nosisz się w sposób, którego nie sposób uznać za kobiecy. Z każdego pańskiego ruchu, z każdego gestu emanuje zdecydowana męskość. Nikt nie uwierzy, że jesteś pan kobietą.

Zaintrygowany tą analizą, przysunął się bliżej, tak blisko, że musiała na niego popatrzeć. Na jej twarzy dostrzegał konsternację. Uśmiechnął się, ale nie odpowiedziała tym samym. Wydawało mu się, że dziewczyna naprawdę ogromnie się o niego niepokoi, i nie było to tylko tworem jego wyobraźni. Cieszyła go ta troska.

- O co się, pani, założysz?

Pobladła z przerażenia.

- Chce się pan zakładać w takiej sprawie? Panie Hastings, może pan zginać!

- O to proszę się nie niepokoić. Zostawię wykonawcom i mego testamentu dokładne instrukcje, by po moim zejściu z tego łoż padołu wypłacili pani należność co do grosza.

Tupnęła rozzłoszczona.

- Moje wygrane nic mnie nie obchodzą. Chcę tylko pana odwieść od tego nonsensownego planu.

- A ja chcę panią przekonać, że on wcale nie jest nonsensowny. Co więcej, mam tak głęboką pewność, że mojemu przebraniu nie można niczego zarzucić, że jestem gotów się o to założyć. A pani, panno Troy? Czy jest pani gotowa postawić na swoją pewność?

- Oczekujesz pan, że będę się zakładać o pańskie życie?

- Tak.

Przyłożyła rękę do czoła.

- Nie rozumiem pana. Jak pan możesz dla byle zakładu lekceważyć ryzyko, które panu grozi?

- We wszystkim, co robimy, kryje się ryzyko. Niebezpieczeństwem jest to, że stoisz teraz ze mną w sypialni. A gdyby zajrzała tu Daisy, zapomniawszy uprzednio zastukać? A gdyby wybuchł pożar i zobaczono by, jak oboje wybiegamy z tego pokoju? A gdybym ogarnięty nagłą namiętnością zapomniał się i cię, pani, obraził? Wszystko to są niebezpieczeństwa, a mimo to stoisz tu, pani, gawędząc ze mną, jakbym był eunuchem, nie mężczyzną, za którego pani matka i moja pragnęły cię wydać.

Widział, jakie wrażenie wywarła na niej ta przemowa. Sceny, które przed nią odmalował, okazały się bardzo obrazowe. Na jej twarzy pojawiały się odpowiednio niechęć,

ból i przerażenie. Słowo „eunuch” wywołało głęboki rumieniec. Na wspomnienie o matce purpura ustąpiła miejsca śmiertelnej bladości.

Wypuściła powietrze i bezradnie machnęła ręką.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę powiedzieć, co pani stawia.

Kiedy odpowiedziała pełnym bólu spojrzeniem, wziął ją za rękę. Zapomniał, że miał na sobie wizytową suknię, perukę oraz budkę i uniósł jej dłoń do ust.

- Czyżbyś była pani zdolna do takiego okrucieństwa, by odmówić ostatniej prośbie mężczyzny idącego na śmierć?

- Nie wiem, co postawić - powiedziała zagubiona.

- Już wiem. Zostawię pani książkę: *Hastingsa reguły gry w karty*. W końcu, jeśli można tak rzec, byłaś panią mą mużką. Należy się ona pani. Jeśli pani wygra, pozwalam ją pani wydać drukiem i rozesłać wszystkim moim znajomym, w tym i Everardowi.

Odwróciła twarz.

- Proszę, niech pan nie mówi o mojej wygranej. Nie chcę wygrać.

- W innej sytuacji czułbym się w obowiązku zrobić pani wykład na temat gry, panno Troy. Wyliczyłbym ci, pani, wszystkie powody, dla których wygrana jest ze wszech miar konieczna i szlachetna. Jednakowoż, w obecnej sytuacji, zapomnę o swoich obowiązkach. Podobnie jak pani, gorąco sobie nie życzę, byś właśnie ty wygrała.

- W takim razie zgodziliśmy się przynajmniej w jednej kwestii.

- A jeśli wygram, co dostanę?

- A jakiej nagrody jeszcze pan pragniesz, skoro zachowasz pan życie?

Propozycje pchały się jedna za drugą: lok jej włosów, taniec, pocałunek. Tymczasem powiedział tylko:

- Masz pani rację. Należałoby sądzić, że zachowane życie to wystarczająca nagroda, ale tak nie jest. Muszę odebrać moją wygraną, nawet jeśli to tylko guziki. Podstawową regułą gry jest, że gracz musi wyjść z czymś namacalnym, choćby zupełnym drobiazgiem.

- W takim razie, może pan chciałby dostać nie dokończony parawan przed kominek - odparła z nutką goryczy w głosie. - Mamy ich prawie tuzin w Opactwie Arundel.

- Wolałbym raczej partyjkę pikiety.

Pobladła.

- Jeśli uda się panu uciec ludziom Everarda, będę musiała nauczyć się grać w pikietę?

- Umowa stoi, panno Troy?

Przez chwilę wydawało mu się, że odmówi. Walkę, która toczyła się w jej sercu,

można było również obserwować na jej ślicznej twarzy. W końcu westchnęła, jakby ustąpiła. Niechętnie wyciągnęła rękę. Ujął ją i uściśnęli sobie dłonie na znak zawarcia zakładu. Następnie tryskający nowym entuzjazmem pan Hastings odwrócił się plecami do Mirandy i dał sobie zapiąć guziki.

Miranda sprowadziła go tylnymi schodami, które wychodziły na stajnie. Przy drzwiach życzyła mu szczęścia i cofnęła się, jakby chciała odejść.

- Panno Troy - odezwał się, zatrzymując ją - nim pani odejdiesz, musisz pani pozwolić, bym ci podziękował.

Nie wiedzieć czemu, jego szczerość ją zmieszała. Ilekroć mówił coś dobrego, przyjaznego, ogarniało ją straszliwe zmieszanie. Łatwiej sobie z nim radziła, gdy był obrzydliwy. Wyciągnęła rękę, mówiąc:

- Proszę, niech już pan o tym nie wspomina. Pójdę do domu i będę czekać przy drzwiach wejściowych, aż pan się zjawisz.

Chwycił jej dłoń. W jego oczach malowała się taka powaga, że dziewczynie zabrakło tchu.

- Nie sądzę - powiedział - bym kiedykolwiek spotkał kobietę o takiej odwadze, sile ducha i dobroci, jak pani.

To było już dla niej za wiele. Lżej by jej było, gdyby sprowokował ją do sprzeczki. Powaga całkowicie ją rozbrajała.

- Proszę - przerwała mu, nie chcąc, by kontynuował.

Zapatrzył się na jej dłoń, potem uśmiechnął się do niej.

- Muszę też pani podziękować, że nie powiedziałaś, iż w tym przebraniu wyglądam idiotycznie, co z pewnością jest prawdą.

Słyszac to popatrzyła na niego, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że pan Hastings nosi strój kobiety. Tak silnie odczuwała jego męskość, że ubranie nie miało znaczenia. Ta świadomość wywołała rumieńce na jej policzkach. Na szczęście w tej samej chwili usłyszała kroki Feliksa.

- Przyszedł DeWitt - odezwała się, cofając rękę.

Kiedy pan Hastings odwrócił się, by przywitać przyjaciela, pomknęła po schodach, po czym udała się do saloniku z przodu domu, dziękując losowi, że zdołała uciec. Po tym pożegnaniu brakowało jej tchu i potrzebowała dłuższej chwili spokoju, by zebrać myśli.

Idąc do saloniku, gdzie miała oczekiwać gości, zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła się nauczyć zachowywać naturalnie w towarzystwie pana Hastingsa. W tej samej chwili

zdała sobie sprawę, że nigdy się o tym nie przekona. Za dziesięć, może pięć minut pan Hastings wyruszy z Queen Street i już nigdy go nie zobaczy.

Jeśli nawet ten fakt wzbudził w niej jakieś uczucia, nie miała czasu ich przeanalizować. Usłyszała, jak lokaj otwiera drzwi, potem dobiegł ją jego głos, gdy mówił, że obie panie wyszły, ale jest panna Troy. Chwilę później do saloniku wprowadzono pana Hastingsa oraz pana DeWitta. Pan DeWitt co chwila zerkał na swego przyjaciela ze źle skrywanym rozbawieniem. Pan Hastings zauważył to, ale przyjmował z pełną godnością łagodnością. Miranda zauważyła, że nie używał w swej roli przesadnych gestów czy głupiego manieryzmu. Mimo to patrząc na niego ciągle widziała mężczyznę, który zjawił się w jej gotowalni bez koszuli, a na jego gęsto owłosionym torsie tańczył cień świecy. Pomyślała, że po kres swoich dni mógłby nosić kokardy i piórka; ona i tak nie zapomni, że jest mężczyzną.

- Pani Hastings i moja matka wyszły - odezwała się na użytek lokaja. - Może będą państwo tak łaskawi i odwiedzą nas innym razem.

- Niestety - odparł Feliks, wczuwając się w swoją rolę - moja kuzynka musi wracać na wieś, a ja wraz z nią. Proszę przekazać pani Hastings nasze wyrazy szacunku i powiedzieć, że odwiedzę ją po powrocie do stolicy.

Zgrabnie uporawszy się z tą krótką kwestią, minął lokaja i wyszedł na dwór. Miranda z panem Hastingsem ruszyli za nim. Rozejrzeli się po ulicy i choć Miranda nie wiedziała, co zobaczył pan Hastings, ją ogarnął niepokój, gdy po drugiej stronie ulicy dostrzegła mężczyznę o sylwetce nadzwyczaj przypominającej lorda Everarda. Spojrzała panu Hastingsowi w oczy i może by zamienili słówko, gdyby nie to, że pod domem zatrzymał się powóz, zasłaniając tamtego człowieka.

Ku przerażeniu Mirandy stangret otworzył drzwiczki i wynurzyły się stamtąd pani Hastings oraz lady Troy, które równocześnie zauważyły na schodach gości. Ocierając oczy chusteczką, pani Hastings przemknęła obok i zniknęła w domu. Pan Hastings drgnął i pobiegłby za matką, gdyby nie Miranda, która chwyciła go za ramię i przytrzymała. Doskonale widziała jego niepokój o matkę, ale trzeba było go powstrzymać przed wszelkim działaniem, które by go zdradziło.

Na Mirandę spadł obowiązek dokonania formalności. Udało jej się zachować pozory spokoju, gdy przedstawiała pana DeWitta z kuzynką i dodawała, że niestety muszą zaraz ruszać w drogę, gdyż mają inne zobowiązania. Następnie pożegnała się z gośćmi i odwróciła się, by wejść z matką do środka.

- Nie chcę nawet o tym słyszeć - oświadczyła lady Troy, biorąc pana Hastingsa pod rękę. - Muszą wejść i napić się po kieliszeczku ratafii.

Nim Miranda zdołała się sprzeciwić, pan Hastings skinął głową, przyjmując zaproszenie. W chwilę potem jej matka wprowadziła go do środka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DESPERACJA

Piąta reguła Hastingsa: Wśród graczy można wyróżnić równie wiele gatunków jak wśród ptaków czy roślin, a ja zadałem sobie ten trud, by je nazwać, podobnie jak Adam nazwał stworzenia zamieszkujące Raj. Na początek jegomość, którego aż nadto często się spotyka, a którego pozwolę sobie określić mianem Wytwornisia. Wytworniś to ktoś, kto tak naprawdę nie lubi hazardu, lecz oddaje mu się, gdyż pragnie, by wiadano, że nadaża za modą. Inny gatunek to Szuler, który naciąga niewinnych i naiwnych na grę o wysoką stawkę. Kupiec nie traktuje gry jak zabawy, ale uważa ją za sposób zarabiania na życie, podczas gdy Ptasi Mózdzek zżera żądza gry i nie potrafi się oprzeć pokusie zakładania, niezależnie od tego, jak bardzo jest splukany czy jak niską korzyść osiągnie. Jegomość, który się prosi o to, by go ograć, to Prostack; ten as, co każdego błaga o pieniądze, które potem przepuści przy stoliku, to Naciągacz. I w końcu Ogier. Ten gracz, który jest tak mądry i sprytny, że szybko zdobywa reputację niezwycięzonego. Zaiste, liczba i rozmiar jego triumfów sprawia, że graczom się wydaje, iż żadna istota zrodzona z niewiasty nie zdoła go pokonać. Prawda zaś wygląda tak, że bardzo łatwo może przegrać i to przez nikogo innego, jak przez siebie. On sam jest swoją klęską. Zbyt pewny siebie zapomina o grze. Przy stoliku pozwala sobie błądzić myślami, serce oddaje kochance, a nie pani Fortunie. Zakochuje się i ani się obejrzy, a straci pulę i nawet największą pracowitością i gorliwością nie odrobi straty.

Miranda pospiesznie weszła za nimi do środka, za nią podążył Feliks. Jedno spojrzenie na jego pobladłą twarz wystarczyło, by zrozumiała, że tutaj nie ma co liczyć na pomoc. Przerazenie odebrało mu mowę. Ramię pana Hastingsa nadal pozostawało w krzepkim uścisku lady Troy.

Przed salonem jaśnie pani zatrzymała się, wypuściła pana Hastingsa i szepnęła tak, by cała trójka usłyszała:

- Ach, moja biedna Tabitha. Obawiam się, że jest w ogromnym bólu.

- Czyżby zachorowała? - spytała Miranda.

Zerknęła na pana Hastingsa, by sprawdzić, jak zareaguje na tę wiadomość o stanie matki. Z tego, co zauważyła - nie najlepiej. Nie powiedział jej tego wyraz twarzy, prawie całkowicie osłoniętej budką. Wyczuwała to instynktownie. W jego postawie, w sposobie, w jaki obrócił głowę, widziała ogromną niecierpliwość.

- Nie zachorowała - odparła lady Troy - ale jest w desperacji. Chodzi o jej syna - dodała mrocznie.

Miranda zobaczyła, że pan Hastings zeszywniał.

Feliks nerwowo odchrząknął.

- Jej syna? - powtórzył z udaną beztrąską. - Czemuż to? Wszak Hastings to najlepszy chłopak pod słońcem.

- Tak, z pewnością, ale już od kilku dni nie ma o nim żadnych wiadomości - wyznała lady Troy. - Wszystko wskazuje na to, że zniknął, i Tabitha ogromnie się o niego zamartwia. Musiałśmy w połowie przerwać zakupy, bo wybuchnęła płaczem w Graton House.

Mirandę coraz bardziej niepokoiło zachowanie pana Hastingsa. Wyglądał na poruszonego. Postanowiwszy sobie, że za żadną cenę nie dopuści, by się zdradził, otoczyła go ramieniem w kibici, jak to często czynią przyjaciółki, i oświadczyła:

- Przykro mi to słyszeć, mamó. Tylko pożegnaj się z panem i panną DeWittami, a potem będę siedziała z panią Hastings tak długo, jak będzie jej potrzebne towarzystwo.

- Tak - oświadczył Feliks z fałszywą serdecznością - i proszę przekazać moje ukłony szanownej pani. Musimy już wyruszać.

Pan Hastings zaskoczony popatrzył na opasujące go ramię Mirandy i czym prędzej również otoczył jej kibici, mocno do siebie przytulając. Groźne łypnięcie dało tylko tyle, że mocniej ją uścisnął.

- Nie, nie, wejdźcie, nalegam - prosiła lady Troy - jeśli nie dla ratafii, to przez wzgląd na panią Hastings. Towarzystwo młodych ludzi to dokładnie to, czego jej teraz potrzeba, by wrócić do siebie.

- Och, ależ mamó, musisz państwu darować. Mają inne zobowiązania.

Próbowała się wyzwolić z silnego uścisku pana Hastingsa, lecz nie mogła tego zrobić nie szarpiąc się i nie zwracając uwagi matki.

- Inne zobowiązania. Właśnie, właśnie, dokładnie - powtórzył jak echo Feliks. - W innych okolicznościach z prawdziwą ochotą spędzilibyśmy kwadransik pocieszając panią Hastings, kosztując jej trunków, a może nawet próbując odrobinę ciasta cytrynowego oraz tego wyjątkowego placka śliwkowego, który sporządza jej kucharka, lecz, niestety, to niemożliwe.

- Szkoda - odparła z westchnieniem lady Troy i odprowadziłaby ich do drzwi, gdyby nie interwencja pana Hastingsa.

- Nasze zobowiązania mogą poczekać - oznajmił. - Z wielką ochotą poznałabym panią Hastings.

Dźwięk jego głosu - o ile można go opisać mianem „jego” - tak zdumiał Mirandę, że na chwilę umilkła. Przez moment nie wierzyła, że to może być jego głos. Taki delikatny, miękki, czarujący.

- Cóż za rozropne dziewczę - zwróciła się do niego lady Troy.

Ponownie wsunawszy mu rękę pod ramię, odciągnęła go od Mirandy i wprowadziła do salonu. Miranda z Feliksem wymienili zdesperowane spojrzenia.

- Nie sposób za takim trafić - jęknął Feliks.

- Martwi się o matkę - odparła Miranda. - Musimy mu pomóc.

Ująwszy go pod ramię, pociągnęła go do środka. W salonie zastali tylko pana Hastingsa i lady Troy. Pani Hastings nie było. Lady Troy kazała służącemu przynieść coś na przekąskę dla młodych państwa. Następnie wyszła na poszukiwanie pani domu.

Ledwo zniknęła, Feliks napadł na pana Hastingsa.

- Czyś ty zmysły postradał? Nie, żebym miał coś przeciwko kieliszeczkowi wina i kaskowi ciasta, ale nie możemy zostać, Hastings. Doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie możemy. Widziałeś tamtego jegomościa, który się kręcił po ulicy. Jeśli to nie był Everard, to oczy musiały mnie mylić. Grozi ci niebezpieczeństwo. Nie możemy zwlekać ani chwili, musimy ruszać.

Pan Hastings spokojnie pokręcił głową.

- Muszę porozmawiać z moją matką.

Feliks wznosił oczy ku niebu.

- Zupełnie ci się pomieszało w głowie.

Miranda poparłaby pana DeWitta, lecz nie dano jej okazji. Pani Troy wprowadziła do salonu panią Hastings, uspokajając ją czułymi zapewnieniami.

- Chodź, poznaj tych czarujących młodych ludzi - przemawiała pieszczotliwie.

Prezentacja pana DeWitta nie przedstawiała żadnych problemów, gdyż pani Hastings już go znała. Ale Feliks zaciął się, próbując przedstawić pana Hastingsa jako swoją kuzynkę. Wreszcie pan Hastings przyszedł mu z pomocą, i mówiąc:

- Biedny Feliks, tak przywykł nazywać mnie Charlottą, że płacze się, gdy trzeba mnie przedstawić.

Mówił tym nowym, zmienionym głosem. Miranda rozpoznawała w nim ton pana Hastingsa, lecz tak słodki i miły, że słuchała go ze zdumieniem. Nie sądziła, że będzie umiał zmienić głos; co więcej, sama mu to powiedziała, ale pani Hastings i lady Troy najwyraźniej nie dostrzegały w nim niczego dziwnego, poprosiły bowiem młodą damę, by posiliła się łykiem ratafii.

I cóż on zamierza teraz? - pytała w duchu niebios.

- Obawiam się, że nie mogę tu zabawić zbyt długo - mówił pan Hastings. - Mój drogi kuzyn Feliks zgodził się zawieźć mnie na wieś, gdzie będę mogła odpocząć i nabrać sił po lekkiej chorobie. Czyż nie tak, najmilszy Feliksie?

- Tak, Charlotto - odparł żałośnie Feliks.

- To najmilszy kuzyn pod słońcem. Szaleję za nim.

Podszedł do Feliksa i złożył pocałunek na jego pulchnym policzku. Feliks zupełnie nie wiedział, co z tym fantem począć.

Miranda nie zdołała powściągnąć uśmiechu. Pan Hastings najwyraźniej zamierzał bawić się tą absurdalną sytuacją, a Miranda musiała przyznać, że jego rozbawienie było zaraźliwe.

Lady Troy zaprosiła pannę DeWitt, by siadła na sofie przy pani Hastings, która tkwiła w ponurym milczeniu, nie zwracając uwagi na uprzejmą konwersację, jaka się wokół niej toczyła. Kiedy już obie zajęły miejsce, lady Troy zwróciła się do niego:

- A więc to pani jest Charlottą DeWitt? Nie przypominam sobie pani nazwiska wśród uczennic szkoły pani Wortle.

Popatrzył na nią, jakby przemówiła po chińsku.

- Och, Charlotta uczęszczała do wyższej klasy - pospieszyła z odsieczą Miranda. - Wydawały się o tyle ważniejsze, że nie śmiałam rościć pretensji do przyjaźni z którąkolwiek z nich.

- Ach, to wszystko wyjaśnia. - Lady Troy posłała młodym miły uśmiech. - Cóż, w takim razie, skoro panna DeWitt była o tyle wyżej od ciebie, dziecino, jak to się stało, że w ogóle się poznałyście?

To zadane niewinnym tonem pytanie zmroziło Mirandę. Inwencja, która zrodziła się z przerażenia, teraz ją opuściła. Bezradnie popatrzyła na Feliksa, który wzruszył ramionami.

- Och, to wielce zabawna historyjka, prawda, Mirando? - odezwał się cicho pan Hastings głosem Charlotty.

Mirandzie nie pozostawało nic innego jak skinąć głową. Czekala, aż pan Hastings dokończy, ale on milczał.

- Chętnie wysłuchałabym tej opowieści - stwierdziła lady Troy. - I ty, droga Tabitho, zapewne też, prawda?

Zajęta powstrzymywaniem łez pani Hastings nie odpowiedziała.

- Droga Miranda musi ją paniom opowiedzieć - oświadczył pan Hastings.

- Nie, nie, ty ją opowiedz, droga Charlotto - odparła, odsłaniając zęby w słodziutkim

uśmiechu. - Wszak umiesz opowiadać o wiele lepiej ode mnie.

- Och, ale za to tobie nikt nie dorówna w sztuce narracji - nalegał. - Proszę, zrób nam tę przyjemność, najdroższa Mirando.

Potem zwrócił się do matki i szepnął do niej coś tak cicho, że nikt poza nią nie usłyszał.

Miranda zrozumiała, że zamierzał skorzystać z okazji, by uspokoić matkę. Czyli na jej głowie spoczywa odwrócenie uwagi pozostałych, póki nie osiągnie swego celu. Dlatego też głęboko zaczerpnęła tchu i rozpoczęła:

- Poznałam Charlotte w szkole pani Wortle, kiedy znalazłam ją nieprzytomną na podwórzu za kuchnią.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła lady Troy. - Zachorowała?

Feliks, który przesunął się na brzeg krzesła, pomógł:

- Z pewnością zemdląca.

- Byłoby lepiej, gdyby to choroba stanowiła przyczynę jej omdlenia - odrzekła Miranda. - Prawda jednak, jak się przekonałam, okazała się znacznie bardziej przerażająca.

- O, święta opatrności! - zawołała jej matka. - A jakaż była ta prawda?

- Była ona taka... - Tu zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu. - Charlotta została okropnie pobita i możliwe, że nawet wyzionęłaby ducha, gdybym nie zjawiła się na czas.

- Aha! - włączył się Feliks. - Teraz już wiem, skąd udział pani w całej sprawie.

- Moje drogie biedactwo - odezwała się z westchnieniem lady Troy - jakaż musiałaś być przerażona!

- Nie było czasu, by się bać, mamó. Miała tak okropną ranę głowy, że musiałam zapomnieć o wszystkim i myśleć wyłącznie o jej stanie.

- Więc czym prędzej sprowadziłaś balwierza - dokończyła lady Troy.

- Nie, nie mogłam, choć gorąco tego pragnęłam. Charlotta nie chciała o tym słyszeć.

- Ale dlaczego? - dopytywała się lady Troy. Jej zaciekawienie sięgało zenitu.

Miranda spojrzała na pana Hastingsa, pogrążonego w rozmowie ze swą matką. O ile mogła się zorientować, nie był jeszcze gotów do odejścia. Najwyraźniej zamierzał zostać tak długo, jak to możliwe.

- Dobre pytanie - odrzekła. - Ale moja najdroższa Charlotta to takie uparte, zawzięte stworzenie, którego nie sposób do czegokolwiek namówić, a zachowanie człowieka świadczy o jego charakterze.

Feliks skinął głową.

- I co gorsza, nie potrafi odróżnić frykanda od ragout - dorzucił.

Zaintrygowana lady Troy zerknęła na pannę DeWitt, która wyglądała jak uosobienie czaru i delikatności, gdy szeptała coś pani Hastings.

- Wygląda na wielce miłą pannę - stwierdziła.

Miranda, która zdała sobie sprawę, że odeszła od swej opowieści, wtrąciła szybko:

- Cóż, zyskuje przy bliższym poznaniu. Właściwie, to ma jedną, może dwie zalety.

- Zaiste! - zawtórował Feliks. - Sakiewkę ma zawsze otwartą, gotowa jest z niej coś wysupłać i nigdy nie pyta o zabezpieczenie ani nie nęka o procenty.

- Dziwna cecha u damy - zauważyła jaśnie pani. - No i, nie powiedziałaś nam, Mirando, dlaczego tak strasznie ją pobito.

- Och - odparła jej córka, z trudem przetykając ślinę. - Nie wspomniałam o tym?

- Nie, dziecino, a jestem wielce ciekawa.

- Tak - przyłączył się Feliks - sam się nie mogę doczekać.

- Obawiam się, mamó, że byłabyś prawdziwie wstrząśnięta.

- Już jestem prawdziwie wstrząśnięta.

Ku swemu zdumieniu Miranda poczuła, że mimo zmieszania podoba jej się snucie tej opowieści. Dzięki temu mogła wyznać prawdę, nikomu nie wyrządzając przy tym krzywdy. Co więcej, sytuacja była przezabawna. Pan Hastings miał świętą rację, gdy twierdził, że życie często przypomina grę i że ryzyko dodaje grze smaczku.

- Cóż, skoro tak się upierasz, powiem ci prawdę, a mianowicie to, że biedna Charlotta została napadnięta.

Lady Troy szybko się powachlowała.

- Jak dobrze, że nigdy mi o tym nie napisałaś. Natychmiast zabrałabym cię z tej szkoły.

- Nie byli to zwykli bandyci, mamó, lecz trzy Amazonki, które najęła jedna z naszych szkolnych koleżanek, by pozbawiły Charolotte życia. Zdaje się, że Charlotta złapała ją na oszukiwaniu przy egzaminach i zagroziła, że ją zdemaskuje, o ile ta nie poprawi swego postępowania. I oto, jakie podziękowanie otrzymała.

Lady Troy, która do tej pory nie знаła nikogo zamieszanego osobiście w tak okropne wydarzenia, skuliła się i głośno wciągała powietrze.

- Mów dalej, drogie dziecko - wyjąkała między sapaniami.

- Błagała, bym nie posyłała po lekarza - podjęła Miranda. - Obawiała się, że jeśli to zrobię, jej nieprzyjaciółka znowu urządzi na nią zasadzkę. Mogła liczyć już tylko na mnie. Prosiła usilnie, bym zgodziła się ją schować u siebie w pokoju.

- Na Boga, co za sprytny pomysł! - wykrzyknął Feliks. - Więc to tam się schowała ta

przebiegła istota! W pani sypialni!

Zaczerwieniona Miranda potaknęła.

- Przez następne trzy dni ukrywałam ją przed całym światem.

- Nie chce mi się w to wierzyć - oznajmiła lady Troy. - Nie mogłaś tego utrzymać w tajemnicy. Wszak pokojówki, pani Wortle i koleżanki, z którymi dzieliłaś salon, szybko by ją odkryły. A poza tym nie potrafisz kłamać, Mirando. Nie zdołałabyś wykonać czegoś takiego.

- Zaślepiea cię miłość, mamó - odparła Miranda ze spuszczoną głową. - Gorąco pragnęłabym być taka szlachetna, jaką mnie odmalowujesz. Dość będzie, jeśli ci powiem, że nasz plan się powiódł.

- I co się wydarzyło potem? Jak załatwiła porachunki z tą obrzydliwą dziewczyną, która najęła złoczyńców? Bo nie wierzę, by opuściła szkołę, nie spodziewam się po niej takiej tchórzliwości.

- Tak, proszę nam powiedzieć, jak to się skończyło, panno Troy - nalegał Feliks. - Ja również gorąco pragnąłbym wiedzieć, jakie znaleziono wyjście z tych tarapatów.

Rumieniec zniknął z policzków Mirandy. To tej pory mogła relacjonować prawdziwe wydarzenia. Teraz zaś została zdana na swą wyobraźnię.

Na szczęście jednak oszczędzono jej konieczności zmyślania kłamstw, bowiem pan Hastings podniósł się z sofy, a wraz z nim pani Hastings. Oboje serdecznie uścisnęli sobie dłonie, potem pan Hastings głosem Charlotty zwrócił się do Feliksa:

- Pora już, drogi kuzynie, byśmy ruszali. Obawiam się, że i tak za długo tu gościliśmy i się spóźnimy.

Gdy pozostali wstali, lady Troy zawołała:

- Och, panno DeWitt, Miranda opowiedziała nam pani historię. Jakaż pani była dzielna! Brak mi słów, by wyrazić, jak jestem z was dwóch dumna.

Miranda zauważyła, że patrzył na nią z napięciem. W jego szarych oczach nagle pojawiła się ogromna powaga.

- Tak - odparł - Miranda była niewiarygodnie dzielna. Na zawsze pozostanę jej dłużniczką.

To mówiąc podszedł do niej, objął i złożył na jej policzku pocałunek, który jej matka musiała uznać za czarujący przejaw serdeczności, lecz jej córkę poruszył do głębi, jako wyjątkowo ciepły. Kiedy pan Hastings opuszczał dom, nadal jeszcze próbowała uporać się ze swoimi uczuciami.

Spędziwszy niespokojną noc we własnym łóżku, tym samym, w którym ostatnio

kurował się i wypoczywał pan Hastings, rankiem Miranda zjawiała się w pokoju śniadaniowym, by ogłosić swe całkowite, cudowne wyleczenie z tajemniczej choroby, jaka ją ostatnio nękała. Pani Hastings patrzyła na nią z radością i taką serdecznością, że Miranda natychmiast zrozumiała, że dama ta przestała już odchodzić od zmysłów z obawy o zaginionego syna. Najwyraźniej została zapewniona o jego bezpieczeństwie - i jeszcze o czymś. Pani domu z ogromną czułością, zarezerwowaną dla córki, ścisnęła dłoń Mirandy, tak że dziewczyna poczuła się wyjątkowo niezręcznie. Przypomniała sobie pocałunek, jakim na pożegnanie w obecności matki obdarzył ją pan Hastings. Jedynie lady Troy, która - przynajmniej z tego, co widziała Miranda - nie domyślała się prawdziwej tożsamości panny Charlotty DeWitt, ten czuły uścisk nie wydawał się niczym dziwnym. Pozostali zaś, łącznie z panią Hastings, doskonale zdawali sobie sprawę, co oznaczał. Miranda obawiała się, że jej gospodyni poruszy ten temat, jednak ku jej niewysłowionej uldze swoją wiedzę - lub domysły - pani Hastings zachowywała dla siebie.

Lady Troy przywitała córkę jak zwykle serdecznymi słowy i wyraziła nadzieję, że skoro jej drogie dziecko już wróciło do zdrowia, może ma ochotę obejrzeć stolicę. Propozycję przyjęto z entuzjazmem. Konieczność spędzenia ostatnich dni w zamknięciu sprawiła, że dziewczyna nie marzyła o niczym innym, jak o wyrwaniu się z Queen Street. Poza tym uznała, że tylko zwiedzając kolejne londyńskie parki, pałace i ogrody zapomni może o umartwieniach, które ostatnio znosiła, a także o tym okropnym człowieku - ich przyczynie.

Tak oto trzy panie wyruszyły na zwiedzanie Londynu. Miranda zniosła wizytę w Muzeum, Tower, Gabinetcie Figur Woskowych, by potem móc z czystym sumieniem spędzać nieograniczoną ilość czasu podziwiając meandry stawu Nasha w parku St. James, ogrody Capability Brow w Harrow - on - the - Hill, a także żywopłotowe labirynty Hampton Court. Ponieważ pani Hastings postarała się, by otrzymały zaproszenia na kolacje, partyjki kart, herbatki, wieczorki taneczne, spacer i wyprawy do teatru, Miranda co wieczór szła spać bardzo późno, zbyt znużona nieustanną wesołością, by długo rozczulać się nad śladem zapachu włosów pana Hastingsa na jej poduszce czy fularem, który nadal obwiązywał jej pamiętnik i którego ciągle zapominała rozsypać.

Gdy podziwianie uroków Londynu znużyło lady Troy i błagała, by pozwolono jej zostać na Queen Street z ulubionym piwem oraz grzonym winem, Miranda z panią Hastings wyruszały do miasta, zaglądając do sklepów z porcelaną, galerii, nigdy nie zapominając zatrzymać się na dłużej przy stoiskach z książkami, by Miranda mogła powiększyć kolekcję książek o planowaniu krajobrazu o dzieło Whatelya, Price'a, tudzież *Uwagi o teorii i praktyce krajobrazu ogrodowego* podpisane przez samego mistrza. Właśnie w czasie jednej z takich

wypraw, nie mogąc drożej skrywać swych uczuć, pani Hastings ścisnęła Mirandę za rękę i szepnęła:

- Moje drogie dziecię, obiecałam Charlesowi, że nie puszczę pary z ust, jak jednak mam dotrzymać obietnicy, gdy tobie i tylko tobie zawdzięczam jego ocalenie i spokój ducha?

Dotknięta Miranda oderwała wzrok od jednej z książek, którą upolowała na półce. Doskonale zdawała sobie sprawę, że pani Hastings podzieliła się z jej matką częścią wiedzy na temat owego „ocalenia”, ale miała nadzieję, że dama ta nigdy nie upokorzy jej, wspominając o tym w jej obecności. Ogarniał ją niewyobrażalny wstyd, gdy tylko pomyślała, że pani Hastings wie o złamaniu zasad przyzwoitości, których się dopuściła przez jej syna. A męczarnia stała się jeszcze gorsza do zniesienia, gdy okazało się, że pani Hastings bynajmniej nie zamierza jej potępić, a wręcz nabrała do niej ogromnego afektu.

Trudniej jeszcze niż przyjmowanie wdzięczności matki pana Hastingsa przychodziło Mirandzie znoszenie jej pełnego radości wyczekiwania. Wyglądało na to, że w sercu pani Hastings ponownie ożyły wcześniejsze nadzieje, jakby niegodne postęпки Mirandy oraz pana Hastingsa i igranie ze skandalem połączyło ich węzłem, który kazał się spodziewać w przyszłości węzła małżeńskiego. Miranda z radością powiadomiłaby panią Hastings, że w ogóle nie zamierza wychodzić za mąż, a już z pewnością nie za człowieka, który zakłada się o własne życie, ryzykując je dla zabawy, a jego zasady są godne pogardy. Niestety, nie mogła rozwiać jej złudzeń, gdyż pani Hastings nigdy nie zahaczyła o plany małżeńskie. Oczekiwanie - wielkie, widoczne, nieuniknione i nie dające się przeskoczyć jak Mur Chiński - wisiało między nimi, lecz skoro pani Hastings nie wspominała o tym ani słowem, Miranda również nie mogła tego zrobić. Byłoby szczytem zarozumiałości - by nie powiedzieć pychy - gdyby pierwsza poruszyła ten temat.

Pani Hastings czym prędzej uciszyła obawy Mirandy, mówiąc:

- Charles ani słowem nie zdradził, jak mu przysłaś z pomocą, i nie będę cię prosiła o zwierzenia, bo wiem, że dostałabym od tego okropnych palpacji, lecz nie mogę się powstrzymać od podziękowań. Zaiste, okazałabym się istotą bez serca, zachowując się tak, jakbym nie wiedziała, że odegrałaś rolę bohaterki.

Miranda ze wszystkich sił usiłowała przekonać gospodynię, że nie potrzeba żadnych podziękowań, że każdy zrobiłby to samo dla bliźniego w potrzebie, a jej wyrazy wdzięczności nie przynoszą jej radości, lecz przywołują na twarz rumieniec, ale pani Hastings to nie uciszyło.

- Oczywiście, ani słowa nie pisnę twojej matce - ciągnęła. - O to się nie kłopotcz. Pozwolę sobie jednak podziękować ci czymś, czego długo nie zapomnisz!

Przy tym zapewnieniu w jej oczach zalśniła miłość, a Miranda z obawą wyczekiwała, cóż to może być.

Tajemnica wyjaśniła się pewnego wieczoru - dokładnie w tydzień po tym, jak pan Hastings opuścił Queen Street - gdy Miranda weszła do wytwornego, kremowego salonu z meblami z kości słoniowej, urządzonego w barwach delikatnego złota oraz ciemnej zieleni, gdzie została przedstawiona sir Humphreyowi Reptonowi. Ledwo zdążyła odzyskać mowę i zduszonym głosem podziękować pani Hastings, gospodyni wybiegła, pozostawiając ją na sofie u boku wielkiego męża, gdzie Miranda rozpaczliwie próbowała wymyślić coś inteligentnego do powiedzenia. Po chwili, gdy ten wybitny twórca krajobrazów uśmiechał się do niej, pomagając przezwyciężyć onieśmienie, zebrała się na odwagę, by uważnie mu się przyjrzeć i w ten sposób skorzystać z niepowtarzalnej okazji podziwiania oblicza geniusza.

Choć sir Humphrey liczył sobie ponad sześćdziesiąt lat, twarz zachował bez zmarszczek. Czubek głowy miał łysy, siwe włosy zasłaniały uszy. Nos wydatny, oczy duże - typowe oczy dalekowidza. Cienkie wargi mocno zaciskał w wyrazie aprobaty. Palce, rozpostarte na piersi, były długie i smukłe. Ubranie proste - czarny surdut, wysoki, sztywny kołnierzyk, niewyszukany fular. Mirandzie spodobał się na tyle, by postanowić, że miast zalać go potokiem wymowy, co początkowo ją kusilo, będzie słuchać i chwytac perły, które spadną z jego ust.

- O wiele przyjemniej na panią spojrzeć niż na mego ostatniego rozmówcę, pana Coxa - odezwał się, zerknawszy na nią z uznaniem. - Jest pani, jeśli mogę się tak wyrazić, mile widzianą zmianą na lepsze. A musi pani wiedzieć, że jestem gorącym wyznawcą zmian na lepsze. Jak również przepadam za przyjemnymi widokami, dlatego muszę pani podziękować za dostarczenie mi swą osobą najwspanialszej ozdoby tego salonu.

Miranda podziękowała mu za komplementy i zdobyła się na dość odwagi, by odwdzięczyć się tym samym:

- Nadzwyczajnie podziwiam pańskie dzieła. Proszę mi wybaczyć, że powtarzam to, co z pewnością pan słyszy do znużenia. Mam nadzieję, że nie znudzę pana albo nie uzna pan, że próbuję mu się przypochlebić tymi zachwytyami, ale nic nie poradzę, że pańska filozofia tak bardzo do mnie przemawia.

- Zapewniam cię, moja droga, że nikogo nigdy nie znużyło słuchanie zachwyty pod swym adresem. Tylko jedna rzecz przynosi większą satysfakcję: słuchanie, jak jest się cytowanym. Poza tym ze zrobienia czegoś znaczącego czerpie się tę korzyść, że zdobywa się podziw młodych dam. Choć rzeczywiście szybko się męczę, to, zapewniam, nie ze znużenia. W styczniu miałem wypadek. Kiedy wracałem z gościny u sir Thomasa Lennarda w Essex,

mój powóz się wywrócił. Na skutek tego pechowego wydarzenia czuję się niemal jak kaleka. Lekarze, w swej niezmierzonej mądrości, przepisali mi leki, które powodują, że staję się senny i ziewam w najmniej stosownych momentach. Musi pani obiecać, że jeśli zasnę w połowie komplementu bądź cytatu, poczekasz pani z resztą, aż się przebudzę. Nie chciałbym stracić ani jednego dobrego słowa na swój temat. Senność przewyciężam jedynie, gdy ktoś mnie rozzłości, robi z siebie głupca lub zalewa mi sadła za skórę, co zdarza się dość często.

- Sir Humphrey, czy uważa pan, że robi z siebie głupca kobieta, która chce się zająć planowaniem krajobrazu?

- Nie uważam, by kobieta gorzej od mężczyzny potrafiła zniszczyć lub obedrzeć z uroku nasze majątki. Moim zdaniem, obie płcie dorównują sobie w zdolnościach do destrukcji.

- Ojej, jeśli takie ma pan poglądy, to sądzę, że niskie będzie pan miał mniemanie o amatorze, za jakiego bym siebie uznała, o ile w ogóle mogę aspirować nawet do tak niskiego tytułu.

- Nie mówię o pani, moja droga, gdyż pani nie znam. Mówię o ogólnym upadku mej profesji. Winą obciążam parlament, który bez miłosierdzia przygniata nas podatkami, ilekroć pragniemy upiększyć nasze majątki. Winni są także nowobogacy, których ostatnio tak wielu się pojawiło, ludzie, którzy dążą do tego, by za wszelką cenę powiększyć swą posiadłość, a nie rozkoszować się nią; i którzy oprócz tego cenią przede wszystkim jej wartość, nie piękno.

- A co z istotą taką jak ja, sir Humphrey, która - podobnie jak pan - myśli o przyjemności i użyteczności, ale nie posiada ani głębokiej wiedzy, ani doświadczenia?

- Jeśli chodzi o to, to i ja na samym początku miałem tego bardzo niewiele. Dopóki nie skończyłem czterdziestego roku życia, mało się dało o mnie powiedzieć ciekawego. Dopiero pewnej ciężkiej nocy, gdy na próżno wyczekiwałem snu, wpadłem na pomysł, by zawodowo zająć się planowaniem krajobrazu. Pojęcie to ukułem tylko po to, by brzmiało imponująco, gdy będę przedstawiał się komuś, kto będzie miał dość pieniędzy, by mnie zatrudnić. Wysłałem listy do wszystkich znajomych, zawiadamiając, że służę im radą, a ci z przekory, z której słyną nasi ziomkowie, uznali, że rzeczywiście jestem tak utalentowany i zdolny, jak zapewniałem.

- Nie potrafię określić, czy posiadam talent w dziedzinie planowania krajobrazu. Wiem jednak, że nie odważyłabym się zmienić oblicza majątku, nie wiedząc, do czego zmierzam.

- Masz pani większe skrupuły niż ja. Cóż, sądzę, że powinna pani zacząć od nauki. Niech pani przeczyta wszystkie możliwe dzieła wszystkich możliwych autorów, a nie tylko

moje *Szkice* i co znaczniejsze dzieła. Musi też pani przeczytać tych imbecyli, Knighta i Price'a, bo bez ich idiotycznych pomysłów może pani za bardzo polegać na jednym zdaniu, a tego trzeba za wszelką cenę unikać. Niektórzy nowocześni autorzy posunęli się do tego, by każdą krzywą linię nazwać piękną wyłącznie dlatego, że jest krzywa. Mylą rosochatość z naturalną lekkością, a wszelkie przejawy regularności określają mianem „formalizmu”, bowiem słyszeli, że ktoś - bardzo prawdopodobne, że ja - twierdził, jakoby natura nie znosiła prostych linii. Mam nadzieję, że pani nie dotyczą te ekstremalne przejawy głupoty.

Miranda nie od razu odpowiedziała, bowiem w głowie kłębiło jej się od myśli. Nagle zdała sobie sprawę, jak bezładne, eklektyczne i bezsensowne były jej studia nad planowaniem krajobrazu. Chyba całkiem postradała rozum, że w ogóle się do tego zabierała.

- Czy mogę coś pani poradzić? - spytał łagodnie sir Humphrey.

- Och, gdyby pan mógł! Jestem taka chaotyczna i teraz boję się, że będę musiała sobie w ogóle wybić z głowy wszelkie pomysły przeróbek.

- Moja droga, nie możesz być bardziej chaotyczna niż ja w swych młodzieńczych latach. Przeznaczono mnie do kupiectwa. Latami przerzucałem się z malowania akwarelami na rolnictwo, potem na pisanie poezji i esej, następnie próbowałem swoich sił w architekturze, inwestowaniu, w końcu w bankructwie. Aż wreszcie, jak w baśni, wymyśliłem to i od tamtej pory ani na chwilę nie zszedłem z tej ścieżki. Nawet wypadek nie zdołał mnie odciągnąć od mojej życiowej pasji. Obecnie mieszkam w Sheringham i zamierzam tam przebywać do chwili, gdy Najwyższy powoła mnie, bym opracował plan przerobienia niebiańskich okolic.

Miranda, która ze zdania na zdanie coraz bardziej lubiła tego mężczyznę, z wdzięcznością dowiedziała się o jego młodzieńczym dyletanctwie, które tak bardzo przypominało jej własne.

- Ciekawam - zadumała się na głos - czy kiedykolwiek odnajdę rzecz, którą pokocham tak bardzo, jak pan swój zawód i będę przy niej trwać aż po kres swoich dni. Nigdy jeszcze w niczym nie okazałam się stałą i obawiam się, że gdybym rozpoczęła zmiany w majątku mego ojca, wkrótce by mi się to znudziło i zostawiłabym rzecz rozgrzebaną.

- Jest na to rozwiązanie, moja droga.

Czując promyczek nadziei, nadstawiła uszu.

- Moja rada jest bardzo prosta: nie wszystko naraz. Jednym słowem, niech się pani nie próbuje zająć całym majątkiem. Proszę zacząć od klombu, alejki, zagajnika.

Miranda klasnęła w dłonie. Jak każdy genialny pomysł, ten również był prosty i oczywisty. Nic dziwnego, że zostawiła dwanaście nie dokończonych parawanów przed

kominki: bo zamierzała zrobić po jednym do każdego pomieszczenia dworu. Nic dziwnego, że rzuciła pisanie po trzecim rozdziale. Zamiast spróbować sił w wierszu, opowiadaniu, szkicu, eseju czy stronie rozmyślań, ona od razu zasiadła do powieści. Nic dziwnego, że nauka włoskiego, fizjonomiki oraz gry na harfie skończyła się niepowodzeniem: jej wyobrażenia o tym, co powinna osiągnąć, były tak wysokie, tak surowe i tak nierealne, że w końcu działały odstrasżająco. Głęboko wciągnęła powietrze, jakby wdychała wolność.

Serdecznie podziękowała sir Humphreyowi. Nim jednak zdążyła stać się zbyt natarczywa, zjawił się jego syn. Geniusz odczuwał już zmęczenie, widać to było po znużeniu, które malowało się na jego twarzy. Trzeba go zabrać do domu, by odpoczął, stwierdził młodszy pan Repton. Miranda pożegnała go z sercem pełnym wdzięczności i głową pełną pomysłów.

Tej nocy, gdy Daisy ją rozbierała, Miranda poczuła przyływ energii, która sprawiała, że nie mogła ustać w miejscu. Zobaczyła, że życie kryje mnóstwo możliwości, podobnie jak tereny ich majątku. Można z tego coś zrobić, można z tego zrobić właściwie wszystko, nie ma bowiem przeszkód dla kogoś, kto znalazł sposób osiągania celów. Można przewędrować przez życie, jakby się podążało przez góry i doliny, wąskie ścieżki i szerokie aleje, wśród fontann i lasów, poznając je z bliska, wchłaniając ich mądrość, a równocześnie rozkoszując się ich pięknem i możliwościami. Żadnego z tych pragnień nie dawało się nazwać, nie umiałyby ich też opisać komuś innemu. Ale rozpałały jej duszę; chciało jej się tańczyć.

Nagle została ściągnięta na ziemię przez Daisy, która ni z tego, ni z owego wybuchnęła płaczem i szlochała, jakby jej serce miało pęknąć. Zaskoczona Miranda spytała o powód tego wybuchu rozpacz.

- Teraz już wiem, że panienka som na mnie złe.

- Ależ skąd, Daisy, dlaczego miałabym się na ciebie złościć?

- Panienka som na mnie złe! - padła odpowiedź. W olbrzymich oczach lśniły olbrzymie łzy. - Przez tamte parę dni tak mnie panienka sobie zohydziła, że nawet nie dała sobie zapiąć guzików i ściągnąć tasiemek. A jeśli spytałam, czy podać panience czekoladom do pokoju, to panienka powiedziała, że zje w śniadaniowym i potem nawet tam nie przyszła. A gdy przyszłam przetrzepać piernaty, jak mi to nakazywała gospodyni, pani Blunt, żebym to robiła co czwartek, odesłała mnie panienka spod drzwi. Dla czegoś panienka musi być na mnie rozgniewana, skoro tak mnie traktuje, choć ja nie pojmuję, co takiego uczyniła. Zawsze się starałam panience przypodobać i mam nadzieję, że nie chce mnie panienka zwolnić, bo jeśli stracę to miejsce, to nie wiem, co włożę do ust i gdzie się podzieję.

Poruszona Miranda słuchała tej przemowy. Gorąco żałowała, że nieświadomie tak

skrzywdziła niewinną pokojówkę. Daisy padła ofiarą tamtej historii, tak samo jak gdyby dowiedziała się o obecności pana Hastingsa i spiskowała z nimi w utrzymaniu tego w tajemnicy. Poczucie krzywdy zawrzało w sercu Mirandy. Obwiniła pana Hastingsa. Obwiniła siebie.

Objęła dziewczynę i gładziła po ramionach, póki szloch nie ucichły, a wtedy zaprowadziła ją do gotowalni, gdzie wyjęła medalion i wcisnęła jej do ręki.

- Zatrzymaj go, Daisy - rzekła z powagą - i niech on cię zapewni, że naprawdę ogromnie cię cenię. Służysz mi lojalnie i dobrze. Jeśli nie dopuszczałam cię do spełniania obowiązków, gorąco przepraszam. Uwierz, proszę, że nic na to nie mogłam poradzić.

Daisy wytarła nos w fartuszek.

- Może panienska bała się, że się od niej zarazę przeziębieniem, a nie chciała, by mnie złożyła choroba.

Miranda westchnęła.

- Trafiałś niemal w samo sedno. Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby dosięgnął cię choć cień mej niedyspozycji.

I tak, doszedłszy wreszcie do porozumienia, Miranda i pokojówka rozstały się. Miranda mogła teraz wrócić do radosnych przemyśliwań, z których wyrwały ją łzy Daisy. Złość na siebie i pana Hastingsa szybko zniknęła, gdy w myślach sadziła krzewy: bez, kocierpkę i jaśmin. Następnie oczami wyobraźni zobaczyła osłoniętą alejkę, po której można by spacerować zimą, z klematisem i kapfryfolium oplatającymi kolumny. Potem wyobraziła sobie kwietniki. Klomby kwiatów wszelkich kolorów i maści stały się ostatnio nadzwyczaj modne. Może posadzi bratki, żonkile i goździki. Te rozkoszne myśli ukołysały ją do snu.

Przyśniło jej się, że widzi kobietę wchodzącą do długiego, wąskiego ogrodu, otoczonego z obu stron bukami, modrzewiami i dębami. Szła wolno. Co parę kroków trafiała na trzy zgrabne, marmurowe schodki, osadzone w starannie przyciętej trawie, tak jakby same w niej wyrosły. Po każdym z tych trzech stopniach otwierał się kolejny ogród: najpierw niebieski, po nim karmazynowy, żółty, fioletowy i wreszcie biały, a zdążając między nimi pięła się wyżej i wyżej ku niebu, aż wreszcie na końcu białego ogrodu dotarła do drewnianej, ażurowej altanki. W altance znajdowała się ławka z kutego żelaza, na której kobieta usiadła i zapatrzyła się na ścieżkę, którą właśnie przyszła, mieniącą się wspaniałymi plamami barw wśród cieni kołyszących się gałęzi drzew. Kobieta wydała się Mirandzie znajoma.

Po lewej stronie kobiety coś się poruszyło. Kiedy tam zerknęła, zobaczyła nadchodzącego mężczyznę. W pierwszej chwili wydawało jej się, że wyłonił się zza kasztana, który osłaniał altankę. Ale po chwili uświadomiła sobie, że wynurzył się z głębi drzewa,

jakby ono go wydało na świat. Ruszył w jej stronę, a wtedy ona oparła się wygodnie o ławkę i wyciągnęła rękę, zapraszając, by usiadł obok. Rozchyliła wargi, kiedy mocno chwycił ją za rękę, a gdy zwróciła się do niego słowami czarującej pieśni, z jej warg zaczęły spadać drobne, przypominające gwiazdki kwiatki.

W tej samej chwili Miranda obudziła się, mokra od potu. Sen, który tak pięknie się zaczął, na koniec ją przeraził. Przypomniawszy sobie twarz kobiety ze snu, spłonęła rumieńcem i wyrzucała sobie, że te bzdury tak ją zaniepokoiły. A przypomniawszy sobie mężczyznę, zadrżała. Bo choć twarzy nie widziała wyraźnie, od pasa w górę był nagi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NIESPODZIEWANY GOŚĆ

Wielce droga panno Troy,

skoro w ogóle czytasz te słowa, oznacza to, że uznałaś mój list za wart spojrzenia, mimo Twego wstępu do mej osoby. Piszą do Pani, by stwierdzić, że fular to mierna nagroda za Pani wyjątkową dobroć dla mnie. Proszą jednak, byś - choć nie znosisz. Pani, jego właściciela - zechciała go nie palić, nie dlatego, że utkano go z najdelikatniejszego chińskiego jedwabiu, ale dlatego, że pragnąłbym kiedyś odebrać go z Pani rak i podarować Pani bardziej stosowny upominek, wyrażający mą wdzięczność. Oprócz tego upraszam o jeszcze jeden honor, panno Troy: byś, o ile to możliwe, od czasu do czasu pomyślała o mnie i to bez gniewu. Ja z pewnością, cię, Pani, nie zapomnę.

Pozostają zawsze oddany

C.H.

Mimo wiszącego w powietrzu śniegu pan Hastings odważył się przespacerować plażą do Cobb. Dokładnie to samo, co przyciągnęło go do tej nadmorskiej wioski, sprawiło, że teraz podnosił kołnierz płaszcza i szedł w podmuchach lodowatego wiatru: mianowicie fakt, że w grudniu nikt tu nie przyjeżdżał i prawdopodobieństwo trafienia na partnera do pikiety równało się prawdopodobieństwu natknięcia się na zagubiony grobowiec faraonów.

Mijał już trzeci tydzień jego pobytu w Lyme Regis, po ciężkiej podróży powozem w przeciwnym kierunku. W wiele dni po opuszczeniu Londynu Feliks wraz z kuzynką Charlottą pokazali się w Marcross, majątku Feliksa w Kencie. W tym okresie pan Hastings cierpiał na nawrót mdłości i zawrotów głowy tak silny, że mimo jego protestów Feliks posłał po lekarza. Doktor Meecham wzruszył ramionami, gdy wyjaśniono mu, że panna Charlotta to mężczyzna. W swej praktyce zdążył się już napatrzeć na najróżniejszych pacjentów i ani nie wydawał osądów, ani nie plotkował. Mimo to jednak rzadko zdarzało mu się oglądać ranę głowy tak paskudną jak ta, którą otrzymał pan Hastings. Szanowny pan miał ogromne szczęście, że nie wdało się zakażenie, burczał. Co prawda ten, kto ją opatrzył, nieźle się spisał, lecz powinien był odradzić panu Hastingsowi podróże. Prawdziwy cud, że pacjent w ogóle zachował przytomność.

Choć panu Hastingsowi przepisano litanię leków, odpoczynek i świeże powietrze, wytrzymał zaledwie pięć dni. Szóstego dnia oznajmił, że pora, by Feliks wrócił do Londynu

zobaczyć, jak się sprawy mają, on zaś musi znaleźć sobie miejsce, gdzie nie będzie musiał się ukrywać w przebraniu.

Ledwo przysłano mu jego własne ubrania - starannie, pieściwie spakowane przez dyskretnego kamerdynera Dimpsona - zrzucił damskie łąszki. Jeśli nawet służącym w Marcross wydało się nieco dziwne, że do najlepszej sypialni wkroczyła panna DeWitt, a opuścił ją pan Hastings, ani słowem tego nie skomentowali. W końcu dostali tyle suwerenów, że wystarczyło, by całkowicie ogłuchli, oślepli i oniemieli.

Pan Hastings samotnie wyruszył do Lyme Regis, gdzie kiedyś matka przywiozła go jako chłopca, i tam pozostał pod przybranym nazwiskiem w domu, który wynajął mu zarządca Feliksa. Pan Hastings był szczęśliwy, mogąc przebywać w zakątku tak odległym, że nie wymagał przebrania. Fiszbiny gorsetu, guziki, haftki, szpilki i sznurówki, które go ścisnęły, obfitość spódnic i halek irytowała go ponad wszelką miarę. Zastanawiało go, czemu kobiety - zasadniczo inteligentne i rozsądne istoty - znoszą te tortury. Nie potrafił wyjść z podziwu, że kobieta mogła ubierać się modnie, a równocześnie zachować zdrowy rozsądek.

Myśli o płci żeńskiej nieodmiennie kończyły się rozważaniami o pannie Troy, której obraz tak często gościł przed jego oczami, że niemal spychał w cień Everarda. Choć pan Hastings widział wyraźnie jej twarz i potrafił przywołać zarys karku, miękką linię nosa, mięsistość płatka ucha czy kształt biustu, nie wspomnienie jej wyglądu robiło na nim tak olbrzymie wrażenie. Także i wspomnienie jej głosu. Jeszcze teraz słyszał, mimo ryku fal rozbijających się o brzeg: „Kim jest Jane?” Słyszał niepokój, jaki dźwięczał w jej głosie, gdy obmywała mu ranę. Był równie melodyjny jak harfa, na której grała. W rytmicznym szumie fal uderzających o brzeg słyszał raz za razem, jak powtarza: „Panie Hastings”. Przysiągł sobie, że pewnego dnia nazwie go Charlesem.

Zbliżywszy się do Cobb, patrząc na brunatne fale, które rozbijają się o wysoką skałę rozpryskując się dokoła, pomyślał, że nadeszła pora, by raz na zawsze zakończyć sprawę z Everardem. Zdrowie odzyskał już prawie całkowicie, a pobyt poza stolicą zaczynał go nużyć. Trudno mu przychodziło pogodzenie się z tym, że nie może odwiedzić matki ani znajomych. Nie odważył się spojrzeć na karty ani kości. Tymczasem zamiast zjawić się u panny Troy i zmienić jej zdecydowaną niechęć w uwielbienie, on traci czas odpoczywając, snując się po plaży i łykając obrzydliwy eliksir przepisany przez doktora Meechama. Za jedyne zajęcie musiało mu wystarczać spisywanie kolejnych rozdziałów książki o zasadach gry w karty. Specjalnie zostawił manuskrypt pannie Troy - stanie się pretekstem kolejnego spotkania - lecz pisał dalej, nie tylko dlatego, że mu się to podobało, ale i dlatego, że właściwie nie miał poza tym nic do roboty.

Na razie nie otrzymał wiadomości, które by świadczyły, że Everard otrzeźwiał. W listach Feliksa pełno było opisów, jak to jego lordowska mość przechwala się po klubach i domach gry. Twierdził, jakoby Charles Hastings rzucił na niego kalumnię, po czym - wyjątkowo tchórzliwy postępek - zniknął bez śladu, nie wiadomo gdzie. Każde takie wystąpienie Everard kończył znaczącym mrugnięciem i oświadczeniem, że gdyby Hastings odważył się pojawić, „on czeka”. Należałoby się więc spodziewać, pisał Feliks, że jegomość zamierza się pojedynkować, i to na śmierć i życie.

Pan Hastings kręcił głową, czytając te bzdury. Gdyby Everard rzeczywiście go zabił, z pewnością zostałby skazany na banicję. Musiałby mieszkać poza Anglią. A gdyby ważył się wrócić, zostanie uznany w kraju za *persona non grata*. Liczni i wierni przyjaciele pana Hastingsa już by się postarali, by życie stało się dla niego udręką. Nikt by się do niego nie odzywał, nikt nie okazałby mu współczucia. A jednak, mimo wszystko, lord dążył do zemsty. Jak tu dyskutować z takim jegomościem?

Może - myślał ponuro pan Hastings - powinienem się z nim spotkać o świcie z pistoletami, wdać się w tę całą bzdurę i załatwić sprawę. Jeśli jego lordowska mość zamierza się upierać, może lepiej by było spotkać się z nim twarzą w twarz, a nie za każdym rogiem, w każdej alejce wypatrywać jego najemników, nieustannie żyć w gotowości do ataku. Nie znosił się ukrywać. Było w tym coś paskudnego. Poniżej jego godności.

A za rzecz jeszcze bardziej poniżej godności uważał to, że oddaje Everardowi inicjatywę. Postanowił sobie, że wypłacze się z tych tarapatów nie uciekając się do pojedynku, i zamierzał to osiągnąć. Założył się ze sobą: do wiosny będzie miał Everarda w rękę, zdanego na jego łaskę i niełaskę, nie wystrzeliwszy przy tym ani jednej kuli. Jeśli wygra, w nagrodę zafunduje sobie przejażdżkę otwartym powozem z panną Troy. Jeśli nie... Cóż, właściwie nie ma sensu zastanawiać się, co wtedy, prawda?

Po powrocie ze spaceru napisał do Feliksa, prosząc, by wywiedział się o nazwiska opryszków, których nasłał na niego Everard. Skierował Feliksa do odpowiedniego dżentelmena, byłego stróża prawa, znanego z dyskrecji, mądrości, a przede wszystkim oddania rodzinie Hastingsów. Otrzyma za to zdumiewająco sówite wynagrodzenie, a gdy już uda mu się dotrzeć do tych typków, ma ich przekupić, by przenieśli swe oddanie na pana Hastingsa, który zapłaci im dwakroć tyle, co suma obiecana przez Everarda. W ten sposób Everard dowiędzie się, że szumowiny najęte przez niego do najobrzydliwszych postępków łatwo można przekupić. Jeśli Everard postanowił go zabić - poprzysiągł sobie pan Hastings - będzie musiał dokonać tego osobiście.

Do listu do Feliksa dołączył krótką notkę do matki, w której napisał:

Bądź spokojna, jestem bezpieczny. Jeśli panna Troy nadal u ciebie mieszka, nie wspominaj jej o mnie ani słowem. Łatwiej jej będzie, kiedy nie będzie nic wiedziała. Dotrą do Ciebie najróżniejsze pogłoski na mój temat. Zachowuj się tak, jakbyś w nie wierzyła. Choć jesteś moją najmilszą Mateczką, nie zapominaj, że winnaś mi sześć guzików. Zamierzam wkrótce zjawić się osobiście, by je od Ciebie odebrać.

Potem napisał trzeci list, do lorda George'a Moncriefa z Berkeley Square, w którym przechwalał się, że udał się do Szkocji z „pewną damą”. Rozpisywał się nad jej umiłowaniem rozkoszy - intelektualnych, oczywiście - aczkolwiek uskarżał się, że nie miała bladego pojęcia, jak się gra w wista. Doskonale wiedział, że mieszanka zachwytów i narzekań całkowicie przekona młodego Moncriefa. Kończąc poprosił, by odwiedził panią Buxleigh i przeprosił w jego imieniu, że nie złożył jej obiecanej wizyty.

Oczywiście ani słówkiem nie piśnij, co mnie zatrzymało! Wymyśl jakieś wytłumaczenie. Chciałbym, by ta pani po moim powrocie do Londynu przyjęła mnie z otwartymi ramionami. A skoro już o tym mowa, może się okazać, że i Tobie ona wielce się spodoba, George. W takim razie z ochotą ci ją oddam, gdy już z nią skończą.

Nie wątpił, że cynizm tego stwierdzenia rozbawi Moncriefa. Młody lord z rozkoszą będzie powtarzał każde słowo tego listu w klubach. Gdy Everard to usłyszy, jego duma zostanie urażona. Po stolicy rozejdzie się wieść, że Hastings bynajmniej nie czmychnął z Londynu z uszami po sobie, lecz udał się z piękną towarzyszką na przyjemny zimowy odpoczynek. Po swoim powrocie do miasta pan Hastings - będzie głosić plotka - zamierza umizgiwać się do kochanki lorda Everarda. W ten sposób położy kres przechwałkom Everarda. Na jakiś czas zamknie wrogowi usta.

Potrzebował jednak porządnego rozwiązania, takiego, które na zawsze uniemożliwi Everardowi wszelkie knowania. Niestety, nic takiego nie przychodziło panu Hastingsowi na myśl, dlatego też wynajdował sobie rozrywki. Udał się do stajni, gdzie najął konia, przyzwoitą klacz, choć nie tak rozbrykaną i ostrą jak Izolda, jego ulubienica. Jedną z negatywnych stron życia w Lyme była konieczność korzystania z cudzych stajni. Gdyby jednak ściągnął własne konie, mogłyby zostać rozpoznane i zdradzić miejsce jego pobytu. Dlatego musiał się zadowolić Kasztanką, ładną, brązową trzylatką o smutnych ślepiach.

- Mam nadzieję, że nie wybiera się pan daleko na tę dujawę? - spytał stajenny.

W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie. Na niebie pojawiły się groźne, sztormowe chmury.

Pan Hastings wskoczył na Kasztankę i wyprowadzając konia, zamiast odpowiedzi rzucił chłopcu monetę. Potem ruszył pędem z wiatrem, jakby tylko szybkość i wściekłość mogły go zadowolić. Kierował się w głąb łądu, unikając drogi do Bath, gdzie mógłby natknąć się na znajomego. Nawet nie zauważył, gdy z nieba zaczęły padać leniwe płatki śniegu. W pewnym momencie przypomniał sobie ostrzeżenia lekarza przed nadmiernym wysiłkiem, ale zbył to pogardliwym wzruszeniem ramion i popędził klacz.

Nie wiedział, jak długo tak mknął, ale w pewnym momencie dręczący go niepokój zniknął, a on mógł swobodniej oddychać. Zatrzymawszy konia na grzbiecie wzniesienia, zapatrzył się na wzgórza i gospodarstwa. Choć krajobraz był szary, zimowy, wydawał się cudownie spokojny. Panu Hastingsowi przyszło na myśli, że pannie Troy ten widok spodobałby się równie mocno jak jemu. Gdyby wszystko ułożyło się inaczej, mógłby jechać z nią u boku i rozkoszowałby się melodią jej głosu, kiedy pokazywałaby mu różne godne zainteresowania punkty.

Pragnąc zobaczyć więcej, zjechał w dół, na drogę. Tam wkrótce natknął się na jakiegoś staruszka, który szedł zmagając się z przeciwnym wiatrem. Pan Hastings zatrzymał się i zaproponował, że weźmie go na siodło. Starzec z wdzięcznością przystał. W miarę jak zbliżali się do skupiska chat na końcu drogi, wędrowiec się rozgadał. Pan Hastings uśmiechnął się na myśl, że bawi go gadanina chłopca. Zaledwie miesiąc temu siedział w pokoju karcianym u pani Stout i użalał się nad sobą, gdyż partia pikiety okazała się taka nudna, a jedyną rzeczą wartą iskierki zainteresowania było oszukiwanie Everarda. Dziś, proszę, jest szczęśliwy mogąc słuchać, jak staruch gada o Opactwie Arundel.

W tym momencie uświadomił sobie, że ta nazwa brzmi znajomo. Zatrzymał klacz i spytał:

- Czy to właśnie Opactwo Arundel?

- Jużem to mówił, panie, i z ochotom powtórzem to raz jeszcze, bo nigdzie nie masz pana tak dobrego jak nasz sir Bascomb Troy.

- Ma chyba córkę, prawda?

- Wiele ci córek on ma.

- Ale panna Miranda to, zdaje się, jego córka?

- Skłamałbym, kiebym rzekł, że nie.

Ogarnięty nowym zapalem pan Hastings pożegnał się ze starcem przy jego chacie i z satysfakcją pomyślał, że szczęście mu dopisało. Ze wszystkich możliwych miejsc w Anglii,

jakie mógł sobie wybrać na kryjówkę, on wyszukał to, które od Opactwa Arundel dzieliła zaledwie godzina drogi.

Początkowo sen niepokoił Mirandę. Niektóre jego elementy uznała za oburzające, inne za śmieszne. Po namyśle jednak doszła do wniosku, że sen miał ogromne znaczenie. Dzięki niemu zobaczyła własne serce. Zobaczyła ogród, który powinna zaprojektować - w którym będą się znajdowały grupy kwiatów najróżniejszych kolorów. Od tej chwili pogrążyła się w studiach nad kwiatami i w głowie miała jedynie klomby, grządki, rowki, byliny, rośliny jednoroczne i temu podobne. Ku zachwytowi lady Troy, wiele popołudni spędziła w towarzystwie jasnowłosego dżentelmena - jak głosiła wieść, utytułowanego i dobrej partii. Rozczarowanie jaśnie pani nie znało jednak granic, gdy córka oświadczyła, że ten młodzieniec interesował ją wyłącznie dlatego, że mógł ją wprowadzić do wielu modnych domów, a także przedstawił ją głównym ogrodnikom z Hampstead oraz Królewskich Ogrodów Botanicznych w Kew.

Dni upływały Mirandzie na wyteżonej pracy. Pochłaniały ją studia i obserwacje. Każde słowo sir Humphreya zapisała w dzienniku i rozważała je, jakby padło z góry Synaj. Oczywiście, nie mogła otworzyć dziennika, nie rozwiązując przy tym fularu, którym oplatał go pan Hastings, i w takich chwilach nieodmiennie zastanawiała się, jak pan Hastings sobie radzi. Jeśli nawet pani Hastings otrzymała od niego jakieś wieści, nie wspominała o tym ani słowem. Pan DeWitt odwiedził panią Hastings, lecz Miranda była zajęta i nie dowiedziała się, czy jakieś fragmenty rozmowy dotyczyły pana Hastingsa. Byłaby spokojniejsza wiedząc, że znalazł bezpieczne schronienie, ale - tłumaczyła sobie - gdyby nie żył, z pewnością by o tym usłyszała.

Wyrzucała sobie, że nie zdobyła się na pozbycie się jego fularu. A gdyby Daisy go zobaczyła? Co by powiedziała matka, natknąwszy się wśród jej rzeczy na część męskiej garderoby? Nieostrożnie sobie poczynała, zostawiając go. Gorzej, to było śmieszne i głupie. Mimo to po raz kolejny obwiązała fularem pamiętnik.

Pewnego wczesnego grudniowego poranka, przeglądając książki i papiery w poszukiwaniu reptonowskiego projektu kratowanej altanki, natknęła się na rękopis pana Hastingsa. Przejrzała go z ciekawością, zauważając lekkość jego pióra, łatwość, z jaką ujmował w słowa to, co chciał zapisać, nie musząc potem tego wydrapywać i maleńkimi literkami nanosić licznych poprawek. Prostota i dowcip jego stylu wywarły na niej ogromne wrażenie i przyznała, że teraz, gdy szczęśliwie znajdował się daleko od niej, te cechy szczególnie ją pociągały. Do tego jeszcze był obdarzony żywością charakteru, męską energią,

co ogromnie podziwiała. A jednak w jego towarzystwie nie okazywała zachwytu. Zawsze odnosiła się do niego z niechęcią i powagą. Dlaczego? - zapytywała się w duchu. Dlaczego przybrała tak sztywną, ponurą pozę?

Piąta reguła Hastingsa, w której opisywał różnorakie typy hazardzistów oddających się grom losowym, zachwyciła ją oryginalnością i kąśliwym poczuciem humoru. Ostatnie zdanie jednak dało jej wiele do myślenia. Pisał tam o graczu, który zakochując się, sam ściąga sobie na głowę przegraną. Z bólem myślała, że pan Hastings może sobie zakazać takich uczuć tylko dlatego, że mogłyby go odciągać od gry.

Przekręciła stronę i ku swemu zdumieniu przekonała się, że jest tam list do niej. Po pierwszej lekturze nic z niego nie pojęła. Pozostało tylko mętne wrażenie, że pan Hastings nie życzy sobie, by zniszczyła jego fular. Po drugim czytaniu dostrzegła coś więcej, a mianowicie, że spodziewał się, iż ponownie się spotkają; co więcej - pragnął, by się ponownie spotkali. Czowała się równocześnie pochlebiona, zadowolona i przerażona. Wigor tryskający z tych kilku zdań odzwierciedlał żywotność ich autora. Miranda przypomniała sobie, że za jego bytności w tej sypialni powietrze aż się skrzyło. Po przeczytaniu ostatniego zdania zabrakło jej tchu. Teraz tylko myślała o jednym: czy panu Hastingsowi nic nie grozi.

I zastanawiała się tak wiecznie, gdyby na Queen Street nie pojawił się gość, który odpowiedział na jej pytania. Lord Everard przyszedł do pani Hastings, a ponieważ Miranda siedziała z gospodynią czytając Cowpera (którego opinia o malowniczości - choć brakło poezji - pokrywała się z jej sądami), usłyszała całą rozmowę.

Jego lordowska mość nie był w nastroju, tak bardzo nie w nastroju, że zdobył się jedynie na minimum uprzejmości. Miranda przyglądała mu się, odłożywszy książkę. Po kilku minutach uznała, że to ten sam człowiek, który czaił się w pobliżu drzwi tego dnia, gdy pan DeWitt z panem Hastingsem wyruszyli na wieś. Czy jednak lord Everard ich zauważył? Czy ich dogonił? Czy spełnił swe pogroźki? Czy ciało pana Hastingsa leży teraz w jakimś lesie czy odległym rowie, wydane na pastwę kruków i much, tak że nikt go nie odnajdzie, nie pochowa ani nie opłacze? Wzdrygnęła się na samą myśl.

- Droga pani Hastings - zagaił ze zniecierpliwieniem Everard - ciekaw jestem, czy może mi pani powiedzieć, gdzie znaleźć jej szanownego syna? Nie widziałem go od kilku tygodni i zaczynam się o niego poważnie niepokoić. Czy aby dobrze się czuje?

- O tak, czuje się doskonale - odparła pani Hastings z ukontentowanym, macierzyńskim uśmiechem.

- Więc miała pani od niego ostatnio wieści?

- Tak, i wiem, że zdrowie mu dopisuje.

- Rozumiem. Krążą plotki, że udał się do Szkocji. Nigdy nie sądziłem, że lubi zimę na północy.

- O ile wiem, te pogłoski są prawdziwe.

- Mówi się też, że cieszy się czyimś towarzystwem, które można by określić mianem wielce przyjemnego.

Pani Hastings uniosła brwi słysząc tę insynuację, ale powiedziała tylko:

- Te pogłoski również są prawdziwe.

- Doprawdy? - zapytał Everard.

Miranda dostrzegła, że poczerwieniał. Bynajmniej nie wyglądał na zadowolonego. Złączył palce i zmarszczył brwi.

- Jeśli wolno mi mówić wprost, pani, słyszałem coś, jakoby tym towarzystwem była dama.

Ogromnie skonsternowana pani Hastings ostrzegła:

- Byłoby wielce nieprzyzwoite wspominać coś więcej na ten temat.

To mówiąc wzrokiem wskazała na Mirandę, dając do zrozumienia, że dziewicze uszy tej oto panienki mogłyby tego nie znieść.

Ale lord Everard nie przyjął tego do wiadomości.

- Kim jest owa dama? - nalegał.

Rozwścieczona jego bezczelnością, pani Hastings wstała.

- Niewiarygodne, by dżentelmen ważył się rozprawiać na takie tematy z matką jego druha! I wielce niestosowne z pańskiej strony, lordzie Everard, że nękaś mnie pan takimi pytaniami!

Skarcony Everard przeprosił i wkrótce się wyniósł. Zmarszczka na jego czole sprawiła Mirandzie prawdziwą przyjemność, podobnie jak wniosek, który wyciągnęła z tej rozmowy, że najwyraźniej pan Hastings jak najbardziej żyje. W końcu gdyby Everardowi udało się go przenieść na lepszy świat, nie przyszedłby do pani Hastings z wizytą.

- Niech cię te wieści nie martwią, dziecino - odezwała się pani Hastings, wrywając ją z zadumy.

- Jest pani bardzo dobra. Nie martwią mnie.

- Sądziłam, że zaboli cię, gdy usłyszysz, że Charles wyjechał z jakąś damą - odparła z żalem pani Hastings.

- Domyślałam się, że to tylko plotki.

- Niestety, to prawda.

- Prawda?

- Tak, prawda aż nadto prawdziwa.

- Skąd pani wie?

- Od samego Charlesa. Napisał do mnie.

Ku swemu zaskoczeniu Miranda poczuła, jak ściska jej się serce. Wstała, usiadła, znowu wstała, skierowała się do okna, by sprawdzić, czy chmury nie zwiastują śniegu, przeszła do kominka, potem do sofy i ponownie usiadła.

- Spodziewam się - powiedziała, odzyskawszy panowanie nad sobą - że pan Hastings może robić, co mu się żywnie podoba.

- Przypuszczam, że Charles wkrótce odkocha się w tej damie - stwierdziła pani Hastings, która z prawdziwą przyjemnością obserwowała zmieszanie Mirandy. - Jego afekty nigdy nie trwają długo. O tak, lękam się, że nigdy nie zdoła nawiązać trwałego związku.

Miranda gwałtownie się poderwała i przeszła do stolika. A ponieważ stała na niej miniatura pana Hastingsa, ruszyła w przeciwnym kierunku. Krążyła po pokoju, myśląc, że nie powinna jej była zaskoczyć ta charakterystyka. Wszak był graczem, co więcej, chwalił się tym. Obrzydliwy, płytki, niemądry, ot, co. W jednej chwili ciepło pisze o swoim szacunku do damy, która wystawiła na szwank reputację, by ocalić mu życie. A już za chwilę ryzykuje to samo życie, by wdać się w romans z kobietą, z pewnością nie lepszą niż ona powinna być. Nienawidziła jego niestałości. Nie znosiła płochości u mężczyzn.

I wtedy opadła na fotel, uświadomiwszy sobie, że płochością dorównywała panu Hastingsowi, że przeskakiwała od wielbiciela do wielbiciela, podobnie jak on od jednej kochanki do innej i choć teraz afektem obdarzała planowanie krajobrazu, a nie mężczyznę, nie oznaczało to, że nie jest płochą. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jedyną cechą, która łączyła ją z panem Hastingsem, było to, czego najbardziej u siebie nie znosiła.

Pani Hastings bacznie jej się przyjrzała.

- Czyżbyś zamierzała zemdleć, moja droga?

- Nie uznaję omdleń - oświadczyła, próbując zachować godny ton.

- Och - odparła pani Hastings nieco zawiedziona. - Sądziłam, że możesz zemdleć na wieść o niecnym postępkach Charlesa.

- Jego nieczne czy cnotliwe postęпки - odrzekła, ukrywając prawdziwe uczucia - nic mnie nie obchodzą!

To powiedziawszy wypadła z salonu.

Pani Hastings uśmiechnęła się i nie próbowała już prowokować panny Troy do omdlenia.

Wkrótce po wizycie lorda Everarda lady Troy powiadomiła Mirandę, że ojciec napisał do nich, prosząc, by wróciły do domu. Choć Miranda niechętnie opuszczała Londyn, gdzie mogła do woli oddawać się studium nad planowaniem krajobrazu, nie protestowała. Tęskniła za ojcem i domem. A poza tym nie mogła już dłużej znieść tej sypialni, świadka jej postępów z panem Hastingsem. Gdy już znajdzie się w domu, puści w niepamięć ów nieszczęsny epizod.

Minęło jeszcze wiele godzin, aż wreszcie pani Hastings pożegnała je ze łzami. Sir Bascomb powitał je ze łzami. Radowało go, że córka wróciła do domu niezamężna, a do tego najwyraźniej nie zamierzała zmienić tego wspaniałego stanu. Oświadczył, że jest gotów dać jej wolną rękę we wprowadzaniu zmian w majątku. Może przerabiać, co i jak chce, pod warunkiem, że nie wyda na to zbyt wiele i nie zadurzy się w jakimś niegodnym jegomościu. Te czułe zapewnienia bynajmniej nie ukołysały nękających Mirandę uczuć. Choć złość na pana Hastingsa nie zniknęła, odłożyła ją na bok i całą duszą zaangażowała się w przygotowania do świąt Bożego Narodzenia.

Właśnie stała na drabince, ustawiając świece na półce nad kominkiem, gdy wszedł Ragstone i odchrząknął.

- Gość do jaśnie pani - zwrócił się do lady Troy.

Miranda z popłochem pomyślała, że to może pan Lloyd, który groził ponownymi oświadczeniami, ledwie tylko wybranka wróci ze stolicy. Nim zdążyła zaprotestować, lady Troy poprosiła, by wprowadzić gościa.

- Och, mamó, muszę natychmiast uciekać! - zawołała Miranda. - Jeśli to pan Lloyd, to nie chcę go widzieć.

- Nie możesz sobie pójść, drogie dziecko. Świece jeszcze nie są proste. Musisz je jeszcze wyprostować, trochę w prawo. Jeśli zaś chodzi o pana Lloyd, to uważam go za ogromnie odpowiedniego dżentelmena z doskonałym dochodem. A jego ziemie, jak wiesz, bardzo poręcznie przylegają do Opactwa.

Odwróciwszy się twarzą do matki, Miranda wypaliła prosto z mostu:

- Chyba powinnam ci powiedzieć, że oświadczył mi się, a ja odmówiłam.

Lady Troy zachwiała się, jakby sztylet przeszył jej serce.

- Odmówiłaś! Och, co ty mówisz! Nie dość, że tak bez powodu znieubiłaś pana Hastingsa, to jeszcze odprawiłaś pana Lloyd, twoją ostatnią nadzieję! Och, to nie do zniesienia.

Między matką a córką padłyby bolesne słowa, gdyby nie przerwał im cichy, łagodny głos:

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Na widok gościa gniew zniknął z twarzy lady Troy, a zagościł na niej serdeczny uśmiech.

Miranda zaś omal nie spadła z drabiny.

- To panna DeWitt przyjechała z wizytą - oznajmiła lady Troy, jakby Miranda sama tego nie mogła zobaczyć.

W ciągu następnych kilku minut Miranda w pełnym gorczy milczeniu obserwowała, jak jej matka serdecznie wita pannę DeWitt, zaprasza, by została na herbatkę, zaprasza, by została na noc, i zaprasza, by została na te parę ładnych tygodni dzielących je od Nowego Roku. Wszystkich tych łaskawych zaproszeń panna DeWitt nie omieszkała przyjąć z nieznośnie wdzięcznym uśmiechem.

W końcu Miranda musiała przerwać swe pełne gniewu milczenie i się odezwać. Inaczej jej matka już by się postarała, by - jak za dawnych lat - dwie serdeczne przyjaciółki dzieliły pokój oraz łóżko.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

SPISEK PRZECIWKO MIRANDZIE

Dom powinien wtapiać się w tło; i na odwrót, otoczenie powinno łączyć się z budynkiem. Rezydencje wyrastające z ogromnego trawnika - tak jak Opactwo Arundel - dominują nad otoczeniem, a nie jednoczą się z nim. Można to częściowo skorygować burząc niższe skrzydła domu i budując ciąg połączonych pokoi, prowadzących do oranżerii, stąd zaś powinna wieść zwirowa alejka wśród krzewów do letniego ogrodu pełnego goździków, ostróżek, tojadu, petunii oraz lwich paszczy, a za nim do przybytku ptaków i motyli. Papa nie przystanie na tak poważne i kosztowne przeróbki. Pana Lloyd'a zaś może dałoby się namówić, ale musiałabym za niego wyjść, a nie wyjdę za człowieka wyłącznie dlatego, że mogłabym wprowadzać w jego majątku zmiany.

Ustalono, że panna DeWitt opuści je zaraz po herbatce, powróci do swoich bliżej nie określonych przyjaciół, u których obecnie przebywa, i w najbliższych tygodniach - kiedy tylko uda jej się stamtąd wyrwać - zjawi się w Opactwie Arundel. Lady Troy cieszyła się na myśl, że w czasie nadchodzących świąt córka będzie miała towarzystwo młodej damy tak utalentowanej, że zdołała nawet rozproszyć smutki pani Hastings. Tymczasem zaś, jako matka, musiała zapomnieć o gniewie na córkę i powiadomić gospodynię, że mają gościa.

Ledwo matka zniknęła, Miranda napadła na pana Hastingsa:

- Po coś pan tu przyjechał?

- Żeby panią zobaczyć.

Zauważył, że jej jasne włosy i cera czynią ją szczególnie podatną na rumieńce.

- Czyś pan oszalał?

- Całkiem niewykluczone.

Zbliżał się do niej powoli.

- Masz pani chęć na mały zakładzik?

- Nie! Życzę sobie tylko jednego: byś pan wrócił do Szkocji i nigdy więcej nie pokazywał mi się na oczy!

- Moja noga nie powstała w Szkocji od co najmniej dziesięciu miesięcy.

- Co innego mi powiedziano. Nie tylko żeś pan udał się do Szkocji, ale w dodatku towarzyszyła panu kochanka. I tak, podczas gdy ja konałam z niepokoju, czy wróciłeś pan do zdrowia po otrzymanej ranie i wymyśliłeś plan uporania się z lordem Everardem, pan się

zabawiałeś.

- Konała pani?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Moja droga panno Troy, cały ten czas spędziłem samotnie. Niestety, nie towarzyszyła mi żadna kochanka. Któż panią zwiódł tak okrutnie?

- Pańska matka!

To go uciszyło, ale tylko na chwilę. Przypomniawszy sobie o liście, który wysłał do matki i swoich instrukcjach. Musiała wobec panny Troy potwierdzić prawdziwość pogłosek. W trzech susach wylądował przy Mirandzie, unosząc jej dłoń do ust.

- Dziękuję - szepnął.

Po bezskutecznej próbie wyszarpięcia ręki, zawołała:

- Pan naprawdę oszalał!

- Dziękuję, że byłaś zazdrosna.

Wziął ją w ramiona i pocałował.

W pierwszej chwili była zbyt zdumiona, by się bronić, potem zbyt wzruszona, następnie rozplamieniona, a wreszcie rozogniona. Uświadomiwszy sobie, że Miranda całuje go równie gorąco, jak on ją, pan Hastings odsunął się na chwilę i zajrzał w jej brązowe oczy. Uśmiechnął się i jeszcze raz ją pocałował, tym razem z prawdziwą namiętnością. W końcu ją wypuścił i ruszył do drzwi, mówiąc znacząco:

- Wrócę, by podziękować ci jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

Miranda opadła na podnóżek, chowając twarz w dłoniach. Ogarnęła ją rozpacz, gdy uświadomiła sobie, jak uległa zapałom pana Hastingsa. I ogarniała ją rozpacz, gdy w ogóle o nim myślała. Nie pojmowała, jak ktokolwiek może wziąć tego mężczyznę za kobietę.

Pana Hastingsa czekało wiele zajęć, jeśli chciał zakończyć swe sprawy w Lyne. Wynajął swój domek parze podstarzałych sióstr. Pod przybranym nazwiskiem jeździł od gospody do gospody, pilnując, by nigdzie nie zagościć więcej niż raz, tak by Everard - o ile byłby na jego tropie - nieźle się napocił szukając go. Napisał do Feliksa, wspominając o zaproszeniu lady Troy i prosząc o przysłanie licznych sukien dla panny Charlotty DeWitt, w tym stroju do jazdy konnej, sukni balowej, czepeczków i temu podobnych. Na koniec dodał:

Oszczędź sobie trucię strofowania mnie za moje szaleństwo. Doskonale zdają sobie z tego sprawę. A jeśli nie przyślesz mi pełnej garderoby modnej damy, zostaną skazani na jakąś tutejszą, szwaczką i po okolicy roznieście się wieść, że kuzynka Feliksa DeWitta wygląda

jak ostatnie nieszczęście. Co więcej, rozgłoszą, że potraktowałeś mnie tak wulgarnie, iż musiałam opuścić Marcross i szukać schronienia u mej drogiej koleżanki ze szkoły.

Potem jeszcze wysłał list do swego kamerdynera, Dimpsona, z dokładnymi instrukcjami, jak wydobyć od prawnika bardzo stary, lecz bardzo błyszczący szmaragdami i brylantami naszyjnik po babce.

Wkrótce otrzymał od dwóch podstarzałych sióstr umowę wynajmu podpisaną zgodnie z wszelkimi wymogami, a także kufer pełen damskich szatek z listem od Feliksa, w którym przyjaciel napisał: „Daj znać, kiedy wyjeżdżasz z Opactwa Arundel, żebym mógł w Bedlam przygotować wszystko na twoje przybycie” oraz prostą szkatułkę z precjozami. Tak uzbrojony, w kapeluszu panny Charlotty wyruszył najętym powozem na - jak ufał - rozkoszny pobyt u panny Troy i jej szacownych rodziców.

Zjawił się, gdy sir Bascomb był nieobecny, doglądając naprawy dachu stajni. Lady Troy wyjechała z kucharką do Togbury wynegocjować u rzeźnika gęś na święta i łój do sosu śliwkowego. Miranda siedziała w małym saloniku, pracując nad swoimi klombami. Obłożona książkami, z piórem w dłoni i we włosach wyglądała niczym uosobienie mądrości.

Kiedy wprowadzono pana Hastingsa ubranego w morelową pelerynkę obszytą futrem, Miranda wstała na powitanie. Zauważył nagłą zmianę atmosfery, jak po uderzeniu pioruna. Dziewczyna też musiała to wyczuć, bo ustawiła się tak, by dzielił ich stół, przy którym pisała. Na jej twarzy pan Hastings dostrzegł mieszane uczucia. To, które pragnął zobaczyć - radość na jego widok - przesłoniły niepewność i konsternacja. Miranda spuściła wzrok pod jego baczny spojrzeniem.

- Niech się pani nie obawia - odezwał się, gdy służący wyszedł, zostawiając ich samych. - Nie powtórzę mego wcześniejszego zachowania. Możesz się pani nie lękać, już cię nie pocałuję.

- Nie powinienes pan był mnie całować. Ktoś mógłby nas podejrzeć i wpadłbyś pan w tarapaty.

Cieszył się, że jej obiekcje brały się z obawy o jego bezpieczeństwo, a nie z odrazy do jego osoby.

- Muszę panią prosić o jedną przysługę.

Łypnęła na niego podejrzliwie.

- Z powodów, których pani nie muszę tłumaczyć, przyjechałem bez pokojówki. Choć nabrałem już sporej wprawy we wciskaniu się i wysuwaniu z sukien oraz ukrywaniu figury pod szalami, mogę potrzebować pomocy.

- W takiej sytuacji możesz pan po mnie posłać. Jeśli jednak nadużyjesz pan mej dobroci, ściągnę ci tasiemkę tak, że nie będziesz mógł oddychać.

Ucieszyła go jej reakcja. Czyli jednak wbrew sobie nie mogła się oprzeć pokusie utarczki słownej. Przynął się bliżej.

- Przypuszczam, że to nie obejdzie pana zbytnio - powiedziała cicho - ale pański pobyt u nas jest naprawdę niebezpieczny, o wiele bardziej niebezpieczny, niż pan sądzisz. W najbliższych dniach ściągną tu moje siostry z rodzinami. I co pan zrobisz wtedy?

- To samo, co bym zrobił, gdyby się nie zjawiły: odbiorę swoją wygraną.

- Pańską wygraną?

- Założyliśmy się, o ile mi wolno przypomnieć. Gdyby mój plan z przebraniem się nie powiódł, miałem zostawić pani książkę, byś ją wydała i wzięła z niej zyski. Gdyby jednak się powiódł, miałaś się pani nauczyć grać w pikietę.

Uśmiechnęła się wątro.

- Liczyłam, że pan zapomnisz.

- Nie zapomniałem niczego, co się wydarzyło w tamtej sypialni.

Słychać było, jak Miranda głośno wciąga powietrze.

Wrócił służący, by zaprowadzić pannę DeWitt do jej pokoi, gdzie już zaniesiono jej bagaże, i w ten sposób położył kres rozmowie. Słodkim głosem Charlotty pan Hastings obiecał wrócić, gdy tylko będzie mógł, i posławszy Mirandzie pocałunek, którego służący nie zauważył, pożegnał się z nią.

W niecałe pół godziny potem rzeczywiście zjawił się ponownie, lecz okazało się, że Miranda nie była już sama. Przyjmowała gościa, pana Farrisa Lloyda, i z napięcia, jakie panowało w pokoju, łatwo dawało się wyczytać, że przerwał *tête - à - tête*. Pan Hastings został przedstawiony jako Charlotta DeWitt, po czym cała trójka siedziała w niezręcznym milczeniu. Miranda miała zaczerwienione policzki i pan Hastings wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co te rumieńce oznaczają. Wyraz twarzy pana Lloyda łatwiej dawało się odczytać. Nie posiadałby się ze szczęścia, gdyby panna DeWitt znalazła się na drugim końcu świata. Panu Hastingsowi wystarczyły trzy minuty, by stwierdzić, że siedzi przed nim rywal do uczuć panny Troy.

- Zapewne chciałby pan wiedzieć, gdzie się z Mirandą poznałyśmy - przemówił głosem Charlotty.

Po minie sądząc, pan Lloyd bynajmniej się nad tym nie zastanawiał. Co więcej, panna DeWitt mogła w ogóle nie istnieć. Widział tylko Mirandę, która siedziała z pełną wdzięku godnością, wodząc wzrokiem od jednego dżentelmena do drugiego i uśmiechając się z

wysiłkiem. Wreszcie wstała i tłumacząc się innymi obowiązkami, które na nią czekały, przeprosiła gości. Pan Hastings nie potrafił określić, czy to jego, czy pana Lloyd'a obecność ją wygoniła.

Kiedy pan Lloyd wstał i zaczął krążyć po pokoju, pan Hastings rozważał, jaki by tu przyjąć kurs. Dość kuszące wydawało się oznajmić jegomościowi wprost i klarownie, że on sam już upatrzył sobie pannę Troy, tak że szanowny rywal może się stąd wynosić, najchętniej w diabły, i więcej nie zawracać głowy tej damie. Przyszło mu jednak na myśl, że takie stwierdzenie musiałoby zabrzmieć wyjątkowo dziwnie, gdyby padło z ust panny Charlotty DeWitt, i dlatego milczał.

Drugim, bardziej rozsądnym rozwiązaniem wydawało się opuścić pokój i pozostawić tamtego własnym myślom. Dlatego też wstał i uniósłszy spódnicę zmierzał w stronę drzwi. Jego zdecydowane postępowanie zdumiało pana Lloyd'a. Zamrugał powiekami, jakby go wyrwano ze snu, i powiedział:

- Panno DeWitt, mam nadzieję, że mi pani wybaczy moje zamyślenie. Przepraszam, jeśli okazałem się nieuprzejmy. Za nic nie chciałbym obrazić przyjaciółki panny Troy ani przedstawicielki płci pięknej w ogóle.

Przyjrząwszy się baczniej konkurentowi pan Hastings doszedł do wniosku, że choć jest sztywny i odrobinę nadęty, to znowu nie taki ostatni. Skłoniwszy łaskawie główkę, co podkreślało urodę koronki przy czepeczku, odrzekł:

- Nie jestem dotknięta. Widać wyraźnie, że coś pana smuci, i nie zamierzam jeszcze bardziej pana nękać żądając konwersacji.

Te zdania wpłynęły na natychmiastową poprawę nastroju pana Lloyd'a.

- Bardzo pani wyrozumiała, panno DeWitt. Udało się pani tak trafnie odgadnąć me uczucia, choć nie odezwałem się ani słowem.

Pan Hastings miał ochotę odpowiedzieć, że nie trzeba być członkiem Królewskiego Towarzystwa Naukowego, by domyślić się uczuć pana Lloyd'a względem panny Troy, i że on sam ją uwielbia, a również, że na korzyść pana Lloyd'a przemawiało, iż wiedział, gdzie ulokować uczucia, lecz się powstrzymał. Musi - ostrzegł się w duchu - przemawiać jako panna Charlotta DeWitt, nie jako pan Charles Hastings. Ten ostatni co prawda jest mężczyzną, ale ona jest kobietą. A choć on kształtował swój charakter wpadając w tarapaty i później się z nich wydobywając, ona kształtowała go uciszając niepokoje drogiej matczki. I podczas gdy jego wdzięk polegał przede wszystkim na przystojnej twarzy oraz umiejętności gry w karty, jej polegał na łagodnej wyrozumiałości. Dlatego też odrzekł:

- Choć nie znamy się, panie Lloyd, jeśli mogłabym w czymś panu pomóc, mam

nadzieję, że nie zawahasz się pan spytać.

I już miał sobie pogratulować przyjaznego tonu tego stwierdzenia, gdyby nie to, że zostało ono przyjęte z ogromną skwapliwością. Pan Lloyd chwycił go za dłonie, z powagą wpatrzył się w zasłaniające je koronkowe rękawiczki i spytał chrapliwie:

- Więc mogę się pani zwierzyć?

Pan Charles Hastings natychmiast oblałby jegomością zimną wodą, by uspokoić ten sentymentalny wybuch, lecz panna Charlotta DeWitt uśmiechnęła się cierpliwie i skinęła głową.

Kiedy obaj sadowili się na sofie, pan Hastings musiał zapanować nad chęcią oświadczenia swemu rozmówcy, by przestał robić z siebie przedstawienie i wyniósł się do czorta. Tymczasem jednak złożył dłonie na podółku i przechylił głowę gestem uważnego słuchacza.

- Jak panna Troy z pewnością pani wyznała, poprosiłem ją o rękę.

Słyszając to pan Hastings omal go nie uderzył. Gdyby wiedział, że sprawy zaszły tak daleko, od razu posłałby jegomością w diabły.

- Pocałował ją pan? - spytał.

- Oczywiście, że nie! - zaprotestował pan Lloyd. - Chyba wiem, co dżentelmen jest winien damie, i za nic bym jej nie obraził.

Ta odpowiedź uciszyła nieco irytację pana Hastingsa. Mimo to nie zazna spokoju, póki się nie dowie, czy Miranda tamtego przyjęła.

- Odmówiła mi.

Uspokojony pan Hastings jakoś wydobyl z siebie współczujące pomruki.

- Och, masz pani takie współczujące serce - stwierdził pan Lloyd z westchnieniem. - Przyznam, że jej odmowa nieco mnie zaskoczyła. Obiecałem, że wyznaczę jej hojną pensję z jej posagu. A choć to kosztowało mnie nieco osobistego wyrzeczenia, zgodziłem się wyznaczyć dla niej część ogrodu, by mogła go sobie urządzać po swojemu. Co więcej, okazałem gotowość wzięcia jej za żonę mimo jej wieku, a także zwróciłem uwagę, jak korzystne byłoby połączenie majątku jej ojca z moim. I mimo wszystko powiedziała, że mnie nie przyjmuje.

Uwielbienie pana Hastingsa dla Mirandy wzrosło niepomiarnie.

- Panie Lloyd, współczuję panu z całego serca - odparł z nie udawaną szczerością.

Jeszcze nie dokończył tego zdania, gdy zaczął się zastanawiać, ile bzdur wygłosił rozmawiając z kobietami, z których one zaśmiewały się w głębi serca. Przysiągł sobie, że - o ile to będzie od niego zależało - w przyszłości będzie uważał, by nie wyjść w towarzystwie

damy na idiotę.

Nieświadom myśli panny DeWitt, pan Lloyd podjął:

- Przyszedłem dziś, by ponowić oświadczyzny, lecz zachowywała się tak ostrożnie, tak wymijająco, że się nie odważyłem. Nie jestem pewien, czy w ogóle powinienem jeszcze raz poruszyć tę kwestię. Może odmawiając mi wcześniej w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co robi, i nie zamierza zmienić zdania.

- Niektóre kobiety myślą dokładnie to, co mówią, i mówią dokładnie to, co myślą.

- Jest pani tego pewna?

- O, tak, znałam wiele takich osób.

- A skąd mam wiedzieć, że panna Troy do nich należy?

To dało panu Hastingsowi do myślenia. A może za daleko się posunął? Czy jest prawdopodobne - zastanawiał się - że Miranda w duchu liczy na to, że pan Lloyd powtórzy oświadczyzny? Natychmiast odrzucił ten pomysł. Jej odpowiedź na jego pocałunek powiedziała mu wszystko. Poza tym wszak nie mogła kochać takiego nudziarza jak pan Lloyd.

Z drugiej jednak strony mogła uważać tego nudziarza za lepszego kandydata na dozgonnego towarzysza niż jakiegoś gracza, którego każde słowo i czyn zdawały się służyć kpinie i nękanii innych. Pan Lloyd może i nie jest tak interesujący ani porywający jak pan Hastings, ale z pewnością wygodniej by się z nim żyło. Niejakiego pana Hastingsa można uznać za bardzo ciekawego znajomego, z pewnością jednak mężem okazałby się fatalnym.

- Nie wiem, co panu odpowiedzieć - wyznał szczerze pan Hastings.

- Oczywiście, że nie. Nikt nie może mówić za pannę Troy, tylko ona sama. Dlatego też postanowiłem sobie poprosić panią o ogromną przysługę.

Pan Hastings zmierzył go wzrokiem. Jegomość nie wykazywał najmniejszego zainteresowania panną DeWitt. Nawet nie spojrział jej w oczy. Pochłaniały go wyłącznie osobiste troski, a mimo to ważył się prosić ją o przysługę. Co za bezczelność! Co za egoizm! Panu Hastingsowi zaczynało świtać, czemu kobiety noszą gorsety, sznurówki i inne narzędzia tortur - by odwrócić myśli od niewysłowionego samolubstwa rodzaju męskiego. Myśli te jednak zachował dla siebie.

- Jaką przysługę? - spytał tylko.

- Zechciałaby pani podpytać w moim imieniu pannę Troy?

- Nie!

Pan Lloyd przygryzł wargę; wyglądał po prostu żałośnie.

Gdyby pan Hastings miał na sobie swój stalowoniebieski surdut i płowe spodnie, bez

wahania pokazałby jegomościowi, gdzie raki zimują. Ale jako panna DeWitt poczuł dla niego coś w rodzaju współczucia. Przyszło mu nawet na myśl, że na miejscu pana Lloyda czułby się równie nieszczęśliwy; że gdyby sentymenty panny Troy nie pozwalały jej go przyjąć, potrzebowałby całych pokładów pocieszenia. Dlatego nieco ustąpił.

- Sądzę, że mogę ją podpytać, ale tylko wtedy, gdy nadarzy się okazja, a panna Troy sama będzie chciała mi się zwierzyć.

- A czy sądzi pani, że w takiej sytuacji mogłaby przemówić za mną słówkiem? Sugestia zaufanej przyjaciółki mogłaby znacznie poprawić me widoki.

Choć pana Hastingsa zdumiewała bezczelność tamtego, odparł spokojnie:

- Nie mogę niczego obiecać, tylko to, że zrobię co w mojej mocy, by zapewnić pannie Troy szczęśliwą przyszłość.

Ku obrzydzeniu pana Hastingsa, pan Lloyd pocałował go w rękę i podziękował mu wylewnie. Następnie wstał i oświadczył:

- Panno DeWitt, poznanie pani było prawdziwą przyjemnością. Pozwolę sobie wkrótce złożyć pani wizytę.

Ukloniwszy się z szacunkiem, zabrał się z powrotem, a pan Hastings nie płakał po jego odejściu.

Też by wyszedł, ale zjawiała się lady Troy i aż klasnęła z radości w dłonie, że zastała go samego.

- Chciałabym z panią zamienić słówko, panno DeWitt - odezwała się konspiracyjnym tonem. - Zechce pani spocząć?

Pan Hastings, któremu nie pozostawiono wyboru, usiadł. A jako że fiszbiny gorsetu zaczynały go uwierać, nie zrobił tego ani ochoczo, ani z zadowoleniem. Miał nadzieję, że gospodyni powie coś, co wynagrodzi mu cierpienia.

- Zapewne zdaje sobie pani sprawę, że nasza Miranda, choć ze wszech miar dobrze ułożona i miła panna, potrafi być wielce trudną, upartą istotą - zaczęła lady Troy pochyliwszy się do niego z macierzyńskim uśmiechem.

Tyle to pan Hastings się domyślał. Nie potrafiłby obdarzyć tak silnymi uczuciami nudnej i pokornej damy.

- Robiłam sobie pewne nadzieje, że wydam ją za pana Charlesa Hastingsa z Londynu, ale to uparte stworzenie nawet nie chce o nim słyszeć.

Wyprostował się.

- Zdaje się, że słyszałam o tym dżentelmenie. Ponoć jest wyjątkowo przystojny i czarujący.

- Tak, tak, właśnie tak uważają wszyscy z wyjątkiem Mirandy, która twierdzi, że jest wyjątkowo obrzydliwy i niezdolny.

- Może pierwsze wrażenie okazało się niezbyt pochlebne - odrzekł zirytowany - ale polubi go przy bliższym poznaniu.

- Niczego bardziej nie pragnę, choć obawiam się, że to niemożliwe. Wbiła sobie do głowy, że go nienawidzi, a gdy już Miranda coś sobie postanowi, staje się niewzruszona jak głaz.

Pan Hastings ściągnął brwi.

- Ale nie wszystko jeszcze stracone. Nawet jeśli ona sama nie zdaje sobie sprawy, co dla niej najlepsze, to my to wiemy. Właśnie my, jej matka oraz najserdeczniejsza przyjaciółka, zatroszczymy się o jej przyszłe szczęście.

- Ostatnio szczęście Mirandy nieustannie gości w mych myślach - odparł - choć trudno mi określić dokładnie, co w tej materii należałoby uczynić.

Lady Troy poklepała go po ręce.

- W takim razie ja pani to powiem. Musi mi pani pomóc ją przekonać, by przyjęła pana Lloyd'a.

- Nie kocha go - oznajmił pan Hastings, poderwawszy się z miejsca.

- Skąd pani o tym wie?

Mógłby potwierdzić swoje oświadczenie, wspominając namiętność pocałunku Mirandy, ale jako panna DeWitt nie mógł tego uczynić. Nawet jako pan Hastings nie zdołałby tego wypowiedzieć na głos. Pozostawało mu jedynie zaszczebiotać głosem Charlotty:

- Nigdy mi o nim nie wspominała.

- To wcale nie musi być zły znak - odparła lady Troy. - Przynajmniej nie darzy go taką niechęcią jak pana Hastingsa. Po ślubie zaś będą mieli mnóstwo czasu na miłość i temu podobne sprawy.

- Uważa pani, że Miranda mogłaby pokochać pana Lloyd'a?

- Kiedy zobaczysz, pani, jak dobrą jest partią, ty też w to uwierzysz.

Następnie przystąpiła do wyliczania mnóstwa zalet tego dżentelmena: stałości charakteru, nieposzlakowanej godności, szlachetnego wyglądu, znacznej zamożności, wysokiej pozycji, starożytnej krwi.

Im więcej pan Hastings słyszał, tym większy ogarniał go niepokój. Żałował, że nie dał panu Lloydowi w głowę, kiedy miał po temu okazję.

- No i, panno DeWitt - zakończyła lady Troy - czy teraz zgodzi mi się pani pomóc?

Podszedł do okna i zapatrzył się na nagie gałęzie drzew w zagajniku jeleni.

Odpowiedź wiele go kosztowała.

- Nie wiem, czy mogę cokolwiek obiecywać, lady Troy. Nie jestem przekonana, czy Miranda zechce wysłuchać mnie lub kogokolwiek innego. Może najlepiej będzie pozostawić jej decyzję.

Lady Troy stanęła tuż za nim i powiedziała cicho:

- Posiadasz, pani, wspaniały dar, panno DeWitt. Widziałam to na Queen Street. Po pani wyjściu pani Hastings całkowicie wróciła do siebie po okresie głębokiego smutku. Nie wiem, co pani jej powiedziałaś, lecz zmianę, jaka się w niej dokonała, można określić mianem cudownej. Błagam, byś zechciała pani i w tej sytuacji wykorzystać swe dary. W końcu sama powiedziałaś, że pragniesz szczęścia Mirandy, a wierzę, że kochasz ją równie gorąco jak ja i jej ojciec. Czyż nie tak?

Westchnął.

- Tak.

- Powiem coś pani, panno DeWitt, jeśli pewnego dnia staniesz się pani szczęśliwą matką córki, dzień i noc będziesz myślała o jej dobru. Nie będzie cię o to prosiła; nawet nie będzie sobie tego życzyć. Jako młoda, pełna ufności istota, będzie pragnęła sama zatroszczyć się o swoje dobro. Ale ty, pani, nie zdołasz się powstrzymać. Będziesz wiedziała, że w odpowiednich warunkach pani córka prawdziwie rozkwitnie. Dlatego też uczynisz wszystko, co w twojej mocy, by zapewnić jej owe warunki. Będziesz pragnęła, by twoja córka poznała, co to znaczy odpowiednie małżeństwo. Będziesz pragnęła, by zaznała rozkoszy macierzyństwa. Będziesz jej życzyła wszystkich radości, których i ty zaznałaś. I serce ci będzie pękać, gdy zobaczysz, jak ona odrzuca te wszystkie błogosławieństwa, by zmieniać ogród czy malować parawany!

Tu głos jej się załamał i umilkła.

Kiedy pan Hastings obrócił się ku niej i zobaczył łzy spływające po pulchnych policzkach, ogarnęło go współczucie. Prośby pana Lloyda nieco go poruszyły, a błagania lady Troy zrobiły na nim prawdziwe wrażenie. Jej słowa pozwoliły mu się domyślić, co może czuć wobec niego jego własna matka. Zamiast potraktować lady Troy jak kolejną zaniepokój ona matkę, polującą na zięcia, dostrzegł w niej kobietę gorąco kochającą swą córkę. To uczucie musiał uszanować, zwłaszcza że oboje kochali tę samą osobę.

- Czy możesz mi pani obiecać, że wstawisz się u niej za panem Lloydem? - spytała lady Troy z taką powagą, że odparł:

- Nie potrafię pani odmówić.

Lady Troy przytuliła go do serca.

- Nie pożałujesz tego! Ich pierwsze dziecko będzie nosiło pani imię!

Zostawiła go, a on uświadomił sobie, że dzięki pani Charlotte DeWitt i jej miękkiemu sercu pan Hastings może stracić ukochaną.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

SZKOŁA GRY

Pan Repton ogłosił, że ogród już nie musi się znajdować z dala od domu. Jest nie tylko możliwe, ale wręcz pożądane posiadanie takowego w pobliżu. Można doń dojść, pisze pan Repton, krętą dróżką, zaczynającą się przy klombie. Papa powiada, że chętnie by widział taki ogród, taką alejkę i taki kwietnik w Opactwie. Pomyślałam też, że można by tam posadzić róże. Zdaje się, że niedawno przybyły do nas z Chin nowe odmiany różowe, karminowe i żółte, które, choć delikatne, będą kwitły całe lato aż do przymrozków. Róże te są nie dość że piękne, ale i pachnące, choć co z tego. Nie potrafię skupić się na nich ani na niczym innym dłużej niż dwie minuty. Myślę wyłącznie o panu Hastingsie, obrzydliwym i nieznośnym.

Mirandę ogarnęła nagła wdzięczność, gdy panna DeWitt przesłała wiadomość, że nie przyłączy się do kolacji, a jako że jest zmęczona po podróży, prosi o posiłek do siebie i zaraz potem pójdzie spać. Równoczesna obecność panów Hastingsa i Lloyda w tym samym pomieszczeniu męczyła ją niewyobrażalnie. Okazało się jednak, że to nie było najgorszą rzeczą, jaka mogła ją spotkać. Najgorsze przyszło później, gdy uciekła od nich i rzuciła się na łóżko, zagubiona, nieszczęśliwa, z całego serca żałując, że coś takiego jak rodzaj męski w ogóle zostało wymyślone - oczywiście z wyjątkiem jej ojca i pana Reptona. Nienawidziła pana Hastingsa za to, że ją pocałował i w ten sposób zburzył jej spokój. Ale nienawidziła go także za to, że przysiągł, iż już więcej tego nie uczyni, w ten sposób jeszcze bardziej burząc jej spokój. Szczytem szaleństwa, nie wspominając już o bezczelności, było zjawienie się w Opactwie Arundel w takim przebraniu i ryzykowanie swego bezpieczeństwa, byle tylko ją zobaczyć. Równocześnie zaś był to najśłodszy, najbardziej pochlebny, najwspanialszy gest, jaki kiedykolwiek wobec niej wykonano. Gdyby pan Hastings nie przestał się zabawiać i nie zaczął brać Everarda na serio, z pewnością by go udusiła. Gdyby lord Everard odważył się choćby dotknąć włosa na głowie pana Hastingsa, z pewnością by go zabiła. Takie oto miały nią uczucia, gdy waliła pięścią w poduszkę.

Wreszcie nieco się uspokoiła. Wiedziała, że to do niej niepodobne, tak sobie zaprzeczać każdym zdaniem. Co się z nią działo? Postanowiła, że nie spocznie, póki nie odkryje powodu tego zagubienia i nie odzyska rozumu. Siedząc na krawędzi łóżka, zaczęła przyglądać się swoim uczuciom. Po dłuższym czasie, który spędziła wspominając najuczciwiej, jak potrafiła, każde spotkanie z panem Hastingsem, doszła do niepokojącego

wniosku, mianowicie, że od kiedy go poznała, dni nabrały barw i smaku. Przypominały żyzną ziemię ogrodu przygotowaną do zasiewu. Choćby złościła się na niego ze wszystkich sił, choćby cały czas poświęcała planowaniu krajobrazu, nic nie poradzi na łączącą ich fascynację. Może z nią walczyć, ale nie może już dłużej udawać, że ona nie istnieje.

Stąd jej ulga na wieść, że panna DeWitt nie zjawi się na kolacji. Siedziała z sir Bascombem i lady Troy przy kolacji, sączyła herbatę, skubała szynkę, chleb i masło, równocześnie zaś lękała się i pragnęła kolejnego spotkania z panem Hastingsem.

Tymczasem zaś jej matka głosiła pochwałę licznych zalet panny Charlotty DeWitt.

- Polubisz ją ogromnie - zapewniała małżonka. - Wyobraź sobie, po jej wyjściu Tabitha wyglądała jak nowo narodzona. Całkowicie odzyskała spokój ducha. Jestem niezwykle za to wdzięczna tej młodej damie. Miranda szczęśliwie wybrała sobie przyjaciółkę.

- Niecierpliwie wyglądam chwili, gdy i ja ją poznam - odrzekł sir Bascomb. - Jako przyjaciółka Mirandy jest mile widziana w Opactwie Arundel.

Czując na sobie czułe spojrzenie rodziców, Miranda zmusiła się do uśmiechu. Ale jej uśmiech szybko zniknął, bowiem sir Bascomb zapowiedział, że jej siostry z dziećmi zamierzają przybyć wcześniej, niż zapowiadały. Prawdę mówiąc, już jutro. W innej sytuacji uradowałaby ją ta wieść, w tym momencie jednak wzbudziła przerażenie. Miranda wiedziała, że siostry bacznie będą oglądać twarz, figurę i ubranie panny DeWitt, nie pominąwszy najmniejszych szczegółów. Przebranie pana Hastingsa nie wytrzyma tak czujnego, kobiecego spojrzenia. Obiecała sobie, że przy najbliższej okazji pójdzie go ostrzec.

Okazja nadarzyła się następnego ranka, kiedy wpadła na pomysł, że mogłaby zastukać do drzwi. Gdyby zastukała do drzwi pana Hastingsa, zrobiono by wokół tego mnóstwo szumu, ale nikt nie zwróci uwagi, gdy odwiedzi w sypialni starą szkolną koleżankę. Ubrawszy się pospiesznie, zapukała i z ustami tuż przy drzwiach wyszeptwała:

- Charlotto, nie śpisz już? To ja, Miranda. Mogę z tobą porozmawiać?

Wkrótce drzwi się uchyliły, choć nie widziała, kto je otworzył. Kiedy je zatrzasnęła, zobaczyła przed sobą pana Hastingsa w ciemnych spodniach i rozchełstanej koszuli. Jeszcze się nie ogolił, wyglądał na zaspanego.

- Przeszkodziłam panu - powiedziała, choć to jej przeszkadzało szaleńcze bicie serca. Na jego widok uświadomiła sobie dziwną bliskość, jaka ich łączyła.

- Nie, nie - odparł, tłumiąc ziewanie. - Dobrze, że pani przysłała. Chciałem z tobą porozmawiać.

Spojrzał na nią boleśnie, potem zapatrzył się na portret dwóch sióstr siedzących z psami myśliwskimi.

Miranda spuściła wzrok. Wysłanie pana Hastingsa z Opactwa Arundel okazuje się trudniejsze, niż przypuszczała. Przypomniała sobie jednak, że musi to zrobić. Dla jego dobra.

- Przyszłam pana ostrzec, panie Hastings. Nie powinien pan dłużej zostać w Opactwie. To niebezpieczne. Musi pan natychmiast wyjechać.

Najwyraźniej nie usłyszał, gdyż stwierdził:

- I pan Lloyd, i pani matka poprosili, bym z panią porozmawiał, i obiecałem, że to zrobię. To znaczy, nie ja obiecałem porozmawiać, lecz panna DeWitt, przez co znalazłem się w bezsensownej sytuacji, bo muszę dotrzymać złożonych przez nią obietnic. Uważam to za punkt honoru.

Podeszła bliżej, żalując, że na nią nie patrzy, że ona nie ma dość odwagi, by dotknąć jego ramienia.

- Pan nie rozumie - odezwała się z powagą. - Dziś przyjeżdżają moje siostry. Wszystkie trzy. Obejrzą pana od stóp do głów i to tak dokładnie, że - obawiam się - zostanie pan zdemaskowany.

Zbyt pochłaniały go własne myśli, by zwracać uwagę na jej słowa.

- Spadł na mnie obowiązek - odezwał się zduszonym głosem - poproszenia, byś zechciała, pani, zastanowić się nad oświadczeniami pana Lloyda.

- Co?

Jej brązowe oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Pan Lloyd chce panią poślubić. Pani matka życzy sobie, byś go przyjęła. Obojgu dałem słowo, że wstawię się za nim u pani.

Jeszcze chwilę temu miała się, że jeśli będzie się za kimś wstawiał, to za sobą. Tymczasem on nalega, by przyjęła pana Lloyda! Przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek.

- Ależ proszę - oświadczyła kąśliwie - niechże się pan wstawia.

- Obawiam się, że nie pójdzie mi to tak dobrze jak Charlocie. Ona zawsze wie, co należy powiedzieć.

- Droga, droga Charlotta.

- Cóż, ujmując rzecz jak najprościej - oznajmił sztywno - Lloyd wygląda na przyzwoitego jegomościa. Bogaty jak się patrzy, dobrej krwi ma aż na zbyciu i do tego - wedle jego słów - gotów okazać się hojny w wydzielaniu pani jej majątku. Dlatego też spodziewam się, że młoda dama postąpiłaby roztropnie przyjmując jego oświadczyzny, o ile, oczywiście, wystarczająco go lubi.

Nadludzkiem wysiłkiem woli udało jej się zachować pozory spokoju.

- Czy to wszystko, co miał mi pan do zakomunikowania?

Nie mieściło jej się w głowie, że mógł ją całować, a potem namawiać do poślubienia innego.

- Tak, z zastrzeżeniem, że może masz pani innego, którego bardziej lubisz; wtedy byłoby najoczywistszą rzeczą pod słońcem, gdybyś odmówiła panu Lloydowi.

Przysunęła twarz tak blisko, że omal się nie stykali nosami.

- Panie Hastings - powiedziała głosem bardzo przypominającym syk - to, że przebrał się pan za kobietę, zrobił z siebie moją najserdeczniejszą przyjaciółkę i podstępnie wkupił się w łaski mej rodziny, nie daje panu prawa wtrącania się w moje sprawy. Kiedy pan przywdział to przebranie, lękałam się, że może panu grozić ogromne niebezpieczeństwo. I moje najgorsze obawy się potwierdziły. Zmienił się pan we wtrącałską pierwszą wody. Radzę panu znaleźć inne, bardziej stosowne miejsce do wściubiania nosa niżli moje sprawy. Życzę panu udanego dnia.

To oznajmiwszy, wyszła, kończąc wypowiedź głośnym zatrzaśnięciem drzwi. Kiedy znalazła się znowu u siebie, powtórzyła każde słowo ich rozmowy. Jak on śmie jej mówić, za kogo ma wyjść za męża! Jak śmie umizgiwać się do niej, a potem wstawiać się za innym mężczyzną, polecając go na męża! Obrzydliwy jegomość, od początku tak uważała. Rozzłościło ją, że płakała nad nim, od czego jej oczy robiły się czerwone i opuchnięte. Niewart był ani jednej łzy.

Zamiast marnować łzy, postanowiła sobie, zapisze w pamiętniku kilka uwag na temat rosarium. Ściągnęła fular, który po dziś dzień obwiązywał jej dzienniczek i cisnęła go w kąt. Otworzywszy na pustej stronie, nałożyła na pióro nową stalówkę i zaczęła z furją pisać. Ale po kilku wymuszonych zdaniach odłożyła pióro. Myślami ciągle błądziła gdzie indziej. Nie chciały słuchać jej rozkazów i trzymać się róż.

Co za wyjątkowo ironiczna sytuacja - pomyślała. Teraz, gdy ona zakochała się w panu Hastingsie, on stracił zainteresowanie dla jej osoby. Chciał ją pchnąć w ramiona pana Lloyd'a i w ten sposób się jej pozbyć. Jeszcze wczoraj, gdy nie zdawała sobie sprawy ze swych uczuć, może zbyłaby jego niestałość wzruszeniem ramion. Teraz jednak już za późno. Jej przypadek był beznadziejny.

Ten stan rozpaczy trwał zaledwie dziesięć minut, Miranda przypomniała sobie bowiem, że całe życie była zmienna, przechodziła od jednej rozrywki do drugiej, jednego wielbiciela do drugiego, jednej namiętności do drugiej, niezdolna niczemu dłużej dochować wierności. Aż do dziś uważała tę cechę za poważną skazę na swym charakterze. Teraz zaś właśnie ona ją ocali. Za tydzień, góra dwa, zapomni o panu Hastingsie. A gdy już to się

stanie, pan Hastings zajmie przynależne mu miejsce obok porzuconej powieści i połowy tuzina niepotrzebnych parawanów.

Pan Hastings był równie niezadowolony z ich rozmowy jak Miranda. Choć spełnił swój obowiązek wobec pana Lloyd'a i spełnił obietnicę daną lady Troy, nie mógł sobie pogratulować, ponieważ przy okazji dziwnym trafem udało mu się sprowokować ukochaną do gniewu i uciezki. Na domiar złego ani słowem nie wspomniała, że zamierza odmówić panu Lloydowi, choćby nie wiedzieć ile drogich jej osób na nią naciskało, gdyż go nie kocha, nie może go pokochać, bo kocha innego, niejakiego pana Hastingsa. Czekał, aż to powie, nawet podrzucił jej właściwą kwestię. Bezskutecznie.

A może dlatego nie przyznała się, że woli go od pana Lloyd'a, bo po prostu wolała tamtego. Może uznała, że jest równie natrętny jak pan Lloyd. Musiał przyznać, że po niedawnych ingerencjach w jej sprawy rzeczywiście okazał się równie natrętny jak jego konkurent, jeśli nie gorszy. Może pod pewnym względem przypominał pana Lloyd'a - podobnie jak on myślał wyłącznie o swoich troskach, nie zwracając uwagi na kłopoty innych. Ileż zainteresowania wykazał chociażby jej studiami nad planowaniem krajobrazu? Dowiedział się o tym z jej pamiętnika, ale zupełnie przypadkowo. Rozmowy obracały się wokół niego: jego rany, grożące mu niebezpieczeństwa, kłopotów z Everardem, jego przebrania, zakładania się o wszystko, pragnienia, by mimo ryzyka się z nią spotkać. Grożące mu niebezpieczeństwo zlekceważył, czy jednak zastanowił się, co może stać się z Mirandą?

Pocierając szorstki zarost na brodzie, wyrzucał sobie, że sprawy przyjęły taki obrót. Powinien był okazać zainteresowanie rzeczami, które ją ciekawią, bo i jego ciekawiły. Pragnął wiedzieć o niej wszystko. Mało rzeczy sprawiłoby mu większą rozkosz niż stawianie jej pytania i słuchanie, jak odpowiada swoim melodyjnym głosem. Chciał, by to właśnie z nim dzieliła się wszystkim, co ma do powiedzenia. A mimo to okazywał jej tyle samo uwagi, co pan Lloyd Charlotte DeWitt.

Założył się ze sobą. Nim ten tydzień dobiegnie końca, panna Troy będzie mu szczegółowo opowiadać o planowaniu krajobrazu. Jeśli wygra, w nagrodę będzie mógł wyznać jej wprost, że ją kocha. A jeśli przegra, będzie wiedział, że jest głupcem, i ustąpi placu panu Lloydowi. Stawki dokładnie takie, jak lubił: na tyle wysokie, by za wszelką cenę dążyć do wygranej.

Tego wieczoru, mimo heroicznego wysiłków zmierzających do okazania zainteresowania wszystkim, co ciekawi Mirandę, pan Hastings znalazł się w centrum uwagi. Od kiedy pojawiły się trzy siostry z siódmką dzieci w wieku od sześciu do szesnastu lat, nikt

nie odrywał od niego wzroku. I we wszystkich, oprócz Mirandy, oczach malowała się aprobata. Siedzenie w cedrowej bawialni i udawanie, że nie zauważa, jak wszyscy bacznym spojrzeniem mierzą go od stóp od głów, wymagało od pana Hastingsa nadludzkiej cierpliwości. Złapał się na tym, że zastanawia się, czy jego suknia, figura, cera, postawa, uczesanie oraz czepek znajdą uznanie w oczach wymagających, modnych dam i przez moment rzeczywiście stało się to dla niego kwestią ogromnej wagi. W męskim wcieleniu nie go nie obchodziło, co inni sądzą o jego stroju czy manierach. W tym wcieleniu oceniał, że ani jedna rzecz w nim nie zasługuje na pochwałę.

Przy kolacji Susanna z chichotem zauważyła, że liczne guziki na jego rękawie nie są zapięte.

- Doprawdy, musi pani zwrócić pokojówce uwagę, panno DeWitt - poradziła. - Wystarczy spuścić z nich oko, a te stworzenia robią się leniwe.

Pan Hastings zaniedbałby okazania wdzięczności za tę cenną radę. Na szczęście panna DeWitt umiała się zachować i skromnie podziękowała Susannie za jej troskę.

Maria była równie troskliwa jak jej siostra, dostrzegając kolejne niedostatki w wyglądzie panny DeWitt. Po kolacji, gdy panie przeszły do salonu, usiadła przy panu Hastingsie i szepnęła:

- Za wiele pani przebywała na słońcu, panno DeWitt. Zauważyłam zmarszczki i ogorzałość pani cery. Z nastaniem wiosny każę pokojówce przygotować dla pani moją ulubioną miksturę z ogórka i wody różanej. Ogórek koniecznie musi być świeży. Co rano i co wieczór będzie go pani nakładać na twarz na godzinę, a sama się pani zdziwi, jakie zbawienne przyniesie to skutki.

Choć pan Hastings nie kryłby ziewania i odszedł w połowie słowa, panna DeWitt uśmiechnęła się, zapewniając, że już nie może się doczekać, by wypróbować tego sposobu.

Charlotta okazała tę samą cierpliwość Annie, która - gdy już sir Bascomb przyłączył się do pań - nalewała kawy z dzbanka, mówiąc do wszystkich zgromadzonych:

- Musimy znaleźć pannie DeWitt męża. Żadna kobieta nie powinna zostać pozbawiona dozgonnego towarzysza. To obraza dla matki natury, by kobieta cieszyła się towarzystwem tylko swoim i innych pań. Oby udało nam się zrobić to samo dla Mirandy.

Podczas gdy pan Hastings szukałby sposobu wyrwania się z tego kręgu zainteresowania, panna DeWitt skromnie spuściła oczęta i wybąkała podziękowania.

Wreszcie stracił cierpliwość, gdy siostry przeniosły ciekawość z braków panny DeWitt na niedostatki Mirandy. Podczas gdy ta spokojnie siedziała na sofie haftując, one naśmiewały się z jej zainteresowania sztuką ogrodową, oświadczyły, że pan Repton ma

przestarzałe pomysły, i dopytywały się, czy jej nie szkoda, że nie dochowała się własnego potomstwa. A jako że ich latorośle właśnie oddawały się hałaśliwej zabawie w chowanego, pan Hastings pomyślał, że Miranda powinna ogłosić wszem wobec, iż zamierza po kres swoich dni żyć w celibacie, lecz ona - podobnie jak by to zrobiła panna DeWitt - odpowiedziała ze zdumiewającą cierpliwością, uśmiechając się, gdy jedna z najmłodszych pociech wspinała się jej na kolana:

- Bardzo lubię dzieci.

- Cóż, mogłabyś je mieć, gdybyś nie zadzierała nosa na pana Hastingsa - odparła Anna. - Och, mama powiedziała nam o wszystkim.

Miranda zarumieniła się, szybko zerknęła na pana Hastingsa, potem odwróciła wzrok. Widział, że sprawiły jej zbyt wielki ból, by zdobyła się na odpowiedź.

- Mam nadzieję, że wobec pana Lloyda nie okażesz się równie wybredna - dodała Maria. - Wielce prawdopodobne, że to twoja ostatnia szansa.

Tego już było panu Hastingsowi za wiele. Podeszedł do Mirandy i pochylił się nad nią, szepcząc jej do ucha:

- Teraz już przekroczyły wszelkie granice. Nie zostaniemy tu chwili dłużej.

Popatrzyła na niego z przerażeniem i już chciała kazać mu się uciszyć, ale on się wyprostował, odzywając się tak donośnie, że zagłuszył harmider dzieci i zwrócił uwagę wszystkich obecnych.

- Razem z Mirandą - oświadczył - zajmiemy się dziećmi w pokoju do nauki.

Ton jego był tak rozkazujący, że nikt się nie sprzeciwił. Groźnymi spojrzeniami i szeptanymi groźbami namówił dzieci, by ustawiły się za nim w rzędzie. Następnie wbiwszy wzrok w Mirandę, zapytał słodko:

- Droga Mirando, czy będziesz tak dobra i pokażesz nam, gdzie się mieści pokój szkolny?

Miranda zerknęła na niego, na siostry, potem znowu na pana Hastingsa. Po czym bez słowa powiodła ich na górę.

Choć w pokoju szkolnym było zimno - nie spodziewano się tu gości i nie rozpalono w kominku - wkrótce zrobiło się ciepło, gdy siedem energicznych ciał natychmiast po przekroczeniu progu zaczęło szaleć. Czterej chłopcy boksowali się, dopingowani przez trzy dziewczynki. Pan Hastings rozdzielił walczących i oświadczył:

- Zdaje się, że dostrzegam w rogu kardynały. Ci, którzy będą grali cicho, dostaną ode mnie po pół korony, a potem zabiorę ich do Togbury, by mogli je tam wydać. Tych, którzy

nie będą grać cicho, potknę na kawałeczki, ugotuję w sosie z węża i nakarmię nimi kurczaki.

Ostatnia groźba zabrzmiała na tyle przerażająco, by w oczach dzieci pojawił się blask zainteresowania. Uśmiechnęły się szeroko, z wyjątkiem najmłodszego chłopca, który zapytał:

- Kim pani jest?

- Jestem Babą Jagą i osobiście cię zjem, jeśli nie będziesz robić, co ci każę.

Chłopiec z chichotem przytulił się do kolan cioci Mirandy. Pozostałe dzieci wybuchnęły śmiechem, licząc, że wspaniała panna DeWitt okaże się na tyle interesująca, że rzeczywiście będzie miała chrapkę na ich kuzynka. Zerkając na niego, wycofali się do kąta i grali, choć niezbyt cicho.

Pan Hastings odetchnął z ulgą i spojrzał na Mirandę. Zaskoczyło go, że się uśmiecha.

- Okropne z pana stworzenie - zwróciła się do niego.

- Na pani szczęście.

Spoważniała, jakby właśnie sobie przypomniała, że się na niego gniewa.

- No i co teraz robimy? - spytała chłodno.

Pociągnął ją w stronę dwóch dzieciennych krzeseł, na których usiedli.

- Będzie pani tak dobra, by opowiedzieć mi coś o planowaniu krajobrazu.

Zaskoczona przyjrzała mu się uważnie.

- Przedziwna z pana istota.

- Skądże. Przyszło mi na myśl, że nie miałem okazji pani przesłuchać w tej materii. A wielce mnie ona ciekawi.

- Czemu?

- Bo ciekawi panią.

Zmarszczyła brwi.

- Nie pojmuję.

Zerwał się, wznosząc ręce ku niebu.

- Dlaczegoż tak trudno pani uwierzyć, że jestem całkowicie szczerzy?

- Czy pan czegoś ode mnie chce, panie Hastings? Czy potrzebna panu kolejna przysługa? Może Everard panu groził?

- Nie! Niechże to licho porwie, chcę po prostu, żeby mi pani powiedziała, co mam zrobić z Sadami Clarendon.

- Co to są Sady Clarendon? Nigdy o nich nie słyszałam.

- To mój majątek w Dorset. Nie byłem w nim od lat, ale o ile sobie przypominam, ostatnim razem wyglądał doskonale. Obawiam się, że właściciel go nieco zaniedbał.

Miranda zachowała zimną i podejrzliwą minę.

- Może pan nająć znawcę tematu - stwierdziła.

- Może i tak zrobię, ale jak z takim postępować? Czy mam mu dać wolną rękę? Czy nie wolno mi mieć własnych koncepcji?

- Oczywiście, że wolno panu mieć własne koncepcje. On będzie musiał się dostosować do pańskich gustów.

- Liczyłem na to. Niestety, jestem pozbawiony smaku. Nie mam bladego pojęcia, co lubię. Przypuszczam, że ty, pani, wiesz, co lubisz. Przypuszczam, że gdybyś zobaczyła przed sobą ogromną połąć ziemi porośniętą chwastami i ostem, dokładnie wiedziałabyś, co z tym począć, lecz ja nie.

Widział, jak Miranda wyobraża sobie to puste pole. Z większym entuzjazmem niż poprzednio odparła:

- Mógłby pan z tym zrobić całe mnóstwo rzeczy.

Usiadłszy z powrotem, przysunął do niej krzesło.

- Powinien pan zacząć od odnalezienia *genius loci*, jak to określa pan Pope. Niech się pan siebie spyta, co naprawdę pasuje do tego miejsca, a gdy już pan będzie wiedział, trzeba myśleć nie tylko o pięknie, ale i wygodzie.

Chwilę nad tym dumał, w końcu odparł:

- Może przydałby się wodospad. Chyba podobałby mi się szmer wody.

- To prawda, szmer wody jest ogromnie przyjemny, lecz wodospad wymagałby stworzenia na płaskiej przestrzeni stoków i nierówności. Lepiej dostosować się do natury niżli ją naginać do swoich potrzeb czy niszczyć. Niech pan wykorzysta to, co już tam stworzyła.

- Moim zdaniem stworzyła niewiele. Co można zrobić z nieciekawą, monotonną równiną?

- Cóż, na przykład mógłby pan tam założyć ogród z fontannami we włoskim stylu.

Nie odrywał wzroku od jej ożywionej twarzy. Uśmiechnął się, pełen podziwu nie tylko dla jej smaku, ale i zdrowego rozsądku.

- Najęty przez pana znawca planowania krajobrazu mógłby na środku stworzyć prostokąt lub inny kształt odpowiedni do pańskiego terenu. Mogłyby go otaczać krzewy i drzewa, dzięki którym zakątek nabrałby zaciszności. Na środku można by wybudować marmurową lub bardziej surową, kamienną fontannę z rzeźbami ryb i żab, z których w różnych odstępach czasu wytryskiwałaby woda, kropelkami spadając do sadzawki. Poziom wody mógłby się stopniowo podnosić, zatrzymywać i znowu podnosić. A wokół fontanny można by zbudować więcej małych kwadratowych bądź okrągłych sadzawek, każdą ze swoją fontanną. Unoszenie i opadanie wody można by zsynchronizować, osiągając w ten sposób

efekt tańca wody, zbliżonego do baletu.

Pomysł nadzwyczajnie się panu Hastingsowi spodobał, zwłaszcza gdyby Miranda zgodziła się spacerować z nim po tym ogrodzie pod ramię. Uśmiechała się teraz do niego, całkowicie pochłonięta tym pomysłem.

- Pan Lloyd ma podobny ogród - mówiła z zapalem - gdyby miał pan ochotę go obejrzeć. Oczywiście zimą nie będzie pan mógł zobaczyć działających fontann, ale z grubsza stworzy pan sobie pojęcie, co można by zdziałać w Sadach Clarendon.

Zerknął na punkt na drugiej ścianie, który wyraźnie go obraził.

- Domyślam się, że nadzwyczaj pani przypadły do gustu fontanny pana Lloyda.

- Nie pańska sprawa - odrzekła z płonącymi policzkami - czy mi się podoba ogród pana Lloyda, zresztą dość zaniedbany i mały. Będę podziwiała, co zechcę, a nie to, co ponoć ma być szczytem piękna i malowniczości!

Nie wiedząc, jak rozumieć ten wybuch, a jedynie zdając sobie sprawę, że ponownie ją rozgniewał, pan Hastings spytał:

- Pomoże mi pani stworzyć fontanny w Sadach Clarendon?

Nagle uświadomiła sobie, jak blisko siedzą, i odsunęła się.

- Sądzę, że najlepiej pan zrobi, najmując kogoś, kto się na tym zna.

- Będzie mi pani potrzebna, by mu przedstawić projekt.

- Planowanie krajobrazu - odparła, potrząsając głową - to jedynie moja chwilowa pasja. Przypuszczam, że gdy pan się zdecyduje na przeróbki, mnie już dawno przestanie to interesować.

- A może nie. Może gdyby panią zachęcono do dalszych studiów, robiłaby to pani. Może gdyby pani rodzina nie lekceważyła pani zainteresowania tą materią, zmuszając do myślenia wyłącznie o małżeństwie, nie porzuciłaby pani swej pasji.

Uznał, że trafił w samo sedno, bo na jej twarzy pojawiło się głębokie poruszenie. Wstała, podeszła do rogu, w którym grały dzieci, powiedziała do nich cicho parę słów, a potem zapatrzyła się w ścianę. Choć pan Hastings nie należał do cierpliwych, czekał wytrwale, aż Miranda się odezwie. Kiedy jednak uparcie milczała, zbliżył się, wiedząc już z całą pewnością, że sprawił jej ból.

- Czy mógłbym - spytał delikatnie - mieć gdzieś na terenie majątku wodospad?

Stanęła twarzą do niego. Popatrzyła na niego ostro.

- Jestem pewna, że może pan mieć, co tylko zechce. Zawsze pan dostaje to, czego zapragnie.

- Z tego, co pani mówiła, wynika, że teren musiałby być pofałdowany. I wodospad

musi się wpasować w krajobraz, tak jakby sama natura tam go umieściła. Wydaje mi się, że mógłby wyglądać doskonale przy ogrodzie z fontannami.

Słyszając to absurdalne stwierdzenie roześmiała się wbrew sobie.

- Obawiam się, że te dwie rzeczy do siebie nie pasują. Ogród z fontannami jest utrzymany w eleganckim, formalnym stylu. Wodospad powinien się znajdować w dzikim otoczeniu, wyglądającym, jakby go nie tknęła ręka człowieka.

Stanął tuż przy niej.

- A wie pani, że mnie już taki jegomość, że w jednej chwili mogę być formalny i elegancki, a już za chwilę dziki i naturalny. Czemu nie mogę mieć obu tych stylów?

Nie wiedział, co dostrzegła w jego oczach, ale to coś sprawiło, że przelknęła ślinę.

- Sprawdź, co pan Repton ma do powiedzenia na ten temat - odpowiedziała bez tchu.

- Czyli będziemy jeszcze rozmawiać?

W tym momencie zjawił się służący, by oznajmić, że matki życzą sobie, by dzieci położono już spać. Z ich kąta rozległy się jęki i protesty, lecz panna DeWitt pocieszyła latorośle, że zasłużyły na nagrodę i jutro mogą się spodziewać spaceru do miasteczka. Ciągnąc za sobą ciocię Mirandę, pociechy opuściły pokój, zostawiając pana Hastingsa samego.

Ciekawa, jak pan Hastings poradzi sobie z gromadką hałaśliwych dzieci, towarzyszyła im do Togbury. Dzień był lodowaty i choć Miranda niosła najmniejszego chłopca, Clive'a, a pan Hastings niósł na zmianę kolejne maluchy, narzekały, póki panna DeWitt nie odwróciła ich uwagi opowieścią o niegrzecznych dzieciach, schwytanych przez olbrzyma, któremu z oczu i nosa ciekła flegma, który zamknął je w klatce bez żadnego ubrania, a karmił wyłącznie owsianką i ślimakami. Słuchacze domagali się bliższego opisu ohydy potwora i pan Hastings aż do miasteczka musiał zaspokajać ich żądze krwi.

Gdy już dotarli do Togbury, pan Hastings wydzielił piątce starszych dzieci po pół korony i puścił wolno, by mogły wydać pieniądze, jak im się żywnie spodoba. Mieli się spotkać za godzinę przed sklepem bieliźniarskim. Ci, którzy nie stawiają się na czas, zostaną wydani na pastwę mrozu i śniegu, a ich sztywne i sine trupki będą odnalezione dopiero wiosną.

- Ich matkom nie podobałoby się takie puszczenie samopas - ostrzegła Miranda.

- Doskonale - odparł. - Dzieci zawsze najlepiej się bawią, wiedząc, że robią to, z czego ich matki byłyby niekontente.

Patrzyła, jak dzieci rozbiegają się na wszystkie strony. Rozsadzało je poczucie

swobody i bogactwo. Kiedy pan Hastings poprosił, by z dwójką maluchów poszła z nim do piekarza, nie odmówiła. Zauważyła jego pełne satysfakcji zerknięcie.

- Zdaje się, że znowu jestem u pani w łaskach - odezwał się, kiedy ruszyli.

- Zawsze lubiłam pannę Charlottę DeWitt - odrzekła z uśmiechem. - Jeśli zaś chodzi o pana Charlesa Hastingsa, muszę się powstrzymać od wyrażania opinii.

- Szkoda, bowiem on wielce panią lubi.

Ta bezpośredniość sprawiła, że serce na chwilę przestało jej bić. Zdała sobie sprawę, że gorąco pragnie mu uwierzyć.

U piekarza włożył w małe łapki dzieci po pół korony, by mogły sobie kupić wszelkie możliwe ciastka. Pozwolił im od razu zjeść łakocie, tak że napchały buzie do granic wytrzymałości i wysmarowały je sobie cukrem i dżemem.

Stamtąd udali się do cukiernika, gdzie kupił dość pańskiej skórki, by zaskarbić sobie dozgonną miłość całej gromadki.

Miranda powstrzymała się od skrytykowania go, jakby to uczyniły jej siostry, ponieważ jego beztrioskie rozpuszczanie przyniosło dobre rezultaty. Starsze dzieci ze swymi zakupami stawily się na czas przed sklepem, chwając się, że zaoszczędziły trochę pieniędzy na następną wyprawę. Młodsze słuchały każdego jego słowa, jakby się bały, że je zje; co wcale nie przeszkadzało im tulić się do niego, ilekroć brał któreś na ręce. Miranda z rozczuleniem przyglądała się, jak doskonale się z nimi porozumiewa. A równocześnie ją to drażniło. Im więcej widziała, tym bardziej go lubiła. Jeśli tak dalej pójdzie, to wiele czasu upłynie, nim zajmie przynależne mu miejsce wśród innych porzuconych rozrywek.

Po powrocie do domu dzieci nakarmiono i kazano się położyć, lecz one tak głośno domagały się, by je puszczono do pokoju szkolnego z panną DeWitt, że matki ustąpiły.

- Jakież to czar rzuciła na nie panna DeWitt? - pytała zirytowana Susanna.

- Och, to istna czarodziejka - odparła lady Troy, a następnie ze szczegółami opisała cudowną odmianę nastroju pani Hastings po wizycie tej młodej damy.

Posłano wiadomość do panny DeWitt, że jest ogromnie proszona do pokoju szkolnego. Panna DeWitt odparła, że chętnie na to przystanie, pod warunkiem, że Miranda zgodzi się jej towarzyszyć. Mając do wyboru wieczór w towarzystwie krytykujących wszystko sióstr lub dwie godziny z panem Hastingsem oraz siostrzeńcami i siostrzenicami, Miranda bez trudu podjęła decyzję.

Wszedłszy do pokoju zastała wszystkich przy długim stole. Widziała, że na nią czekają. Pan Hastings wstał i z honorami poprowadził ją na zaszczytne miejsce. Dzieci zaś przyglądały się temu szeroko otwartymi oczami.

- Cóżżeś pan tym razem uknuł? - szepnęła do niego.

- Sama zobaczysz - odparł, uroczyście ją sadzając.

- Będziemy grać w pikietę - oświadczył mały Clive.

Poderwała się przerażona.

- To niemożliwe - zaprotestowała. - Dzieci są za małe na taką grę. Ich matki za nic się nie zgodzą na podobną nieobyčajność. Będą nas winić i pozbawią swego towarzystwa za zakładanie szkoły gry. A nawet gdyby nie miały nic przeciwko temu, ja z pewnością nie zdołam się nauczyć tej gry. To prawda, że przegrałam zakład i mam się nauczyć pikiety, ale z takim trudem udało mi się pojąć kasyno. Przecież nie możesz pan oczekiwać, że będę robić tak szybkie postępy. Dzieci same mogą ci powiedzieć: nie mam talentu do gier karcianych. Wystawię się na pośmiewisko i popsuję wam zabawę. Och, panie Hastings, to jest, droga Charlottto, na pewno sobie żartujesz. Chyba nie zamierzasz naprawdę nauczyć mnie grać w pikietę.

Odczekawszy, aż Miranda skończy tę tyradę, pan Hastings uśmiechnął się do niej czule i spytał:

- A może masz ochotę się założyć o jakiś drobiażdżek?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

GORĄCZKA

Szósta reguła Hastingsa: Największym grzechem przy grze jest nie grać wysoko, póki passa sprzyja. Karciarz zawsze musi dawać się ponieść fali, wycisnąć z losu ostatnią drobinę łutu szczęścia. Ten, kto się nie zakłada, może i zachowa sakiewkę, lecz jakże zdoła, co rano spoglądając na siebie w lustro, nazwać się mężczyzną?

Młodsze dzieci pozasypiały z głowami na stole, nim Miranda mogła z przekonaniem stwierdzić, że zgłębiła podstawy i reguły licytacji. Pan Hastings był tak zadowolony z jej postępów, że nauczył ją, jak zdobywać punkty za *carte blanche*, sekwens oraz komplet - która to lekcja zmorzyła także starsze dzieci.

Kiedy przyszedł służący, by zabrać je do łóżek, tarły oczy, ziewały i skarżyły się, że ciocia Miranda je wyprzedziła. Ten stan rzeczy był nie do przyjęcia, jako że do tej pory zawsze ona nie pojmowała najprostszych reguł gry i dostawała od nich w skórę. Panna DeWitt musiała obiecać, że następnego dnia powtórzy lekcję.

- A jeśli będziecie bardzo uważać - ogłosił pan Hastings - nauczymy się rozgrywać i zbierać lewy.

Słyszając to, Miranda wykrzyknęła:

- Czyżby to, czego dziś się nauczyłam, było jedynie początkiem gry?

- Och, to zaledwie podstawy podstaw - zapewnił ją pogodnie.

Dzieci nagrodziły go oklaskami i w radosnym nastroju ruszyły za służącym.

Miranda usiadła, wzdychając boleśnie.

- Nigdy się tego nie nauczę.

Usiadł przy niej.

- Widzę, że przytajasz swoje walory.

Popatrzyła na niego ze znużeniem.

- „Przytając” to znaczy nie zalicytować sekwensu, który zdaniem licytującego może nie wygrać. Najwyraźniej uważasz się pani za taki sekwens.

Podniosła rękę, by uciąć wszelkie rozmowy o kartach. Pan Hastings chwycił jej dłoń; ten impulsywny gest natychmiast ją przebudził.

- Przytajanie może się czasem przydać - ciągnął z uśmiechem. - Choć z drugiej strony należy pamiętać, że potem nie wolno już zgłosić tego sekwensu, nawet jeśli się wygra. Co

oznacza, że czasami lepiej iść naprzód, nawet gdy nie jest się pewnym wyniku.

Nie odrywała wzroku od ich splecionych dłoni.

Poszedł za jej spojrzeniem, potem przyciągnął ją bliżej. Mirandę nagle ogarnęło wrażenie, że zaraz ją pocałuje, lecz on wstał i zapytał:

- Czy już podjęłaś, pani, decyzję, co zrobić z panem Lloydem?

To niespodziewane pytanie szybko przywróciło ją do rzeczywistości. Przypomniała sobie, że nikt, dosłownie nikt nie podziela jej zdecydowanej niechęci do poślubienia pana Lloyd'a. Nawet mężczyzna, za którego pragnęłaby wyjść, naciska, by przyjęła oświadczyzny tamtego. Cóż za gorycz. W porównaniu z tym gra w pikietę była przyjemna jak spacer po ogrodzie.

Wzmianka o panu Lloydzie nie rozgniewała jej tak jak wcześniej. Ale i tak zabolęła. Mrugając oczami, by powstrzymać łzy, pożegnała się z panem Hastingsem i wyszła.

Kiedy zniknęła, pan Hastings uniósł spódnicę, odsłaniając stopę w zgrabnym pantofelku i kopniakiem zatrzaskał drzwi.

Kolejne dni upływały na pędzeniu dzieci do miasteczka i uczeniu ich gry w karty. Pocięchy uważały, że pikiet jest cudowna, a panna DeWitt, która uczyła ich, jak można przy niej oszukiwać, „niezrównana”. Musiały przyznać, że ciocia Miranda posiadała niejaki umiejętności, lecz brakowało jej koniecznej zaciętości. Pan Hastings też zauważał, że gdyby grała bardziej ofensywnie, częściej by wygrywała i może zaczęłoby to jej wręcz sprawiać przyjemność. W takich chwilach Miranda patrzyła na nich nieprzytomnie i oświadczała, że lepiej, jeśli zostawi ich grze i poszuka sobie jakiejś innej rozrywki. Na to rozlegał się krzyk protestu. Dzieci za bardzo lubiły towarzystwo ciotki, by pozwolić jej odejść i tym samym zrobić przyjemność sobie, nie im.

Panna DeWitt z równą niechęcią myślała o rozstaniu z przyjaciółką z ławy szkolnej, a niechęć ta była tak silna, że następnego dnia przyniosła szkiecownik oraz ołówki i poprosiła Mirandę, by wszystkich ich nauczyła czegoś o planowaniu krajobrazu.

- Nie możemy ciągle grać w pikietę - oświadczył pan Hastings głosem Charlotty - bo nam się znudzi. A jak powiedział doktor Johnson, „kiedy znuży cię pikietę, to znaczy, żeś znużył się życiem”.

Miranda parsknęła śmiechem.

- Doktor Johnson powiedział: „kiedy znuży cię Londyn, to znaczy, żeś znużył się życiem”, jak ci doskonale wiadomo, droga Charlottko. Poza tym obawiam się, że dzieci uznają sztukę ogrodową za nadzwyczaj nudną.

- Znowu przytajasz - upomniał pan Hastings, grożąc palcem.

- Och, nie rób tego, ciociu - błagał mały Clive. - Nie wolno tracić nadziei.

Wiedząc, że nie ma co się spierać i że jeśli ich zostawi, będzie skazana na towarzystwo sióstr, Miranda zgodziła się powiedzieć im to i owo o planowaniu krajobrazu.

- Jeszcze nie tak dawno - zaczęła - ogrodzenia robiono zwykle z cegły lub kamienia, tak że stanowiły wyraźną granicę „przed” i „za”. Na szczęście żyjemy w czasach, gdy ogrodzenia przestały tak dzielić. Można je malować na zielono albo brązowo, tak wtapiać w tło, że stają się niewidoczne. Można je zrobić z wikliny, łańcuchów, kutego metalu i do tego niewysokie, by dawało się przez nie zajrzeć. Mogą również być rzeźbione lub wymodelowane w przeróżne kształty, tak że stają się równie miłe dla oka jak otaczająca je zielen.

- A czy można je przeskoczyć? - zapytał Clive.

- Oczywiście - odparła i zachęciła, by narysowali ogrodzenia, nie szczędząc zakrętasów, koronek, splotów.

Wkrótce wszystkich pochłoneła praca nad projektami, także i pana Hastingsa, a gdy skończyli, z dumą pokazywali swe dzieła. Następnego dnia dzieci poprosiły, by pozwolono im zaprojektować bramy do ich ogrodzeń.

Tak oto dni wypełniały lekcje planowania krajobrazu i gry w pikietę oraz wycieczki do Togbury, dzięki czemu czas płynął szybko - jak to zwykle bywa, gdy go się mile spędza. Niestety, dla pana Hastingsa dni nie były tak przyjemne jak dla reszty. Musiał prowadzić korespondencję z Feliksem, który nie miał dlań dobrych wieści. Choć znajomemu stróżowi prawa udało się przekupić ludzi Everarda, tak że przenieśli afekt na pana Hastingsa, sam Everard stawał się coraz większym zagrożeniem. Jego niechęć nabrała rozmiarów obsesji i wszędzie, gdzie tylko się pojawił, sugerował, że wymyślił plan, dzięki któremu krwawo zemści się na Hastingsie.

Najnowszy list od Feliksa zawierał nieprzyjemną wiadomość, że Everard dotarł do Lyme Regis. Pana Hastingsa zidentyfikowano jako gościa dwóch pobliskich gospod. Starsze panie, które wynajęły od niego mieszkanie, dostarczyły na tyle dokładnego opisu, by Everard wywęszył trop.

„Lepiej zabieraj się z Opactwa Arundel tak szybko, jak pannę Charlottę DeWitt nogi poniosą”, radził w liście Feliks.

Pan Hastings przeczytał to ostrzeżenie w czasie, gdy rodzina spożywała śniadanie w pokoju jadalnym. W zadumie złożył list i postukał nim w policzek.

- Jakiegoż oddanego ma pani kuzyna, panno DeWitt - zachwyciła się lady Troy. - Jakież wdzięczny z niego korespondent. Daję słowo, nie znam dzentelmena otaczającego swą

kuzynkę tak żarliwą troską jak pan DeWitt.

Głośno pan Hastings przyznał, że lady Troy ma świętą rację; w duchu zaś żałował, że Feliks nie otoczy tą żarliwą troską kogoś innego. Bynajmniej nie zamierzał uciekać z Opactwa Arundel. Zdobywca nie cofa się tuż przed samym szczytem. Generał nie zawraca armii, gdy zwycięstwo jest o krok. Gracz nie wstaje od stołu, skoro lada chwila zamierza przebić atutem asa przeciwnika. Dlatego on też nie opuści Opactwa Arundel w chwili, gdy nabierał pewności, że Miranda może go pokochać.

Najlepiej nic nie wspominać o ostrzeżeniach Feliksa. Nie zdołałby spojrzeć jej w oczy i wyjaśnić powodów, dla których nie wyjeżdża, choć w ten sposób ryzykuje życie.

Nadeszły święta, a więc dzieci, podobnie jak służba, musiały przywdziać najlepsze ubrania, udać się do salonu i w uroczystym milczeniu przyglądać się, jak zapalano niebieskie, zielone, żółte i czerwone świece. Odczytano stosowne fragmenty z Biblii, zachwycono się przystrojeniem pomieszczenia, rozdano prezenty. Pannę DeWitt z uśmiechem skarcono, że dała dzieciom za wiele słodyczy.

Po popołudniowej uczcie, w czasie której spożyto niezliczone ilości gęsi i gwiazdkowego puddingu, cztery siostry ofiarowały rodzicom, panie DeWitt oraz sobie nawzajem drobne upominki: książki, puzderka na ozdóbki, zgrabne buteleczki z pachnącymi wodami, słodycze, rękawiczki. Wśród nich znalazło się jedno pudełko z imieniem Mirandy, którego ofiarodawca pozostał nieznany. Wszyscy zgromadzili się wokół dziewczyny, by zobaczyć, co kryje w sobie mała, prostokątna szkatułka.

Bardziej zaniepokojona niż podniecona Miranda zaczęła rozwiązywać wstążkę. Nie potrafiła się oprzeć dziwnemu uczuciu, że dar pochodzi od pana Hastingsa. Uniósłszy pokrywkę, odsłoniła naszyjnik z brylantów i szmaragdów. Głośne westchnienia, jakie wyrwały się z ust rodziny, dodatkowo pogłębiły jej zażenowanie. Rozpoczęły się spekulacje na temat imienia autora prezentu, zwłaszcza że wszyscy uroczyście wyparli się, jakoby zasługa czy też wina za ten cudowny podarek spadała na kogokolwiek z nich. Każda siostra po kolei przymierzyła naszyjnik, głośno zachwycając się jego pięknem. Sir Bascomb wycenił błyskotkę na ponad tysiąc funtów. Lady Troy oświadczyła, że nigdy nie widziała nic równie wspaniałego, może z wyjątkiem brylantowo - szmaragdowej koliai, którą jej droga przyjaciółka Tabitha miała na sobie w czasie swego pierwszego balu.

- Och, ale i tak nie ma porównania - stwierdziła lady Troy. - Ta jest o niebo piękniejsza.

Panna DeWitt skromnie wtrąciła, że Mirandzie naszyjnik bardzo pasuje, i wyraziła

nadzieję, że przyjaciółka zawsze będzie go lubiła.

Miranda z prawdziwym lękiem dotykała kamieni.

Sądzone, że sekret tajemniczego ofiarodawcy wyjaśni się jeszcze tego wieczora, gdy pan Lloyd przybył do sąsiadów ze świąteczną wizytą.

- Proszę, proszę, panie milczku! - zaatakowała Susanna. - Sądziłeś pan, że się nie domyśliliśmy, tymczasem my i tak pana odkryliśmy!

Pan Lloyd zmarszczył brew.

- Doprawdy?

- Niesłychane, robić takie rzeczy! - wyrzucała mu lady Troy. - Gdybym nie znała pana tak dobrze, pogniewałabym się na pana. Zażądam od Mirandy, by natychmiast go panu oddała i solidnie pana złążała.

Próbując coś zrozumieć, wodził po nich wzrokiem.

- Upraszam o wybaczenie, jeśli uczynił coś niestosownego.

- Och, mam - wstawiła się Maria - nie wyrzucaj mu hojności. Powiedz raczej, że masz nadzieję, iż owa szczęśliwa dama nagrodzi go w sposób, który przyczyni się do wielkiej radości nas wszystkich.

Lady Troy pozostała nieugięta i zabrawszy Mirandzie naszyjnik, złożyła go w dłoniach pana Lloyda.

Popatrzył na niego zmieszany, kręcąc głową.

- Mam nadzieję, że nie uważacie panie, iż to ja mógłbym ofiarować panie Troy coś takiego!

- Nie uważamy. Wiemy!

- Nie pojmuję, jak mogliście panie żywić o mnie tak niskie mniemanie. Chyba wiem, co przyzwoitość, i nie odważyłbym się ofiarować damie tak niestosownego upominku. Zwłaszcza damie, którą mam w tak wysokiej estymie jak pannę Troy.

Tu skłonił się Mirandzie i przybrał minę urażonej cnoty.

Lady Troy niechętnie odebrała naszyjnik. Skoro pan Lloyd wypiera się swej hojności, nie może na siłę wciskać mu kolii z powrotem. Jak słusznie zwróciły uwagę córki, nie pozostawało jej nic innego, jak pozwolić Mirandzie zachować dar.

Tymczasem zaś Miranda przyglądała się panu Hastingsowi, który z kolei z pozbawioną wyrazu miną obserwował wydarzenia. Wyglądał tak spokojnie, tak obojętnie, że Miranda przez chwilę lękała się, czy naszyjnik rzeczywiście nie pochodzi od pana Lloyda. Ale jedno spojrzenie uspokoiło ją, że nie. Pan Lloyd nigdy by się na coś takiego nie odważył. Stanowił istne uosobienie tego, co stosowne. Za nic by się nie zdobył na takie ryzyko. Dla

pana Hastingsa zaś ryzyko było żywiołem i przyjemnością.

Maria pogroziła panu Lloydowi paluszkami, jakby karciała chłopca.

- Specjalnie pan tu dziś przyszedł, żeby zobaczyć, jak pięknie wygląda naszyjnik na szyi Mirandy, i żeby usłyszeć podziękowania. Niechże się pan lepiej przyzna.

- To nieprawda, zapewniam - bronił się. - Przyszedłem zaprosić wszystkich na bal w Togbury. Dziedzic Rowdy postanowił, że Nowy Rok uczymy publicznym balem, i poprosił mnie, bym przekazał państwu zaproszenie.

Naszyjnik poszedł w zapomnienie. Bal - nawet jeśli publiczny - stanowił dar dla nich wszystkich, nie tylko dla jednej z nich. Dlatego też wywołał więcej zamieszania niżli stary naszyjnik. Siostry natychmiast przyjęły zaproszenie, mówiąc, że napiszą do mężów z prośbą, by się nań stawili. Sir Bascomb wraz małżonką rozpromienili się na myśl o takiej radości dla ich trzódki. Dawno się nie zdarzyło, by cała rodzina zgromadziła się wokół nich w takiej harmonii i radości.

Pan Lloyd podszedł do Mirandy, która siedziała przy panie DeWitt.

- Czy mogę - zwrócił się do niej - liczyć, że zaszczyci mnie pani pierwszymi dwoma tańcami?

Miranda poczuła na sobie wzrok całej rodziny. W piersi aż ją zakłuło na widok ich pełnych miłości spojrzeń i wyczekujących uśmiechów. Instynktownie zwróciła się do pana Hastingsa. Wpatrywał się w nią ze zwykłym napięciem, lecz ona nie potrafiła odczytać, co ono może oznaczać. A gorąco pragnęłyby wiedzieć.

- Jak sądzisz, Charlotto, co powinnam zrobić?

W jego oczach na chwilę zapłonął ogień. Wydawało się, że powie coś zdumiewającego, lecz zapanował nad sobą i posławszy jej wymuszony uśmiech, odrzekł:

- Musisz spełnić prośbę pana Lloyd'a, droga Mirando, i musisz udać się na bal. Musisz przetańczyć wszystkie tańce co do jednego i pić szampana. A nade wszystko musisz włożyć swój nowy naszyjnik, bo wtedy żaden dżentelmen nie zdoła ci się oprzeć, wszyscy się w tobie zakochają.

Zraniona Miranda popatrzyła na pana Lloyd'a, skinęła głową i przyjęła jego zaproszenie.

W ciągu następnych siedmiu dni usiłowała dopaść pana Hastingsa. Miała do niego trzy pytania. Po pierwsze, co on sobie wyobrażał, wsadzając ją panu Lloydowi na głowę? Po drugie, co przez ten cały czas działał w kwestii Everarda? A po trzecie: czy lubi ją tak bardzo, jak jej szeptało serce, czy też serce mówi jedynie to, co ona życzy sobie usłyszeć?

Oczywiście, nie zamierzała tego ostatniego pytania stawiać wprost, ale liczyła, że w trakcie poważnej rozmowy z owym panem o wcześniejszych dwóch kwestiach wymknie mu się pozytywna odpowiedź na trzecie.

Niestety, do tej pory jedyne, co się wymykało, to sam pan Hastings, który okazał się śliski jak wąż. Gdziekolwiek szedł, otaczał się dziećmi niczym murem. Nie sposób było do niego podejść w pokoju szkolnym. W jadalni zaś czy salonie wiecznie wykręcał się, że musi się zająć to tym, to owym, tudzież doglądać jakiegoś dziecka - właśnie chorego, nadąsanego lub znudzonego.

Wyrażona z równowagi, zastukała wreszcie do drzwi jego sypialni, wołając:

- Och, droga Charlotta, mogę wejść? To ja, Miranda.

Na co pan Hastings odkrzyknął:

- Och, droga Mirando, obawiam się, że nieco niedysponowana.

Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że Miranda zamierza go przesłuchać, i nie chciał się poddać przesłuchaniu. Dlatego też postanowiła go sprowokować. Przy najbliższej okazji, kiedy rodzina zebrała się wokół kominka, zastanawiając się, kto którym z licznych powozów uda się na bal, odezwała się głośno:

- Och, ale nie zapomnijmy o drogiej Charlottcie. Musimy dopilnować, by została zauważona na balu, i każda z nas musi obiecać, że wyszuka jej partnera do tańca.

Mordercze wejrzenie, jakie posłał jej pan Hastings, sprawiło Mirandzie nadzwyczajną satysfakcję. Siostry też ją uradowały, wyliczając okolicznych dżentelmenów, wszystkich wielce obiecujących, którzy doskonale by się nadawali na tancerzy dla panny DeWitt.

- Chyba nie powinnam udawać się na bal - wymamrotał pan Hastings najbardziej pokornym tonem Charlotty. - Ktoś będzie musiał zostać z dziećmi, a ja bardzo chętnie się tego podejmę. Nie przepadam za tańcami.

Podniosły się okrzyki protestu. Panna DeWitt nie może im odmówić towarzystwa. I tak nazbyt często poświęca swą wygodę dla dzieci. Teraz pora, by pomyślała o sobie. Jeśli nie ma stosownej sukni, bardzo chętnie wybiorą dla niej którąś z ich licznych sukien balowych. Równie chętnie pożyczą jej każdą broszkę i kolczyki, jakich tylko sobie zażyczy. O tak, przyjdą do jej sypialni pomóc jej się ubrać i dopilnować pokojówkę, gdy będzie ją czesała. Tak, koniecznie trzeba coś zrobić z włosami panny DeWitt. Ten żółty kolor nadzwyczaj rzuca się w oczy, to prawda, lecz przydałoby mu się trochę szyku. Należałoby odrobinę przypudrować włosy, by nie były już tak krzykliwe, no i staranniej zakręcić, żeby tak nie zwisały. Do tego trzeba będzie jej dać jakiś ładniejszy, nie taki zabudowany czepek. Wszak ten zasłania pół twarzy! Co więcej, panna DeWitt musi wreszcie choć raz zapomnieć o szalu!

Wiecznie zasłaniała nim swoje kształty, które nie mogą być aż tak złe, a zresztą wystarczy odpowiednio dobrany gorset i halki, by okazało się, że figurze panny DeWitt niczego nie można zarzucić. Przyjdą i pomogą jej się ubrać, tak że nie musi się obawiać, że będzie się niekorzystnie odbijać od, towarzystwa.

Miranda słuchała tych serdecznych zapewnień z uśmiechem; pan Hastings - z jękiem. Oczywiście jęk był cichy, lecz ona słyszała go równie wyraźnie jak kurant zegara z półki nad kominkiem. Panna DeWitt może wylewnie dziękować przyjaciółkom, ale pan Hastings był rozjuszony jak buhaj.

Strategia Mirandy przyniosła oczekiwany skutek. Wieczorem, na dzień przed bale, pan Hastings przysłał przez służącą wiadomość.

- Panna DeWitt uprasza, by zechciała panienka zajrzeć do jej sypialni - przekazała dziewczyna, dygając.

Poprawiwszy włosy i stanik sukni, Miranda podeszła pod jego sypialnię i zastukała.

Drzwi się otworzyły i została bezceremonialnie wciągnięta do środka. Pan Hastings wziął ją w ramiona i przygwoździł do ściany. W swoim męskim odzieniu - na wpół rozpiętej koszuli i spodniach - wyglądał niemal groźnie.

- Jak pani doskonale wiesz, panna DeWitt nie zamierza udać się na bal - wysyczał. - Wiesz również pani, że jeśli tam się uda, zostanie zdemaskowana jako pan Hastings. Nie wiem, czemu pani uparłaś się, żeby mnie tym nękać, ale od tej chwili te żarty mają się skończyć.

Bezskutecznie próbowała się wyrwać.

- Skończą się - odparowała - jeśli przestaniesz mnie pan pchać w ramiona pana Lloyda!

Znieruchomiał. Ściągnął brwi. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym najwyraźniej się rozmyślił. Delikatnie wypuścił Mirandę z ramion. Uśmiechnął się. Wyglądał na spokojniejszego.

- Nic prostszego - odparł z ukłonem. - Od tej chwili nie będę cię pani pchał w niczyje ramiona, a z pewnością nie pana Lloyda.

- I nie będziesz pan obiecywał mojej matce ani panu Lloydowi dalszego orędownictwa za tym związkiem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, tak że jego twarz nabrała nieco zawadiackiego wyglądu.

- Imię tego dżentelmena nigdy więcej nie wyjdzie z moich ust.

Odetchnęła z ulgą.

- I nie będzie pan mi kazał z nim tańczyć ani mieć cokolwiek wspólnego.

- Obym nigdy nie wygrał zakładu, jeśli dopuszczę się któregośkolwiek z tych przestępstw - przysiągł z ręką na sercu.

- Doskonale - oświadczyła - więc zawarliśmy umowę. Ja pomogę panu uniknąć pójścia na bal, pan zaś ze swej strony przestanie się wtrącać w moje sprawy.

Wzniósł ręce, jak ktoś, kto składa przysięgę wobec niebios.

- Jak najbardziej, z wyjątkiem pewnego, małego zastrzeżenia.

Zmrużyła oczy.

- Muszę nalegać, byś pani włożyła naszyjnik na bal.

To przypomniało jej, jak bardzo się narażał, ofiarowując jej ten prezent.

- Jak pan mogłeś być tak niemądry! - skarciła go. - Taki kosztowny upominek! Gdyby moja rodzina uwierzyła zapewnieniom pana Lloyda o jego niewinności, wszystko mogłoby się wydać.

- Dałem ci, pani, ten naszyjnik, bo ci go obiecałem. Napisałem w liście, że ofiaruję ci bardziej stosowny podarunek w podziękę za uratowanie mi życia. Teraz go już masz. A ja proszę tylko o zwrot mego fularu.

Myślami wróciła do fularu, o którym już dawno zapomniała i obwiązała nim pamiętnik, jak to czyniła wcześniej.

- Chyba go pani nie zniszczyłaś?

Pokraśniała.

- Dostanie go pan - odparła, zastanawiając się, czy do naszyjnika przywiąże się równie mocno jak do fularu.

- W takim razie - rzekł, z zadowoleniem spoglądając jej w oczy i patrząc długo, jakby zamierzał to robić do końca wieku. - W takim razie...

Czuła coraz silniej ogarniające ją zmieszanie. Stojąc przed nią pan Hastings blokował jej przejście, tak że nie mogła odsunąć się ani od ściany, ani od niego. By to zrobić, musiałyby się przemknąć albo obok stolika, albo obok lustra. A była tak poruszona, że z pewnością coś by przy tym straciła. Jeśli zaś dalej tak będzie stać, wkrótce zabraknie jej tchu i zemdleje.

- Przypuszczam, że powinniśmy się już pożegnać - wyszeptała z trudem.

Odsunął się i otworzył jej drzwi.

- Dobranoc, Mirando - powiedział.

- Dobranoc, Charlesie - odparła.

Dopiero następnego dnia, gdy właśnie brała dziesiątą lewę i pan Hastings czule się do

niej uśmiechał znad kart, zdała sobie sprawę, jak się do niego zwróciła.

Dzieci, służba oraz panna DeWitt ustawili się w rzędzie u stóp klatki schodowej, by móc podziwiać wyszykowaną na bal rodzinę w pełnej krasie. Sir Bascomb wraz z lady Troy zeszli pierwsi, tonąc w uśmiechach. Ucałowali wnuczeta, życzyli służbie pomyślności w nadchodzącym roku. Wobec panny DeWitt zaś wyrazili żal, że nie będzie im dane cieszyć się jej towarzystwem na balu. Zapewniła ich, że nic jej bardziej nie uszczęśliwia, jak opieka nad dziećmi dzisiejszej nocy.

Po nich spłynęły kolejne siostry, każda u ramienia małżonka: trio mile się prezentujących dżentelmenów, dokładnie takich samych - jak uważał pan Hastings - w swej nijakości. Ostatnia zjawiała się Miranda. Uśmiech, taneczny krok świadczył o ożywieniu. Mimo to jednak, gdy tylko dostrzegła wejrzenie pana Hastingsa, znieruchomiała. Coś w jego wzroku sprawiło, że spuściła powieki.

Miała na sobie białą, prostą tunikę. Dekolt był głęboko wycięty, a nad nim błyszczały brylanty i szmaragdy, ofiarowane przez pana Hastingsa. Choć Miranda lubiła kolczyki, dziś niczego nie wpięła w uszy, jakby nie chciała, by cokolwiek odwróciło uwagę od szyi. Wspaniałe, gęste włosy upięła w greckim stylu: zaczesane do góry, z loczkami nad czołem, ale bez żadnych koronek ani wstążek. Ta nieskazitelna prostota wywarła na panu Hastingsie potężne wrażenie.

Po raz pierwszy dostrzegł, jak jej wdzięczna szyja łagodną linią przechodzi w ramię. Suknia oplatała się wokół jej nóg. Wydawała mu się tak zwiewna, że pomyślał, iż wystarczyłoby otoczyć jej kibić, a wygięłaby się ku niemu jak młode drzewko. Aż do tej pory sądził, że poznał wszelkie barwy i odcienie jej wyglądu. Teraz zaś przekonał się, że będzie potrzebował całego życia, by zgłębić wszystko, czego pragnie.

Ponieważ zdawała się doskonale rozumieć jego gorące spojrzenie, powstrzymał się od jakichkolwiek słów. Pomachał wszystkim na pożegnanie i życzył szczęśliwego nowego roku, nie zwracając się do nikogo w szczególny sposób. Wkrótce drzwi się zamknęły i stracił ją z oczu. A mimo to jej obraz tkwił pod powiekami. Nie dano mu się nim długo rozkoszować, bo dzieci pochłonęły jego uwagę i zaciągnęły go do pokoju szkolnego. Tam spędził całe pół godziny doskonaląc ich umiejętności gry w loo i mężnie ukrywając przed nimi swe podenerwowanie. Pod koniec tego czasu posłał po Ragstone'a.

- Obawiam się, że chwyciła mnie gorączka - wyszeptał do lokaja. - Nie chciałabym niepokoić dzieci, ale również nie chciałabym wystawić ich na ryzyko zarażenia, gdyby się okazało, że to przeziębienie. Czy moglibyście podsunąć jakieś rozwiązanie, Ragstone?

A ponieważ lokaj za niczym bardziej nie przepadał niż za pytaniem go o radę, zapewnił pannę DeWitt, że dopilnuje, by dziećmi się zajęto. Ona zaś musi pójść do siebie i położyć się do łóżka.

- Zrobię, jak radzicie - powiedział najbardziej uległym głosem Charlotty pan Hastings.
- Natychmiast się położę.

- Porządnie przespana noc czyni cuda - odparł Ragstone.

Panu Hastingsowi niełatwo przyszło wyrwanie się dzieciom, podniosły bowiem zgiełk na wieść, że są pozbawiane drugiej po najmilszej ciotce ulubionej towarzyszkii. Ragstone przyszedł mu z odsieczą, tak głośno wyrzucając im samolubstwo wobec panny DeWitt, która powinna w tej chwili udać się do łoża boleści, że dzieci prawie się popłakały. Pociągając nosami pomachały opiekunce i pocieszyły się, cały wieczór każąc się nosić na barana, karmić łakociami i wrzeszcząc, ile sił w płucach.

W sypialni pan Hastings wyciągnął kufer, którego pokojówka nie rozpakowała. Wyjął z niego wytworny, ciemnoniebieski surdut i parę spodni w kolorze kości słoniowej. Przez chwilę przypatrywał im się boleśnie. Od dawna już nie miał na sobie czegoś tak wygodnego. Ubranie było nieco pomięte, ale uszło. Podjąwszy ostateczną decyzję, przebrał się, zasłaniając swe sztywne odzienie peleryną i kapeluszem.

Ostrożnie uchylił drzwi. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, zszedł po schodach, przemknął korytarzem na tyły domu, a stamtąd do stajni. Ponieważ wszystkie powozy wyjechały na bal, stajenni schronili się w ciepłe kuchni. W stajni został tylko jeden: leżał głęboko uśpiony z butelką dzinu w ręku. Pan Hastings jak najciszej wyprowadził wałacha na dziedziniec, osiodłał i wskoczył mu na grzbiet.

- A teraz, godny rumaku, zanieś mnie do Togbury, nim wróci mi zdrowy rozsądek - szepnął, ruszając galopem.

Zdażył już tak doskonale poznać trasę do Togbury, że przebył ją w znakomitym czasie. Słyszał, jak wspomniano, że bal odbędzie się w ratuszu, lecz przez wzgląd na bezpieczeństwo przywiązał konia na tyłach sklepu i pieszo przeszedł ostatni odcinek drogi. Migotanie mnóstwa świec, dźwięki muzyki i gwar pogodnych rozmów wskazywały mu drogę do ratusza.

Zostawiwszy pelerynę i kapelusz, skierował się do wejścia, gdzie natknął się na lady Troy. Zdumienie na jego widok odjęło jej mowę, ale tylko na pół minuty.

- Pan Hastings! - zawołała tak głośno, by inni dosłyszeli. - Jest pan ostatnią osobą pod słońcem, jaką spodziewalibyśmy się spotkać w Togbury!

Posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie sprawia pani przykrości mój widok, lady Troy.

- Wielkie nieba, skądże! Po prostu jestem zdumiona. Myślałam tylko, że skoro pan i Miranda, to znaczy, że skoro nie widzieliśmy pana od owego nieszczęsnego... to jest, porzuciłam nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze pana zobaczę, ale z pewnością wie pan, że widok syna Tabithy Hastings nieodmiennie mnie raduje.

Zmieszana gwałtownie się wachlowała.

Z uśmiechem uniósł jej wolną rękę do ust.

- Wielce pani łaskawa - odparł. - A jako że przebywam w sąsiedztwie, to czy wolno by mi było złożyć wizytę pani i jej wyjątkowej córce?

Mówił z takim czarem, że tylko jeszcze mocniej się powachlowała.

- Będziemy pana wyglądać - odrzekła bez tchu.

Skłonił się, po czym skierował się na zatłoczony środek sali.

Ta krótka rozmowa zwróciła uwagę licznych par stojących w pobliżu. Widząc przystojnego nieznajomego odzianego wedle najnowszej mody, szturchali się łokciami i szepotali:

- Co to za dżentelmen?

- To pan Hastings - wyjaśniła lady Troy, nie otrząsnąwszy się jeszcze ze zdumienia.

- Nonsens - zaprzeczył dziedzic Rowdy. - Pan Hastings przebywa w Szkocji. Wyjechał tam z jakąś damą. W ubiegłym tygodniu o niczym innym się w Londynie nie mówiło. Siostra w listach przekazuje mi najświeższe ploteczki.

- Chyba wiem, jak wygląda pan Hastings - odparła ostro lady Troy. - W końcu to syn mej najserdeczniejszej przyjaciółki. Zapewniam cię, panie, że nie przebywa w Szkocji. Jest tutaj, a w dodatku za kimś się rozgląda. Spójrzcie, widzicie, jak wodzi wzrokiem po sali? Ciekawam, o kogo mu chodzi?

Teraz już znaczna część gości przyglądała się panu Hastingsowi, podziwiając jego szyk, szeptem powtarzając jego nazwisko i zastanawiając się, kogo ten elegancki dżentelmen może szukać. Nie zwracając uwagi na poruszenie, jakie wzbudził swoim zjawieniem, pan Hastings torował sobie drogę przez tłum. W sali zrobiło się cicho, gdyż wszyscy wiedli za nim wzrokiem. Goście rozstąpili się, ustępując mu miejsca. Zatrzymał się, gdy zauważył Mirandę, odwróconą do niego plecami. Była pochłonięta rozmową z dżentelmenem, który zauważywszy nagłą ciszę w sali, ciekawie rozejrzał się dokoła. Pan Hastings zobaczył, jak Miranda sztywnieje. Wydało mu się, że przestała oddychać. Nie wątpił, że już wie o jego pojawieniu się. Ale nie był pewien, co się stanie, gdy się odwróci i go zobaczy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ZALOTY

Ilekoć oglądam malownicze pejzaże pana Poussin, dostrzegam w jego krajobrazach właśnie to, co pragnęłabym osiągnąć w moich ogrodach - spokój. Opactwo Arundel i w ogóle wszystkie majątki na południu Anglii zazwyczaj same prowokują do przeróbek, które w efekcie nie tyle stwarzają, co podkreślają już istniejący spokój. Nic lepiej nie ukoi wzburzonego serca jak trawnik przykryty warstwą śniegu, z którego wyrastają cisy i nagie topole; czy obsypane kwieciami sady wiśniowe i śliwkowe; albo sadzawka połyskująca pod pływającymi liśćmi cynobru. Może się jednak okazać nieroztropne wyobrażać sobie ten idealny pejzaż, człowieka może bowiem ogarnąć rozczarowanie, gdy porówna go ze swymi oczekiwaniami. Dziś rano dowiedzieliśmy się, że nocna wichura wyrwała liczne wiązy z alei. To zły znak, powiada tato i obawiam się, że może mieć słuszość.

Choć Miranda wiedziała, że zobaczy pana Hastingsa, nie była gotowa na to, co ujrzała: istnego bohatera ze stronic powieści. Oczarowała ją swobodna elegancja jego odzienia, ciepło jego uśmiechu i psotny błysk w oczach. Nagle uświadomiła sobie, czemu przebranie Charlotty, mimo że u innych nie wzbudzało żadnych podejrzeń, jej tak zupełnie nie przekonywało: odczuwała jego obecność jak nikt inny. Nawet w kobiecym stroju ją pociągał.

Patrząc teraz na niego nie wiedziała, czy udusić go, że wystawia się na takie niebezpieczeństwo, czy też rzucić mu się w ramiona. Okazało się jednak, że nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Wszyscy zebrani obserwowali każdy jej ruch, najmniejsze drgnienie twarzy. Musi się pilnować. Lekkim skinieniem głowy przyjęła do wiadomości obecność pana Hastingsa. Ten obojętny gest wskazywał, że jego pojawienie się nie wywarło na niej najmniejszego wrażenia i goście mogą zająć się swoimi sprawami.

Szare oczy pogratulowały jej opanowania. Przysunąwszy się bliżej, pan Hastings spytał:

- Panno Troy, czy mogę prosić o zaszczyt?

Podawszy mu dłoń, podeszła z nim do orkiestry. Skrzypkowie zagraли pierwsze nuty skocznego reela. Tancerze ustawili się w rzędach i wkrótce wszyscy zapomnieli o panu Hastingsie i jego sprawach. Miranda z panem Hastingsem tańczyli w milczeniu. Wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, malowało się w ich oczach. Ilekoć ujmował ją za rękę przy

kolejnym obrocie, czuła, jak przesywa ją prąd.

Następny taniec był powolny i stateczny. Wsunęła dłoń w jego rękę, stanęli w kole. W tym momencie Miranda wykorzystała okazję, by szepnąć:

- Co pan tu robi, panie Hastings?

- Musiałem dopełnić zakładu - odrzekł, obracając ją pod ramieniem.

Westchnęła.

- Powinam była się domyślić.

- Bo musisz wiedzieć, że założyłem się ze sobą. Jeśli uda mi się namówić cię do rozmowy o sztuce ogrodowej, wyznam ci miłość.

W tej samej chwili figura tańca wymagała, by zmienili partnerów.

Miranda omal nie stanęła w miejscu, tak ją zdumiały jego słowa. Zastanawiała się, czy dobrze usłyszała. Ale wątpliwości wcale nie powstrzymały serca od głośnego kołatania; wstąpiła w nią nadzieja.

Wkrótce tancerze wrócili do swoich partnerów, a muzyka umilkła. Miranda posłała panu Hastingsowi uśmiech, który miał ukryć jej uczucia. On skłonił się uprzejmie i ruszył do stołu, na którym błyszczały kieliszki z winem. Wypił jeden, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Patrzyli na siebie z napięciem, co mogłoby zwrócić uwagę innych, gdyby do Mirandy nie podszedł pan Lloyd.

- Czy mogę upraszać o zaszczyt rozmowy z panią, panno Troy? - spytał.

Zerknęła na pana Hastingsa, który sączył wino. Przyglądał jej się, choć udawał, że tego nie robi.

- Och, mam nadzieję, że nie zamierza pan dziś być poważny, panie Lloyd - odparła lekko. - W czasie balu nie pojęłabym ani jednego poważnego słowa.

- Postanowiłem sobie, że dzisiejszego wieczoru się z panią rozmówię - oświadczył nieugięcie. - Jeśli zbytnio się pani lękasz o swą reputację, by udać się ze mną do przedpokoju, gdzie mielibyśmy spokój, to będę mówić tu, gdzie każdy zobaczy, że nie zamierzam urazić twojej godności ani osoby, pani.

Miranda uznała, że lepiej będzie odmówić mu na osobności, zamiast upokarzać go w obecności tylu sąsiadów. Dlatego też dała się powieść do przedpokoju, licząc, że pan Hastings nie zrozumie opacznie jej zniknięcia i że będzie na nią czekał, aż wróci - co, jak szacowała, winno nastąpić za jakieś trzydzieści sekund.

W przedpokoju dopalały się świece i płonął ciepły ogień; przed kominkiem stała wygodna sofa. Nie ulegając czarowi otoczenia, Miranda uparła się, by stali. Pan Lloyd złożył hołd jej manierom, oświadczając:

- Wielce panią poważam, panno Troy, za pani dbałość o należyte zachowanie.

Wspomnienie tego, do czego doszło w jej londyńskiej sypialni, sprawiło, że musiała zachować ogromną przytomność umysłu, by przyjąć ten komplement.

- Panno Troy - zaczął - czy panna DeWitt rozmawiała z panią o moich zamiarach?

- Tak, mówiła, ale...

Wyglądał na zadowolonego.

- Zechce mi pani pozwolić kontynuować. Nie tak dawno temu prosiłem, byś zechciała przyjąć me serce i rękę. Wtedy jeszcze nie odwzajemniałaś, pani, mych uczuć, lecz zapewniłaś mnie, że nikogo innego nie obdarzyłaś afektem, dlatego też poprzysiągłem sobie, że we właściwym czasie powtórzę me oświadczenia. Ów czas właśnie nadszedł.

Przerwał, by miała czas przygotować się na to, co zaraz na nią spadnie.

- Proszę, panie Lloyd, nie musi pan...

- Właśnie że muszę - przerwał. - Widzi pani, znalazłem dodatkowy argument, który winien przekonać panią, by mnie przyjąć, a którego nie mogłem przedstawić za pierwszym razem. Mianowicie, dostrzegłem pani przywiązanie do koleżanki z ławy szkolnej, panny DeWitt, a jako że ja również wielce poważam tę damę i jestem jej dłużnikiem, nie będę się sprzeciwiał, gdybyś pani chciała ją często zapraszać, a nawet zaproponowałabyś, by z nami zamieszkała.

Miranda nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać.

- Pragnąłbym, by ślub odbył się wczesną wiosną. W naszym wieku nie należy spraw przeciągać. Zbyt długie narzeczeństwo bywa groźne, a w naszym wypadku wszystko przemawia za tym, byśmy stali się mężem i żoną, nim jeszcze rozpoczną się prace w polach.

Uniósł jej dłoń do ust i złożyłby na niej pocałunek, lecz Miranda wyrwała rękę.

Zobaczyła cień i usłyszała czyjeś kroki.

- Panna Troy nie może przyjąć pańskich łaskawych oświadczeń - odezwał się pan Hastings, wchodząc.

- Kim pan jesteś? - spytał oburzony pan Lloyd. - I dlaczego panna Troy nie może przyjąć mych oświadczeń?

- Bowiem wychodzi za mąż za mnie.

Miranda ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od głośnego okrzyku radości. Pan Lloyd pogardliwym wzrokiem zmierzył swego rywala, po czym zwrócił się do Mirandy.

- Ten dżentelmen, ponoć o nazwisku Hastings, obraża pani i moje poczucie przyzwoitości. Powiedz, pani, słowo, a pokażę mu drzwi.

- Nie! - krzyknęła.

Nie przyjął tego do wiadomości.

- Nie możesz go, pani, kochać - upierał się. - To karciarz i kobieciarz. Nie da pani tego, co ja: spokojnego życia, męża, na którym można polegać, ani majątku przylegającego do Opactwa Arundel. Sama pani mówiłaś, że nie chcesz go spotkać. Chyba nie zamierzasz za niego wyjść za mąż.

- Och, panie Lloyd - odparła łagodnie - założę się, że właśnie to zamierzam uczynić!

Znajomi Mirandy nigdy nie opisaliby jej jako wstydlivej, lecz z chwilą, gdy pan Lloyd opuścił pomieszczenie, ogarnęła ją paraliżująca nieśmiałość. Nie wiedząc, co powiedzieć, stwierdziła fakt oczywisty.

- To było niebezpieczne, tak tu się zjawiać - wykrztusiła.

- To wyłącznie twoja wina - odparł, podchodząc bliżej. - Kiedy zobaczyłem, jak cudownie wyglądasz w naszymniku mej babki, wiedziałem, że nie wytrzymam w domu.

Mięknąc popatrzyła na niego. Chwycił ją w ramiona z miążdzącą siłą. Najpierw potarł policzkiem o jej policzek, a potem ucałował w same usta.

- Chciałem to zrobić już w Londynie - wyznał. - Niestety, widziałem wtedy tyle Mirand, że nie wiedziałbym, w które usta mierzyć.

Niechętnie wyzwoliła się z jego uścisku.

- Ktoś wejdzie i nas zobaczy.

Podeszła do kominka i oparła głowę o chłodną półkę. Stał za nią i otoczył ramionami jej kibić, przyciągając do siebie.

- A cóż takiego strasznego nas czeka, jeśli nas zobaczą? - spytał, pocierając nosem o jej kark. - Zmuszą nas do małżeństwa?

- Nie możemy się pobrać, Charlesie - powiedziała, odwracając się do niego. - Wiesz, że nie możemy.

- Nic takiego mi nie wiadomo. Co więcej, gotów jestem postawić serce, ciało, duszę i mą kawalerską wolność, że możemy.

- Nie możemy się pobrać, póki Everard ci grozi.

Przygarnął ją do siebie i ustami muskał jej nagie ramię.

- A, tak, Everard - wymamrotał. - Wkrótce przestanie być zawadą, najmiłsza. Daję ci na to me uroczyste słowo.

Odsunęła go, by widzieć jego twarz.

- Więc zakończysz całą sprawę?

Skinął głową. I z uśmiechem patrząc w jej brązowe oczy, gładził jej włosy. Wolno

odsunął się od niej, zgasił świece jedna po drugiej. Znowu zbliżył się do Mirandy i przytulił ją do siebie. Przez jakiś czas - żadne z nich nie wiedziało, jak długo - stali w ciemnym pokoju, oświetlani i ogrzewani ciepłym ogniem z kominka.

Trzy dni po balu sir Bascomb wraz z lady Troy pomachali na pożegnanie trzem córkom, trzem zięciom i siedmiu wnukom. Cisza, jaka po ich wyjeździe nastąpiła w domu, radowała zwłaszcza sir Bascomba, który lubił dzieci, o ile mieszkwały daleko i nie musiał na własne oczy oglądać przejawów rozsadzającej ich energii, a jedynie czytał o nich w listach. W ponownie cichym domu mógłby spokojnie drzemać sobie przy ogniu, gdyby ubiegłej nocy nie rozszała się wichura, po której pola stały się białe, drogi grzaskie, a jego serce ciężkie. Mokry śnieg, potężny wiatr i podeszły wiek, wszystko to złożyło się na to, że wiele bardzo starych, pięknych wiązków nie przeżyło tego ataku złej pogody. Sir Bascomb oświadczył, że to zły znak, choć wypytywany dokładniej nie zdołał określić, jakie to nieszczęścia mają na nich spaść. Podczas gdy jego żona haftowała, a córka wraz ze swoją przyjaciółką z lat szkolnych grały w karty, sir Bascomb drzemał niespokojnie, co chwila wzdrygając się i kręcąc.

Lady Troy również się niepokoiła, lecz z innego powodu. Z troską zwróciła się do Mirandy i panny DeWitt:

- Dlaczego pan Hastings nie złożył nam wizyty? Wszak pamiętam, że specjalnie podkreślił, iż zamierza odwiedzić mnie i moją wyjątkową córkę. Tak, naprawdę tak właśnie powiedział: wyjątkową córkę. Tymczasem nawet nie zajrzał. O co mogło mu chodzić?

Miranda zerknęła na pana Hastingsa, wzrokiem zachęcając go do sprokurowania wytłumaczenia.

- Może jest niedysponowany - odparł najbardziej łagodnym i uspokajającym tonem Charlotty.

- A może od początku nie miał zamiaru składać nam wizyty - odezwała się Miranda, posyłając mu prowokujące spojrzenie. - Może udał się do Szkocji z jakąś tajemniczą damą.

- Phi! - parsknęła jaśnie pani. - Pan Hastings zjawił się na balu wyłącznie ze względu na ciebie, dziecino. Jego zamiary nie pozostawiały najmniejszych złudzeń. A jeśli mi nie wierzysz, spytaj kogokolwiek w Togbury. Lubi cię. Ach, gdybyś i ty znalazła w sercu odrobinę sympatii do niego. Może i zachował się obrzydliwie przy waszym pierwszym spotkaniu, ale musisz się nauczyć wybaczać. Obrzydliwi dżentelmeni często okazują się wspaniałymi mężami.

Miranda parsknęła śmiechem.

- Wielkie nieba, mamo, nie porzuciłaś swoich marzeń o moim ślubie z panem

Hastingsem? Sądziłam, że życzyłaś sobie, bym wyszła za pana Lloyda. A skoro nie mogę mieć ich obu, musisz się zdecydować, którego mam wybrać.

- Opowiadałam się za panem Lloydem - odparła zmieszana lady Troy - kiedy wyglądało na to, że nie chcesz nawet słyszeć o panu Hastingsie. Zawsze jednak wolałam syna Tabithy. Choć moje preferencje ciebie wcale nie obchodziły, o nie.

- Biedna mamó, zostałaś przeklęta upartą córką, a teraz życzysz panu Hastingsowi lub Lloydowi, by zostali unieszczęśliwieni równie upartą żoną.

- Nie będę się wtrącać - oświadczyła wyniośle lady Troy. - Przysięgłyśmy z Tabithą, że już więcej nie będziemy się wtrącać. Ale to takie trudne, drogie dziecię. Może nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo, lecz panna DeWitt z pewnością tak. Nigdy przedtem nie spotkałam młodej damy o podobnie czułym sercu. O tak, gdybyś kiedykolwiek zamierzała zachowywać się jak rozsądna młoda dama, weź za wzór pannę DeWitt.

Pan Hastings posłał Mirandzie znaczące spojrzenie.

Lady Troy westchnęła.

- Nie sądzi pani, panno DeWitt - podjęła - że Miranda przynajmniej powinna spróbować odwzajemnić uczucia pana Hastingsa?

Miranda wiedziała, że gdyby spotkali się wzrokiem, skończyłoby się to katastrofą, dlatego wpatrywała się w karty.

- Nie mogę się wypowiadać, lady Troy - odrzekł spokojnie pan Hastings. - Nigdy nie widziałam tego dżentelmena.

- A, rzeczywiście, w noc balu została pani w domu i cierpiała na tę okropną gorączkę. Mam nadzieję, że już nic pani nie dolega.

- Nie, choć od czasu do czasu zdarzają mi się nawroty gorączki.

Uśmiech, który posłał Mirandzie, omal nie wywołał u niej głośnego wybuchu śmiechu.

- Wielka szkoda, żeś nie mogła pani z nami pójść - stwierdziła lady Troy - bo wtedy na własne oczy byś się przekonała, jak przystojnym młodzieńcem jest pan Hastings.

- Och, więc jest przystojny?

- Nadzwyczaj. Miranda pani nie wspominała?

- Ani słowem. A więc, droga Mirando, czy to prawda? Czy twój pan Hastings jest przystojny?

Miranda odchrząknęła, nim powiedziała:

- Ujdzie. To znaczy, że nie ma zeza ani dziobów po ospie.

- Mirando! - skarciła ją matka tak ostro, że śpiący sir Bascomb aż się wzdrygnął. -

Niemożliwe, byś była aż tak uprzedzona do pana Hastingsa, by nie przyjmować do wiadomości tego, co każdy musi dostrzec.

Zaczerpnawszy głęboko tchu, Miranda przyznała:

- No, dobrze, rzeczywiście jest przystojny.

Podniosła wzrok i wymieniła z panem Hastingsem wesołe spojrzenia.

- On jest nie tylko przystojny, panno DeWitt. Tak samo jak jest nie tylko bogaty, choć trzeba dodać, że należy do bardzo, bardzo zamożnych. Jestem matką, panno DeWitt, i nigdy nie wydałabym córki za mężczyznę jedynie dlatego, że posiada urodę i bogactwo. Za panem Hastingsem przemawiają i inne zalety. Za rodziców ma wielce szlachetnych ludzi. Jego ojciec odznaczał się godnym charakterem. Jego matka zaś to osoba o wielkim sercu i dobroci.

Miranda przyglądała się, jak twarz pana Hastingsa poważnieje. Słuchał z uwagą.

- Och, możecie twierdzić, że dobre charaktery rodziców w niczym nie gwarantują dobrego charakteru syna, i zgodziłabym się z wami, lecz pan Hastings jest ogromnie oddany matce. Troszczył się o nią, od kiedy tylko jego ojciec zmarł. Już jako dziecko brał na siebie ciężary dorosłego, byle jej ulżyć. Nigdy nie uważał za niemęskie rozpieszczać ją i ją adorować. A dżentelmen będzie żonę traktował tak samo, jak traktuje matkę.

Pan Hastings wstał gwałtownie. Miranda widziała, jak bardzo poruszyły go słowa lady Troy. Nie mógł tego dłużej słuchać.

- Ale wszak musi mieć jakieś wady - zauważył głosem Charlotty. - Nawet najwspanialszy mężczyźni je mają.

Lady Troy, która nie dostrzegła niczego podejrzanego, ciągnęła z goryczą:

- Jeśli ma wadę, to na pewno taką, że nie zjawił się następnego dnia po balu, jak to powinien uczynić dżentelmen. Zapomniał odwiedzić matkę następnego ranka po jej przyjęciu, a teraz zapomniał o nas. Z wyjątkiem tego, nie dostrzegam u niego żadnych wad.

Tu jej potok wymowy został przerwany. Zjawił się Ragstone, zapowiadając gościa.

- To pan Hastings! - krzyknęła zachwycona. - Wiedziałałam, że przyjdzie!

Jej okrzyki przebudziły sir Bascomba, który przetarł oczy i pragnął się dowiedzieć, cóż to za dopust ich spotkał.

Tymczasem Ragstone podał lady Troy tacę z wizytówką gościa. Mina jej się wydłużyła, gdy przeczytała nazwisko.

- Och, to tylko lord Everard.

Miranda posłała panu Hastingsowi przerażone spojrzenie. On zaś tylko się uśmiechnął.

- Nie wprowadzajcie go, Ragstone - zdecydowała. - Powiedzcie, że państwo są

niedysponowani.

- Ależ skąd, Ragstone - wtrącił słodkim głosem Charlotty pan Hastings. - Wiedziałyby, że to wymówka. Wszak cała rodzina nie mogła się rozchorować. Po prostu przyszedłby jeszcze raz.

- Bardzo roztropnie, panno DeWitt - pochwaliła lady Troy.

- Byłabym niewyrażalnie szczęśliwa, gdyby zechciała mnie pani nazywać Charlottą.

- Będę cię nazywać Charlottą i będę cię kochała jak Mirandę, bo czarująca z ciebie istota. Ragstone, wprowadź lorda Everarda.

Ledwo lokaj wyszedł, Miranda rzuciła karty i wstała. Utkwiwszy w panu Hastingsie spojrzenie pełne lęku, wyszeptała bezgłośnie: „Znalazł cię!”

Pan Hastings odpowiedział beztroskim skinieniem głowy.

Wprowadzono lorda Everarda. Nie usiadł; nie zawracał sobie też głowy uprzejmymi wstępani. Nie dał sobie do końca przedstawić panny Charlotty DeWitt, tylko spytał:

- Gdzie jest pan Charles Hastings?

- Wielkie nieba! - odparła lady Troy. - Sami się nad tym zastanawiamy!

Brzydki grymas wykrzywił twarz Everarda. Mirandzie wydawało się, że w jednej chwili postarzał się o kilkanaście lat. I wyglądał tak dziko.

- Założę się, że panna Troy wie, gdzie może przebywać.

Miranda wzruszyła ramionami. Na szczęście jej matka odezwała się, nim została zmuszona do odpowiedzi.

- Cóż pan sugerujesz? - spytała urażona jaśnie pani.

- Niczego nie sugeruję. Mówię wprost. Panna Troy jest zaręczona z panem Hastingsem.

- Zaręczona! - Lady Troy klasnęła w dłonie i wstała objąć córkę. - Czy to prawda?

- Zaręczona! - powtórzył sir Bascomb. - Wiedziałem, że te wiązy to zły znak!

- Wszędzie się mówi o tych zaręczynach - oświadczył Everard. - Właśnie słyszałem o tym z ust samego pana Farrisza Lloyd'a. Zdaje się, że panna Troy odmówiła mu, by przyjąć pana Hastingsa. Większość balu spędziła z nim samotnie w przedpokoju.

Sir Bascomb poczerwieniał i usiadł prosto.

- Może pan natychmiast opuścić mój dom! - krzyknął do Everarda. - Człowiek, który waży się oskarżać mą córkę o nieprzystojne zachowanie, nie jest tu mile widziany.

Lady Troy podbiegła do córki, przycisnęła dłonie do serca i nazwała ją najmilszą, ukochaną dzieciną.

W tym momencie panna DeWitt, która do tej pory trzymała się na uboczu, wkroczyła

do akcji, by uspokoić nastroje zgromadzonych - od wzburzonych nerwów sir Bascomba, przez radosne uniesienia lady Troy i przerażenie Mirandy, po rozwścieczenie Everarda. Pan Hastings głosem Charlotty namówił baroneta, by wraz z małżonką udali się do swych pokoi, gdzie odzyskają spokój, zdołają wrócić do siebie, a w późniejszym czasie zadecydują, czy rzeczywiście doszło do jakiejś niestosowności. Mirandzie polecił, by skorzystała z okazji i zebrała myśli w sypialni, zastanowiwszy się, czy rzeczywiście jest zaręczona. W tym czasie zaś ona, panna DeWitt, z przyjemnością zabawi lorda Everarda.

Sir Bascomb i lady Troy uznali to za roztropny plan, ale Miranda nie chciała nań przystać.

- Droga Charlotto, za nic nie zostawiłabym cię sam na sam z lordem Everardem - oświadczyła zdecydowanie.

- Nie wiem, czego się obawiasz, droga Mirando - odparł. - Dawno już przestałam potrzebować przyzwotki. Poza tym, mój kuzyn Feliks często mówił o lordzie Everardzie, tak że czuję się, jakbyśmy już się znali.

Wzrokiem dał jej znać, że życzy sobie, by opuściła pokój.

Miranda uparcie kręciła głową.

Podczas gdy sir Bascomb i lady Troy zajęli uwagę lorda Everarda uprzejmymi pożegnaniami, pan Hastings sięgnął po talię leżącą na stole i wyciągnął kartę, którą pokazał Mirandzie. Okazało się, że to czwórka kier. Gestem zachęcił Mirandę, by zrobiła to samo, co też uczyniła, posyłając mu nieufne wejrzenie. Pokazała mu kartę. Była to dwójka pik. Pan Hastings, który wylosował starszą, pomachał Mirandzie na pożegnanie.

Miranda wyobraziła sobie, że ledwie drzwi się za nią zamkną, dwaj mężczyźni natychmiast zewrą się w śmiertelnej walce umysłów, pięści i broni. Lecz, jako że potrafiła przegrywać z honorem, w końcu się wycofała.

Dobrze pan zna mego kuzyna, pana Feliksa DeWitta? - spytał pan Hastings najśłodszy głosem Charlotty. Przyniósł się blisko, sprawdzając, czy tamten go rozpozna.

Everard wzruszył ramionami.

- Nieźle.

Pan Hastings uznał, że Charlotta nie była dość atrakcyjna by zwrócić na siebie uwagę jego lordowskiej mości. A może obsesja na punkcie odszukania przeciwnika sprawiła, że nie umiał myśleć o niczym innym. Z całą pewnością wyglądał na człowieka pochłoniętego jedną myślą. Wokół oczu malowały mu się cienie z niewyspania. Mówił niecierpliwie jakby szkoda mu było nawet jednej chwili na uprzejmości. Zdaniem pana Hastingsa, wyglądał prawie jak

ktoś szalony. Rozumiał, czemu Miranda tak się wystraszyła.

- Byłem tu nadto długo. Wróć kiedy indziej. - Everard ruszył do drzwi.

- Proszę zostać, lordzie Everardzie.

- A po kiego licha?

- Sądzę, że zdołałabym panu pomóc. - Pan Hastings sięgnął po wachlarz i powachlował sobie szyję.

- Kim pani jest, u diabła?

- Zostaliśmy już sobie przedstawieni. Jestem Charlotta DeWitt, kuzynka Feliksa DeWitta, pańskiego znajomego.

Zdegustowany Everard machnął ręką.

- A co to, na Jowisza, ma do rzeczy?

- Uczęszczałam z panną Troy do szkoły. A co w tym momencie ważniejsze, jestem jej zaufaną przyjaciółką.

Pan Hastings obserwował, jak twarz lorda Everarda zmienia się, w miarę jak przetrawiał tę wiadomość. Już po chwili stała się równie przyjemna, jak jeszcze moment temu była odrażająca. Everard usiadł na sofie tuż przy panie DeWitt.

- Czy panna Troy wie, gdzie mógłbym znaleźć pana Hastingsa? - spytał.

Przysunąwszy nos tuż do nosa Everarda, pan Hastings szepnął:

- Może tak, może nie.

Lord Everard z trudem opanował rozdrażnienie.

- Oszukuje mnie pani!

- Ależ skąd. Sądzę, że wie, gdzie można go znaleźć, ale sądę też, że przysięgła nikomu nie zdradzić jego kryjówki.

- Namówię ją, by mi zdradziła - powiedział. Pięści miał zaciśnięte.

- Obawiam się, że to się panu nie uda.

- Dlaczegoż by nie? Nie może mnie darzyć antypatią. Wszak ledwo się znamy.

- Zdaje się, że kazano jej przysiąc dochowanie tajemnicy. Krążą plotki, że pan Hastings ma wroga, który chce mu wyrządzić krzywdę. Moja droga przyjaciółka Miranda zrobi wszystko, co w jej mocy, by go uchronić przed nieszczęściem.

Everard wił się jak na mękach. Po chwili oświadczył:

- Może dobrze by było, gdybym coś jej ofiarował. Podarunki doskonale rozwiązują kobietom języki.

Pan Hastings zaszczycił go jednym z najbardziej zachwyconych uśmiechów Charlotty.

- Jakiż pan mądry, że na to wpadł. Tak, trafił pan w samo sedno. Musi pan jej coś

podarować.

Everard zuł paznokieć.

- Dotarłem tak daleko. Nie mogę się ograniczyć do byle błyskotki czy czegoś w tym rodzaju.

- To musi być wielce imponujący prezent. W końcu pan Hastings dopiero co ofiarował jej elegancki naszyjnik. Co sprawiło, że - jeśli można tak określić - panna Troy stała się bardziej wybredna.

- Myślałem, że medalion wystarczy.

- Pan Hastings dał jej brylanty i szmaragdy.

- Hastings to łajdak i głupiec.

- Być może, ale ona go kocha.

- Cóż, w takim razie, dam jej broszę mej matki.

- Czy są w niej drogie kamienie?

- To rubin oprawiony w złotą koronkę z perłami.

- Mam nadzieję, że prawdziwy.

Everard omal nie zionął ogniem.

- Prawdziwy.

- W takim razie powinna się spodobać pannie Troy. Jeśli pan wróci z broszą w rękę, uzyska pan odpowiedź, której tak szuka.

Everard zerwał się na nogi.

- Nie mogę czekać tak długo.

Panna DeWitt posłała mu uśmiech.

- Cierpliwości, drogi panie, cierpliwości. Zaufania damy nie zdobywa się w ciągu godziny ani nawet dnia.

- Niech licho porwie cierpliwość! - warknął.

Ale jako że nie pozostawało mu nic innego, w końcu zgodził się okazać cierpliwość. Następnie się pożegnał, po czym panna Charlotta DeWitt - doprawdy szokujący widok - uniosła spódnicę i wykonała skoczną gige.

Miranda, która wyglądała przez szparę w drzwiach sypialni, natychmiast zobaczyła, kiedy pan Hastings wrócił do siebie. Nim zdołał zrobić jakikolwiek gest, znalazła się w środku.

- Wszystko zaplanowałam - powiedziała bez tchu. - Weźmiesz moją klacz, Dalilę, i ruszysz na wschód. Potem okrężnymi drogami uciekniesz jakoś do Irlandii. Ojciec ma tam

mająteczek. Wyślę list, który zapewni ci dobre przyjęcie. Pomogę ci się spakować.

Natychmiast przystąpiłaby do wyciągania z szafy jego halek i sukni, gdyby nie chwycił jej za ramię.

- Nie zamierzam wyruszać do Irlandii - oznajmił z czarującym uśmiechem.

- Musisz uciekać!

- I stracić całą zabawę? Wykluczone, moja najmilsza.

- Nie rozumiesz, Charles? Everard tu jest!

- Oczywiście, że jest. Posłałem po niego.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- No, może niedokładnie posłałem po niego. Ale wiedziałem, że gdy się pojawię na balu, rozniesie się plotka, iż widziano pana Hastingsa w Togbury, gdzie umizgiwał się do panny Troy. Zdawałem sobie sprawę, że to tylko kwestia dni, by zastukał do drzwi Opactwa Arundel.

Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek.

- Czy dlatego ze mną tańczyłeś i racyłeś słodkimi słówkami? By rozniosła się plotka? By w ten sposób „posłać” po Everarda?

Przyciągnął ją do siebie.

- Sądzę, że jesteś we mnie zakochana do szaleństwa. Inaczej tak by cię to nie oburzyło.

Nie dosłyszał odpowiedzi, jako że Miranda twarz miała ukrytą na jego piersi.

- Mam nadzieję, że właśnie przyznałaś, że rzeczywiście mnie kochasz, bo ja cię kocham i obiecuję: nie zamierzam uczynić cię wdową, nim jeszcze poprowadzę cię przed ołtarz.

- Jak go powstrzymasz? - spytała, podnosząc ku niemu twarz zalaną łzami.

- Nie będę go powstrzymywać.

- Och, Charlesie, chyba nie chcesz oddać się w jego ręce?

- *Bynajmniej. Charlotta go powstrzyma. A ty jej w tym pomożesz. Z dwiema tak wspianiałymi damami u boku po prostu nie mogę przegrać.*

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ZARĘCZYNY

Siódma reguła Hastingsa: W życiu każdego wielkiego człowieka, w życiu każdej wyjątkowej kobiety, co więcej, w życiu każdej istoty - nadzwyczajnej czy przeciętnej - pojawia się punkt zwrotny, kiedy to podejmuje się ryzyko albo nie i wszystko zależy od tego wyboru. Jeśli człowieka opuści szczęście, może to się skończyć tragicznie, nawet śmiercią. Jeśli szczęście mu dopisuje, może się to skończyć nawet błogością po kres jego dni. Tak czy owak, zawsze stanie się tak, jak tego sobie życzy Fortuna. Oczywiście, przezorność, panowanie nad sobą, a co najważniejsze: przebiegłość znacznie, znacznie jej pomagają.

Lord Everard nie zwlekał ze zdobyciem broszy i już wkrótce pojawił się w Opactwie z klejnotem w dłoni.

- Przyniósł ją pan? - przywitał go pan Hastings, ledwo gość przekroczył próg cedrowej bawialni. Głos Charlotty brzmiał miękko i łagodnie.

- Oto ona.

Wyjąwszy mu z dłoni małą, skórzaną sakiewkę, pan Hastings rozwiązał tasiemki i wyciągnął błyskotkę. Obracał ją w rękach, podszedł do okna i przyglądał się jej pod światło, próbował ugryźć kamień i bacznie go obejrzał pod lupą sir Bascomba, którą właśnie w tym celu pożyczył.

Lord Everard nerwowo krążył po salonie.

- Zapewniam panią, jest jak najbardziej oryginalna.

- Nie wątpię, panie - odrzekł pan Hastings z przymilnym uśmiechem - lecz panna Troy może panu nie uwierzyć. Muszę się upewnić, że nie uzna pana za oszusta, łajdaka, drania, kłamcę, blagiera, krętacza, szachraja, odrzyskórę albo naciągacza.

Słyszac tę listę epitetów, jego lordowska mość posłał mu mordercze spojrzenie.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałam nic niewłaściwego - zatroskała się panna DeWitt.

- Gdzie jest panna Troy? Dam jej broszę i wyciągnę odpowiedź.

- Wielkie nieba, cóż na gwałtowna istota! - zawołał pan Hastings. - Ach, coś nadzwyczaj męskiego emanuje z tak gwałtownego mężczyzny!

Everard z nie skrywanym niesmakiem popatrzył na pannę DeWitt.

- Ale, błagam, milordzie, nie bądź tak gwałtowny wobec panny Troy. Tylko by się

wystraszyła. Czy umiesz się pan zachowywać dwornie?

- Co, u licha, pani sobie wyobrażasz? Oczywiście, że umiem.

- W takim razie, upraszam, przywołaj pan teraz na pomoc swą dworność.

Pan Hastings zadzwonił na służącego, by przyprowadził pannę Troy, i nie minęło pół minuty, a Miranda znalazła się w bawialni.

Wziąwszy do serca sugestię panny DeWitt, Everard przywitał Mirandę uprzejmie. Rozprawiał na zwykłe tematy: pogoda, stan dróg, ploteczki ze stolicy. Kiedy uznał, że panna Troy wyzbyła się wszelkich obaw, spytał, czy mógłby jej ofiarować coś na dowód swego poważania.

- Muszę panu odmówić, milordzie - odparła Miranda. - Dobrze wychowana dama nie przyjmuje upominków od mężczyzny, chyba że mają się pobrać.

Everard posłał pannie DeWitt niespokojne spojrzenie, a ona tylko pogodnie skinęła głową i dalej zajmowała się robótką, polegającą na wtykaniu igły i udawaniu haftu.

- Jednakowoż - ciągnęła Miranda - z przyjemnością na niego zerknę.

Wyjął broszkę z sakiewki i położył Mirandzie na dłoni.

Dziewczyna obracała ją w ręku, podniosła do światła, zębami sprawdziła twardość rubinu, po czym - wzięwszy od panny DeWitt lupę sir Bascomba - bacznie przyjrzała się błyskotce.

- Wyjątkowo piękna - oświadczyła, przykładając ją do żółtej sukni, by sprawdzić, jak by do niej pasowała. - Prawdziwa szkoda, że nie mogę jej przyjąć.

Everard wstał i już chciał wyjąć Mirandzie klejnot z ręki, gdy dodała:

- Gdyby jednak tak się złożyło, że przypadkowo by ją pan tu zostawił, a ja bym ją znalazła, nie znając właściciela, musiałabym ją zatrzymać. Jakżeby nie zatrzymać czegoś tak ślicznego?

Łypnął na nią podejrzliwie.

- Nie mam w zwyczaju gubić kosztownych klejnotów, panno Troy, jeśli nie otrzymam w zamian czegoś równie cennego.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wezmę to sobie do serca, milordzie. Tak samo jak i broszkę.

Przypięła ją do piersi i spytała pannę DeWitt, czy nie wygląda pięknie.

- Wygląda bardzo ładnie - przyznał spokojnie pan Hastings.

- Mam gdzieś, jak to wygląda! - krzyknął Everard. Chwycił Mirandę za ramiona i mocno potrząsnął. - Mów, gdzie się ukrywa ten drań!

W jednej chwili panna DeWitt odłożyła robótkę i wkroczyła do akcji. Z

niespodziewaną u dobrze wychowanej damy siłą rozdzieliła tę dwójkę. Miranda pisnęła, przyłożyła rękę do skroni i wypadła z bawialni. Słychać było żalosne szlochanie, gdy biegła po schodach na górę.

- I cóż ja mam z panem począć? - kręcił głową pan Hastings, splatając ramiona na piersi. - Ostrzegałam, a pan jednak nie zapanował nad swoją gwałtownością. Teraz proszę, oto skutki.

Rozzłoszczony na siebie Everard przeciągnął ręką po włosach.

- Bodaj by ją licha porwało. Wzięła moją broszkę.

Powinna mi była odplacić równie hojnie.

- I zostanie panu hojnie zapłacone, milordzie. Nawet z nawiązką. Ale pod warunkiem, że przestanie pan wszystko psuć.

- Doskonale, co w takim razie mi pani radzisz?

- Musisz pan odwiedzać pannę Troy, zaprzyjaźnić się z nią, gawędzić z nią, grać z nią w karty, szukać u niej rady w takiej czy innej kwestii. Nic bardziej nie raduje serca kobiety, jak gdy jest potrzebna.

- Nie potrzebuję jej rad. O co, u licha, mógłbym ją prosić?

- Już mam! Poproś ją pan, by ci pomogła w napisaniu listu - listu miłosnego. Młode damy nade wszystko przepadają za listami miłosnymi.

- W życiu nie napisał listu miłosnego.

- I dlatego będziesz pan potrzebował jej pomocy, nie widzisz tego, milordzie?

- Powie mi, gdzie jest Hastings?

- Ręcę, że tak.

- W takim razie wrócę jutro na pogawędkę, karty i listy miłosne.

Wstał i skierował się do wyjścia. Przy drzwiach obrócił się ze słowami:

- Nie wiem, czemu zawdzięczam pani ochotną pomoc i radę, panno DeWitt. Wszak nie znamy się dobrze, a mnie i pani kuzyna trudno nazwać serdecznymi druhami.

Pan Hastings powiódł wzrokiem po salonie, by sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, wyznał:

- Nie chcę, by pan Hastings ożenił się z panną Troy.

Everard skinął głową.

- Żywisz pani do niego jakąś urażę?

- Można to tak określić. To karciarz. Nie wierzę, by karciarz mógł stać się dobrym mężem. A co więcej, to bałamutnik. Niechże pan sobie wyobrazi, że próbował flirtować nawet ze mną! No i na domiar nieszczęść wcale nie ukrywał się ze swoją kochanką. Wszak

on złamie serce biednej Mirandzie!

Jego lordowska mość z niedowierzaniem przypatrywał się damie.

- Jesteś pani pewna, że Hastings z tobą flirtował?

- Powiedział, że o niczym bardziej nie marzy, niż ujrzeć mnie bez gorsetu i halek! -

odrzekł pan Hastings wysoko zadzierając brodę.

Everard pokręcił głową.

- Przypuszczam, że to ten cios w głowę mu tak zaszkodził.

- Jaki cios w głowę?

- Nieważne. Cieszy mnie, że obojgu nam przyświeca ten sam cel: dowiedzieć się, gdzie przebywa Hastings, i pozbyć się go raz na zawsze.

Panna DeWitt podała mu rączkę okrytą rękawiczką.

- Jak pan to robi, że potrafi każdą myśl ująć tak akurrotnie?

Jeszcze raz baczniej jej się przyjrzał.

- Daję słowo, nie jest z pani taka pokraka, jak początkowo sądziłem - oświadczył.

Nagrodziła go promiennym uśmiechem.

Wzruszył ramionami i zniknął.

Zjawiwszy się następnego ranka, zastał Mirandę i pannę DeWitt przy stoliku, zajęte rozkładaniem suszonych ziół. Miranda miała przypiętą broszkę. Powitała go ciepło i zostawiła przyjaciółkę przy stole, sama siadając przy gościu obok kominka.

- Charlotta wyjaśniła mi powody pańskiego wczorajszego zachowania - świergotała - i prawie już panu darowałam. Biedaczek. Nie miałam pojęcia, że pan tak cierpi z miłości. Ale muszę zachować milczenie. To ogromny sekret. Nie wspomnę o tym ani słowem. Będziemy rozprawiać o innych rzeczach. Czyż nie tak, lordzie Everardzie?

- Tak, pomyślałem sobie, że moglibyśmy pogawędzić.

- Cóż za czarujący pomysł. O czym będziemy gawędzić?

Rzucił pannie DeWitt błagalne spojrzenie, lecz nie miał co liczyć na pomoc z tamtej strony, gdyż uwagę damy całkowicie pochłonęły zioła. Wreszcie go olśniło.

- Niech pani wybierze temat.

- No cóż, w takim razie chciałabym porozmawiać o grze w karty.

Roześmiał się cynicznie.

- A co pani może wiedzieć o grze?

- Bardzo wiele. Widzi pan, pan Hastings napisał książkę na ten temat i nauczyłam się na pamięć reguł, które w niej zawarł.

Następnie uraczyła jego lordowska mość cytatai kolejnych reguł Hastingsa. Z każdym zdaniem czoło lorda się chmurzyło, a wargi zaciskały coraz mocniej.

- Zdaje się, że dość już się nagawędziliśmy - oznajmił, gdy wreszcie przerwała. - Co byś pani powiedziała na małą partyjkę w karty?

- Z przyjemnością.

Przeszli do stołu i zajęli miejsca daleko od Charlotty.

- Jaką grę pani wybierasz? - spytał Everard z wymuszoną uprzejmością.

Miranda nie posiadała się ze zdumienia, że jeszcze nie wyskoczył ze skóry, bo był tak spięty jak mocno naprężona cięciwa.

- Pikietę - odparła.

Tu Everard wreszcie odrobinę się odprężył. Na jego twarzy zagościł chytry wyraz.

- Służę pani z prawdziwą rozkoszą.

- Och, ale nie pozwalaj mi pan wygrać, milordzie. Jeśli mi się to uda, zwycięstwo muszę zawdzięczać swym umiejętnościom, nie pańskiej łaskawości.

Everard uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jak pani sobie życzy, panno Troy. Jestem do pani usług.

Zerknął na pannę DeWitt, która z aprobatą kiwała głową.

Rozpoczęli grę, a choć Miranda radziła sobie nieźle, jego lordowska mość bił ją na głowę.

- Prawdziwe szczęście, że nie gramy na pieniądze - zwróciła się do Everarda. - Ach, czyż nie byłoby cudownie, gdyby pan zmierzył się z panem Hastingsem? To dopiero byłby wyrównany pojedynek.

Wyglądało na to, że lord zapamiętał sobie nauczki z wczorajszego dnia. Zamiast zaatakować pannę wprost, stwierdził:

- Właściwie to grałem w pikietę z panem Hastingsem. I po tej grze wiele mu jestem winien. Lecz nie mogę spłacić długu, bo nie wiem, gdzie przebywa.

Miranda odpowiedziała skromnym uśmiechem.

- Pani, jako jego narzeczona, zapewne wie, gdzie go znaleźć - naciskał dalej.

Niechętnie skinęła głową.

Everard pochylił się do niej.

- Czy zdradzi mi pani, gdzie? Niech mi pani wierzy, nie zaznam spokoju, póki nie wyrównam z nim rachunku.

- Nie mogę panu tego zdradzić. To tajemnica.

Dłużej już nie mógł zapanować nad zniecierpliwieniem. Wstał i zapewne rzuciłby coś

obraźliwego, gdyby nie interwencja panny DeWitt.

- Droga Mirando, może już cię znużyła gra w karty. Może spróbujecie inaczej zabić czas.

To mówiąc posłała znaczące spojrzenie lordowi Everardowi, który, po dłuższej chwili opanowywania wzburzonych nerwów, pojął aluzję.

- Panno Troy - odezwał się z udaną grzecznością - czy byłaby pani tak łaskawa i pomogła mi napisać list?

Miranda zaszczyciła go uśmiechem.

- To dla mnie honor.

Tak się złożyło, że panna DeWitt znalazła akurat pod ręką kartki i pióro. Położyła je na stole i zostawiła tę dwójkę własnemu losowi. Zanim opuściła salon, z aprobatą skinęła głową Everardowi.

- Jaki list pragnie pan napisać? - zwróciła się do jego lordowskiej mości Miranda.

Głęboko odetchnął i wzniósł oczy ku niebu.

- Chyba miłosny.

Miranda klasnęła w dłonie.

- Ach, nie znam nic miłszego nad listy miłosne!

Podala mu czystą kartkę. Zanurzwszy pióro w atramencie, wręczyła je lordowi.

- A więc od czego zaczniemy?

- Liczyłem, że ty, pani, mi pomożesz.

- Proponuję, byś zaczął pan od: „Ukochana”. Okaże pan w ten sposób swoje uczucia, nie popadając w ckliwość.

Napisał: „Ukochana”.

- Teraz zaś musi pan napisać, co w jej wyglądzie i charakterze wzbudziło pański afekt. Co?

- Nie mam pojęcia.

- Wszak musiałeś pan dostrzec u swej wybranki coś, co pana zachwyciło?

- Wybranka jak to wybranka. Wszystkie są mniej więcej takie same.

Miranda ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od zgrzytnięcia zębami.

- Teraz już wiem, czemu pan potrzebuje pomocy - oświadczyła słodko. - No, nic. W takim razie podyktuję panu.

Po czym wyprodukowała list, z którego sam Kupido byłby dumny. Znalazły się w nim zachwyty nad czułym sercem i delikatnymi rączkami damy, jej kształtnymi nogami i wargami, słodkim oddechem i słodkim łonem. Głosił pochwałę jej charakteru i cnoty oraz

wyrozumiałości, z jaką pozwala swemu unizonemu słudze kierować do niej te słowa. Kończył się wyrazami nadziei, że pewnego dnia połączy ich węzeł małżeński, a on będzie mógł ją pochwyć i uczynić swoją na wieki.

Skończywszy pisanie Everard ze ściągniętymi brwiami popatrzył na list. Miranda uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, że to zaledwie cząstka tego, co pragnąłby pan powiedzieć, ale sądzę, że pańskiej damie i tak się spodoba.

- Skoro już pogawędziliśmy, pograliśmy w karty i sporządziliśmy list miłosny, muszę ponownie panią spytać, panno Troy: gdzie mogę znaleźć pana Hastingsa?

Spuściła głowę. Milczała.

- Dałem ci tę diabelną broszkę! - ryknął. - Musisz odpowiedzieć!

- Nie przyjmuję kosztownych prezentów od panów, których ledwo znam - odrzekła urażona. - Znalazłam tę broszkę. Ktoś ją tu zostawił!

Tak go to rozwścieczyło, że wstał i szarpnięciem poderwał Mirandę z krzesła. Otoczył rękami jej szyję i już miał zacisnąć dłonie, gdy weszła panna DeWitt.

- Fe, milordzie! - skarciła go. - Fe! To tak pan słucha moich rad?

Wycofał się pod ścianę i ciężko dysząc mierzył Mirandę morderczym wzrokiem.

Podczas gdy Miranda wachlowała się i wyglądała, jakby lada chwila miała zemdleć, panna DeWitt pospiesznie zaprowadziła jego lordowską mość do drzwi.

- Omal wszystkiegoś pan nie zrujnował - szepnęła. - Wróc jutro. Do tej pory ja wszystko naprostuję. Tylko nie zawieź mnie, panie, bo będę musiała cię zostawić na łaskę i niełaskę twych godnych pożałowania metod.

Bez pożegnania wypchnęła go za drzwi. Wróciwszy do bawialni pan Hastings wymienił z Mirandą uśmiechy.

- Jest taki wściekły - stwierdził - że będzie najłatwiejszą ofiarą, jaka wpadnie do mego mieszkania.

- Chodź - powiedziała Miranda - przeczytaj list. Sądzę, że będziesz zadowolony.

Pan Hastings śmiał się, czytając. Był tak zachwycony, że nisko się skłonił jego autorce. Następnie podniósł ją wysoko i wirował z nią po pokoju.

Tylko w jeden sposób możesz pan okupić swe zachowanie - powiadomiła następnego ranka panna DeWitt lorda Everarda, gdy zjawił się z wizytą.

- Daję słowo, tracę cierpliwość do tej damy.

- A ona panu nie ufa. Podejrzewa, że pan jest właśnie tym, który czyha na pana

Hastingsa.

Na tę wieść w jego oczach zapłonął ogień.

- Oczywiście zapewniłam ją, że nie żywi pan względem pana Hastingsa żadnych złych zamiarów.

- Wielcem zobowiązań.

- To prawda, milordzie, gdyż musiałam użyć podstępu, by po jego niestosownym zachowaniu ponownie wzbudzić w sercu panny Troy zaufanie do pana. Bardzo mnie bolało, że muszę kłamać. Mym dążeniem jest całkowita prawdomówność wobec wszystkich. Wstręt budzą we mnie ci, co się podają za osoby, którymi nie są.

- Byłbym wdzięczny, panno DeWitt, gdyby raczyła przejść pani do rzeczy.

- Powiedziałam jej, że się zaręczyliśmy.

Jego lordowskiej mości ze zdumienia odjęło mowę.

- Jedynie w ten sposób mogłam odzyskać jej zaufanie. Jako że stał się pan narzeczonym jej najdroższej przyjaciółki, będzie starać się zawsze dobrze o panu myśleć. Co więcej, już dobrze o panu myśli. Wyjaśniłam jej, że należysz pan do ludzi o gwałtownym temperamencie i że właśnie to najwięcej u pana podziwiam.

- I uwierzyła pani?

- Nie miała powodów, by mi nie wierzyć. Do tej pory zawsze mówiłam jej prawdę. Teraz zaś nadeszła pora, byś pan odegrał swoją rolę, milordzie. Musi się pan zachowywać, jakbyśmy się zaręczyli. W obecności panny Troy lub innych członków rodziny musisz pan nie widzieć poza mną świata, wpatrywać się we mnie miłośnie i zalecać się do mnie. Jeśli nie uda się panu ich przekonać, wszystko stracone.

Niemal namacalnie czuło się rozpacz Everarda.

W tym momencie do bawialni wkroczyli Miranda z rodzicami. Uprzejmie powitali lorda Everarda, a gdy prosili, by zechciał spocząć, Miranda zachichotała konspiracyjnie.

- Mam nadzieję, że nie zjawiłeś się pan tu, by ponownie obrażać mą córkę - oświadczył sir Bascomb.

- Upraszam o wybaczenie, jeśli kogokolwiek uraził - odrzekł sztywno Everard. - Nie byłem wtedy sobą.

- Ja już od tygodni nie byłam sobą - zauważyła panna DeWitt z ciężkim westchnieniem.

- Cóż cię nęka, droga Charlotto? - zatroszczyła się lady Troy. - Czyżby nawrót gorączki?

Panna DeWitt schowała twarz. Zaczęła okazywać niezwykle u niej zatrzwożenie.

- Och, proszę mnie nie pytać! Och, nie! Och, jakież męki przechodzę!

Sir Bascomb i lady Troy wymienili zdziwione spojrzenia. Zwrócili się do Mirandy, u córki szukając wyjaśnienia tego wzburzenia przyjaciółki. Nigdy jeszcze nie widzieli, by ta rozsądna młoda dama zachowywała się tak dziwnie.

Miranda zachichotała, wreszcie wypaliła:

- Charlotta się zaręczyła, mammo! Och, papo, czyż to nie cudowne? Zakochała się!

Baronet wraz z małżonką wielce się uradowali na tę wieść, gdyż ogromnie polubili tę panienkę.

- I kimże jest jej wybranek? - spytała lady Troy.

Przysunawszy się do lorda Everarda i wsuwając mu rękę pod ramię, panna DeWitt odrzekła:

- Ten oto dżentelmen, lord Everard.

Przez wzgląd na drogą Charlotte baronet i milady za wszelką cenę usiłowali okazać radość.

- Winszuję pani - odezwał się z powątpiewaniem sir Bascomb.

Lady Troy zalała się łzami.

- Och, życzę ci szczęścia, Charlotto. Wiem, że jesteś prawdziwą czarodziejką, bowiem przemieniłaś panią Hastings ze zrozczonej kobiety w dawną, pogodną przyjaciółkę. Pozostaje mi wierzyć, że i lorda Everarda uda ci się podobnie przemienić. Milordzie, to panu należą się powinszowania. Zdobył pan prawdziwy skarb.

Panna DeWitt szturchnęła oblubieńca pod żebro, by udzielił właściwej odpowiedzi. Po krótkim wahaniu, podniósł do ust jej zasłoniętą rękawiczką dłoń.

- Postaram się zasłużyć na szczęście - odparł. Uśmiechając się żałośnie, podziękował Mirandzie i jej rodzicom za ich dobre życzenia. - Czy mogę ci coś przynieść? - spytał troskliwie pannę DeWitt. - Powiedz jedno słowo, a dam ci to.

- W swoim namiętym liściku - krygowała się Charlotta - nazywałeś mnie ukochaną. Pragnę, byś zawsze tak się do mnie zwracał.

- Ukochana - powiedział lord Everard, choć w jego oczach błysnęły sztylety.

- Zamierzamy żyć wielce radośnie, gdy już się pobierzemy, nieprawdaż, Everardzie? - kląskawa Charlotta.

Wzniósł oczy ku niebu.

- Co tylko sobie życzysz, ukochana.

Sir Bascomb i lady Troy przyglądali się tej scenie z nie skrywanym bólem. Miranda zaś z nie skrywanym rozbawieniem.

Złożywszy wachlarz, Charlotta postukała nim lorda Everarda po policzku.

- Teraz już idź, najdroższy. Jutro, gdy znowu się zjawisz, będę miała dla ciebie upominek.

- Jaki upominek?

Śmiejąc się dźwięcznie, uderzyła go wachlarzem w policzek, aż klasnęło.

- To tajemnica. Wszystkiego dowiesz się jutro.

- Niech to diabli porwą! Kolejne jutro!

Rozpromieniona panna DeWitt popatrzyła na zebranych.

- Okropny z niego maruda, prawda? Och, ale jest taki cudowny! Czy ty też uważasz mnie za cudowną, Everardzie.?

A jako że jego lordowska mość już się salwował ucieczką, Charlotta sama musiała zapewnić wszystkich, że uważał ją za cudowną pod każdym względem.

Ledwo panna DeWitt opuściła bawialnię, unosząc się na chmurce odwzajemnionej miłości, sir Bascomb i lady Troy poddali Mirandę przesłuchaniu.

- Czy ona zdaje sobie sprawę, że Everard to najgorszy łobuz, nędzny karaluch, największy plugawiec i oszust w całej Anglii? - pinił się sir Bascomb.

- Zdaje się, że tak - odparła spokojnie Miranda.

- Och, tylko nie mów, że wychodzi za niego dla tytułu! - błagała lady Troy. - Jest zbyt rozsądna, by się do czegoś takiego zniżyć. No i nie może kochać jego bogactwa, bowiem całe przepuścił.

Miranda podeszła najpierw do jednego, potem do drugiego i serdecznie ucałowała rodziców.

- Kochani jesteście, że tak się niepokoiacie o Charlottę. Polubiliście ją, prawda?

- Pokochaliśmy ją - oświadczyła lady Troy.

- Nie podoba mi się, kiedy rozsądne dziewczęta opuszczają całkiem wygodny dwór - oznajmił ponuro sir Bascomb - zwłaszcza jeśli zamierzają wyruszyć z kimś takim jak Everard. Miałem nadzieję, że panna DeWitt zostanie w Opactwie. Wiedziałem, że te powalone drzewa to zły znak.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ich Miranda. - Nasza droga Charlotta nad wszystkim panuje.

Posłuszny rozkazowi panny DeWitt lord Everard zjawił się następnego dnia. Kiedy go wprowadzono do bawialni, panna DeWitt siedziała zupełnie sama, pogrążona w lekturze.

Podniosła wzrok na Everarda.

- Dowiedziałam się wszystkiego - powiadomiła go.
- Panna Troy powiedziała pani, gdzie znaleźć Hastingsa?
- Wszystko to jest napisane czarno na białym.

Podła mu liścik.

Otworzył go i przeczytał. Skończywszy zapatrzył się w przestrzeń z przedziwnym wyrazem twarzy, wyrazem, którego pan Hastings nigdy przedtem u niego nie widział. Początkowo nie wiedział, co to może być. Ale po jakimś czasie go rozpoznał. To był prawdziwy, szczery uśmiech.

ZAKOŃCZENIE

PIK, REPIK I KAPOTA

Nie do wiary. Skończyłam plan ogrodu. Jest dopracowany w najmniejszym szczególe i patrzę nań z prawdziwą dumą. Lecz nie dane mi będzie go realizować w Opactwie Arundel. Pan Hastings twierdzi, że chce go mieć w Sadach Clarendon. A jest przy tym tak dobry, by powiadać, że skoro przerobię majątek na lepsze, mogę przerobić na lepsze i jego właściciela. Ja zaś jestem tak dobra, by zapewniać, że nie potrzebuje żadnych zmian na lepsze. On z kolei jest na tyle dobry, by upierać się, że potrzebna mu przynajmniej jedna zmiana na lepsze: żona. I tak przebijamy się bez końca: całkiem zwariowani, bezgranicznie szczęśliwi. Istny cud, że nie znudziło mi się planowanie krajobrazu. A jeszcze większy cud, że nie znudził mi się pan Hastings. Pan Hastings obiecuje wciągnąć mnie do tak szaleńczego tańca, że mogę stracić siły, lecz z pewnością nie będę się nudzić. Wierzę mu. I w jedno, i w drugie.

Jako że niespodziewanie nastąpiła wiosenna pogoda, nad zaśnieżoną okolicą podniosła się mgła, osnuwając też lasek. Brzask zapowiadał słoneczny dzień. Pan Hastings stał przy buku, czekając na wschód słońca. Miał na sobie męski strój: czarne spodnie, które mógłby włożyć do Brooksa czy Boodle'a, lśniące, wysokie buty, ciemnozielony surdut z czarnym, aksamitnym kołnierzem, kamizelkę w kolorze kości słoniowej, białą koszulę oraz fular. Prezentował się bez zarzutu.

Przy nim stała Miranda - również w ubraniu pana Hastingsa - bryczesach, białych pończochach, o wiele za dużych butach do konnej jazdy oraz innych częściach męskiej garderoby, ukrytych pod obszerną peleryną. Cudowne, bujne włosy schowała w wysokim kapeluszu, na twarz zaś przywołała zdecydowaną minę, która - jak sobie wyobrażała - upodobniała ją do mężczyzny.

Kilkanaście jardów od nich stał lord Everard, ładując pistolet. Gdy już uznał, że jego śmiercionośna broń jest gotowa, dał znak przeciwnikowi, że mogą zaczynać. Widząc sygnał, pan Hastings szepnął cicho do Mirandy.

- Módl się, by szczęście mnie dziś nie opuściło.

I wolno ruszył w stronę Everarda.

Kiedy obaj mężczyźni stanęli twarzami do siebie, lekarz, którego przywiózł pan Hastings, wysunął się naprzód.

- Gdzie pański sekundant, milordzie? - zwrócił się do Everarda.

- Nie potrzebuję sekundanta.

Nie patrzył na lekarza, wzrok wbił w pana Hastingsa. Nie ulegało wątpliwości, że nie może się doczekać, kiedy przystąpi do dzieła.

Lekarz z powagą potrząsnął głową.

- Pan Hastings przyprowadził sekundanta. Sam pan widzi, oto pan Smith, gotów reprezentować przyjaciela.

Ręką pokazał Mirandę. Lord Everard nawet na nią nie zerknął. Widział jedynie pana Hastingsa.

- Niech diabli porwą pana Smitha - warknął.

- Upraszam o wybaczenie, milordzie, lecz trzeba się trzymać pewnych reguł. Obaj panowie muszą mieć sekundantów. Bez nich nie można rozstrzygać spraw honorowych.

Everard rzucił lekarzowi pogardliwe spojrzenie i dalej wpatrywał się w pana Hastingsa. Lekarz pokręcił głową. Z takich podejrzanych sytuacji może wyniknąć tylko tragedia. Bezradnie wzruszywszy ramionami, podszedł do gigu, wspiął się na siedzenie i obserwował.

Pan Hastings, który nawet nie drgnął, odpowiedział uśmiechem na mordercze wejrzenie Everarda. Obaj mężczyźni stali po kolana w gęstej mgle. Everard trzymał ciężki pistolet. Ręce pana Hastingsa były puste.

Przebrana za pana Smitha Miranda zbliżyła się do mężczyzn.

- Panowie - oświadczyła chrapliwie - odliczę teraz dwadzieścia kroków. Każdy z panów ma prawo do jednego strzału.

- Dziękuję, panie Smith - odparł pan Hastings. - A teraz proszę, bądź pan łaskaw zejść z linii strzału.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Proszę mi przysiąc, panie Hastings, że nie da się pan zabić.

Everard coraz bardziej się niecierpliwił. Podnosił i opuszczał broń.

- Panie Smith! - rozkazał pan Hastings. - Proszę się odsunąć.

- Niech pan przysięgnie!

- Co za uparta ko... uparty kozioł!

- Owszem, uparty. Niech pan przysięgnie!

Everard obliznął wargi.

- Czyżbyś specjalnie odwlekał pojedynek, Hastings?

Pan Hastings uśmiechnął się i choć patrzył na Everarda, odpowiedział Mirandzie:

- Przysięgam, że nie dam się zabić. A teraz zrobisz, co ci mówię?

- Kocham cię - szepnęła mu do ucha i odeszła pod drzewo. Stamtąd kazała przeciwnikom się odwrócić i odliczyć kroki.

Po dwudziestu krokach obaj okręcili się na pięcie i stanęli twarzami do siebie. Everard podniósł pistolet i wycelował w głowę pana Hastingsa.

- Zanim wystrzelisz, Everard - odezwał się przyjacielskim tonem pan Hastings - muszę zauważyć, że po raz kolejny wyszedłeś na głupca.

Po twarzy Everarda przemknął gniewny grymas.

- Gdzie, u licha, twoja broń?

Pan Hastings podniósł ręce, pokazując, że nie ma broni.

- Tchórz!

- Skądże, tyle że nie widziałem powodu, by wymachiwać pistoletem, skoro i tak cię pokonałem.

- Będę strzelał, niezależnie do tego, czy masz broń, czy nie.

- Widzisz, milordzie - ciągnął pan Hastings, jakby tamten nic nie powiedział - kiedy wyobrażałeś sobie, że umizgujesz się do panny Charlotty DeWitt, w rzeczywistości umizgiwałeś się do mężczyzny.

Lord Everard potrzebował dłuższej chwili, by to do niego dotarło. A gdy już dotarło, przechylił głowę na bok.

- Bredzisz.

- Drogi lordzie Everardzie - odezwał się pan Hastings łagodnym głosem Charlotty - zaręczyłeś się ze mną, swoim śmiertelnym wrogiem, Charlesem Hastingsem. Własną dłonią napisałeś do mnie list miłosny. Obdarowałeś mnie przepiękną, rubinową broszą, należącą do twej szlachetnej matki. W obecności sir Bascomba, lady Troy oraz ich córki pocałowałeś mnie w rękę, zalecałeś się do mnie i potwierdziłeś nasze zaręczyny. Gdyby rozeszła się wieść o takich zalotach, stałbyś się pośmiewiskiem wszystkich.

Everard zionął nienawiścią.

- Jeśli to, coś powiedział, jest prawdą, to jesteś najbrzydszą babą, jaką w życiu oglądałem.

Opuścił pistolet i wymierzył w serce pana Hastingsa.

- Ładnie to mówić tak do wybranki, to jest: wybranka, którego zamierza się poślubić? Fe, milordzie, fe.

- Zastrzelę cię i nikt się nie dowie o sprawie.

- Mylisz się - odparł pan Hastings normalnym głosem. - Wieść się rozniesie. Gdyby cokolwiek mi się przytrafiło, plotka rozprzestrzeni się po stolicy szybciej niż Wielki Pożar.

Wysłałem drogiemu kuzynowi panny DeWitt, Feliksowi, instrukcje. Już on dopilnuje, by wszyscy się o tym dowiedzieli.

Everard oblizwał suche wargi.

- A gdyby zastrzelił cię ktoś inny lub padłbyś ofiarą nieszczęśliwego wypadku?

- Niezależnie od tego, w jaki sposób zejdziesz z tego świata, wszystko zostanie rozgłoszone, gdy tylko pojawi się choćby pogłoska o moim zgonie.

W tej samej chwili w Everardzie coś umarło. Płomień nienawiści, który płonął w jego oczach, przygasł. Lord chwilę stał nieruchomo, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w przestrzeń, po czym zdecydowanym krokiem podszedł w stronę drzewa, do którego przywiązał konia, zamierzając odjechać w dal.

Zbliżywszy się do drzewa, przy którym stała Miranda, znieruchomiał. Gwałtownym ruchem chwycił ją od tyłu. Stłumiła okrzyk, nie chcąc się zdradzić. Szarpała się jedynie i kopała go. Na próżno. Zaslaniając się nią jak tarczą, z pistoletem przyłożonym do jej głowy, Everard ponownie ruszył do pana Hastingsa.

- Skoro nie mogę zabić ciebie - oświadczył - będę zmuszony zabić twego pana Smitha.

- Nie radziłbym - odparł pan Hastings tak zimno, tak cicho, że Mirandę - choć wydawało się to niemożliwe - ogarnęło jeszcze większe przerażenie. Nigdy nie słyszała w jego głosie tak lodowatej furii. - Może powinienem był dodać, że gdyby komukolwiek z moich przyjaciół czy rodziny przydarzyło się jakieś nieszczęście, winą zostaniesz obarczony ty. Feliks zareaguje tak samo, jak gdybym to ja zginął. Spodziewam się, że resztę życia spędzisz bacząc z wyjątkową troską, by mnie i moim bliskim nie przytrafiło się nic złego. Oczywiście, o ile zamierzasz pozostać w Anglii.

Everard zmarszczył brwi. Wyglądał na niezdecydowanego. Podczas, gdy on zastanawiał się, co wybrać, Miranda, która do tej pory się wrywała, cofnęła się niespodzianie, cały ciężar ciała, a w szczególności łokieć kierując na brzuch swego prześladowcy. Zgiął się w pół. Rzuciła się na parującą ziemię, podczas gdy pan Hastings rzucił się na Everarda.

Podniósłszy wzrok, Miranda zobaczyła, jak ci dwaj się ze sobą zmagają. Stali ze wzniesionymi rękami, walcząc o pistolet. W końcu pan Hastings zmusił Everarda, by wypuścił broń. Upadła na pożółkłą trawę. Ledwo dotknęła ziemi, wystrzeliła.

Na huk strzału przypędził lekarz z torbą. Lord Everard siedział na ziemi, ściskając stopę. Pan Hastings klęczał przy Mirandzie, sprawdzając, czy nic jej się nie stało, i wycierając błoto z jej policzka. Upewniwszy się, że jest cała i zdrowa, pomógł jej wstać.

Everard spojrzał na pana Hastingsa.

- Opuszczę Anglię - oświadczył. Mówił, jakby na języku miał ocet zmieszany z żółcią.
- Zamieszkać za granicą.

Pan Hastings skłonił się nisko.

- W takim razie życzę panu udanej podróży, milordzie.

Pan Hastings i lekarz pomogli Everardowi wstać i podprowadzili go do gigu. Za nimi ruszyła Miranda. Dogoniwszy pana Hastingsa, wsunęła dłoń w jego rękę. Patrzyli na odjeżdżającą dwukółkę.

- Prawie mi żal lorda Everarda - powiedziała. - Nie dość, że zaręczył się z mężczyzną, to jeszcze sam sobie przestrzelił stopę. Za dużo nieszczęść naraz.

Uśmiechnął się do niej.

- Zostaw trochę współczucia dla biednej Charlotty. Zasługuje na nie.

- Dlaczego zasługuje na współczucie? - Spojrzała na niego z powagą. - Charlotta to cudowna istota i wspinała przyjaciółka, najlepsza, jaką kiedykolwiek miałam.

- Tak, ale lord Everard złamał jej serce. Łajdak ją porzucił i choć to wyjdzie jej tylko na dobre, musi uciec do Walii i schronić się tam, póki nie wróci do siebie po tym rozczarowaniu.

Miranda spuściła głowę.

- Szkoda. Będzie mi jej brak.

- Mnie też. Wiele mnie nauczyła. Nigdy już nie będę patrzeć na świat tak jak dawniej. Będę nań spoglądać nie tylko oczami mężczyzny, ale i kobiety.

- Co się stanie z biedną Charlottą?

- Och, w końcu wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci. Obawiam się, że obowiązki żony i matki będą ją zatrzymywać w domu, tak że nie będzie mogła nas odwiedzać, lecz będzie pisywać do twoich rodziców, których ogromnie pokochała. My zaś będziemy udawać się do niej z wizytą, ilekroć będzie nam groziło, że któraś z twych sióstr nawiedzi nas w Sadach Clarendon.

- A co się stanie z panem Hastingsem?

- Ożeni się z panną Miranda Troy, a gdy już znuży ich gruchanie i świergotanie, będą oddawać się hazardowi.

- Nie wiem, jak to się robi.

- To gra w kości. Nauczę cię.

- Założę się, że nie.

- Założę się, że tak.

- A co się stanie z twoim sekundantem, panem Smithem, na którym ubrania tak wiszą?

- Wróci do domu i zedrze je z siebie, a ja - o ile pozwoli - bardzo chętnie będę mu towarzyszył w tym przedsięwzięciu.

- Założę się, że nie pozwoli.

- O co się założysz?

Sir Bascomb i lady Troy spożywali właśnie śniadanie, gdy zjawiała się Miranda z panem Hastingsem. Oboje promieniali taką radością i wymieniali tak czułe uśmiechy, że baronet zmarszczył brwi, jakby właśnie spełniło się jego przeczucie o czekających go dopustach. Lady Troy, która równie dobrze jak mąż rozpoznawała symptomy, radośnie złożyła dłonie.

- Więc to prawda - odezwał się żalobnym tonem sir Bascomb. - Jesteście zaręczeni.

- Więc to prawda! - rozplywała się lady Troy. - Jesteście zaręczeni!

- Jesteśmy zaręczeni - potwierdziła Miranda i podeszła do stołu, całując oboje rodziców w czoło.

Za nią zbliżył się pan Hastings, który ucałował upudrowany policzek przyszłej teściowej, a potem wyciągnął rękę do sir Bascomba. Baronet z westchnieniem wątle ją uściskał.

- Tabitha będzie uszczęśliwiona! - chlipnęła lady Troy, zalewając się łzami szczęścia.

- Mam nadzieję, że i pan nauczy się tym radować - zwrócił się łagodnie pan Hastings do sir Bascomba.

- Kochasz pan moją córkę?

Pan Hastings ujął dłoń Mirandy i przycisnął sobie do serca.

- Bardziej niż powietrze, którym oddycham. Bardziej niż samo życie. Bardziej nawet niż pikietę.

- Ja też go kocham, papo - dodała Miranda.

Odwróciwszy się do pana Hastingsa, otoczyła ramionami jego szyję i pocałowała go. Nie potrzebował zachęty, by w pełni odwzajemnić pocałunek.

Sir Bascomb ponuro potrząsnął głową.

- Jak możesz być taki okropny? - skarciła go lady Troy. - Nie ulega wątpliwości, że byli sobie przeznaczeni. Wiedziałam o tym od samego początku, od kiedy przyszli na świat. Tak samo i Tabitha. To cudowne dzieci. Cudowne. Wystarczy spojrzeć, ile trudu sobie zadali, by tylko zadowolić matki.